

KAZIMIERZ SŁAWIŃSKI

**PRZYGODY
KANONIERA
DOLAS**

Przedmowa

W roku 1932 ukończyłem gimnazjum starego typu w Gnieźnie, mieście pretendującym do miana pierwszej stolicy Polski. Gimnazjum to nosiło godne tych aspiracji imię Bolesława Chrobrego i dzieliło się na klasyczne i matematyczno-przyrodnicze.

Poszedłem do wojska, gdyż skończyłem 18 lat, i zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami miałem prawo wyboru broni. Wybrałem, jak nakazywała tradycja, artylerię, do kawalerii zgłaszali się bowiem gimnazjaliści z kierunku klasycznego. Niebawem otrzymałem powołanie do Szkoły Podchorążych Rezerwy we Włodzimierzu Wołyńskim. Stawiłem się tam 15 sierpnia 1932 roku wraz z grupą moich kolegów szkolnych. Od stacji kolejowej do szkoły prowadziła ulica wybrukowana „kocimi łbami”, a wzdłuż niej biegły drewniane chodniki. Była to dla nas egzotyka nie oglądana w Wielkopolsce.

Otrzymałem przydział do 18 baterii. Wśród starszych rekrutów znajdował się doktor historii sztuki, wysoki, lekko garbiący się, wiecznie gubiący okulary w złotej oprawce. Zwracał na siebie uwagę absolutną obojętnością wobec wszystkiego, co go otaczało.

Gdy po wojnie, będąc architektem spróbowałem pisania, właśnie ten rekrut-historyk sztuki stał się pierwowzorem Adolfa Dolasa, któremu kazałem przeżywać przeróżne perypetie. Nie były one całkowitą fikcją literacką, ale prawdziwymi przygodami kilku innych osób, „zapożyczonymi” dla mego bohatera. W sumie Dolas istniał w mojej fantazji, lecz przygody jego były autentyczne. Niech mi czytelnicy darują tę nieścistość.

Autor

Rozdział I

w którym poznaję dra Adolfa Dolasa

Jesienią 1947 roku pracowałem w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Pewnego dnia wezwał mnie szef.

— Kolego — oświadczył z miejsca — musicie koniecznie pojechać do Łyczkowic Śląskich i osobiście zapoznać się ze sprawą Dolasa. Oto akta tej sprawy. Przejrzyjcie i powiedzcie, co o tym sądzicie.

„Sprawa Dolasa” była znana w całym resorcie. W małej dolnośląskiej mieścinie działał niejaki Adolf Dolas, doktor historii sztuki. Z raportów i doniesień władz terenowych oraz różnych organizacji wynikało, że Dolas nigdzie nie pracuje i zajmujący się po autochtonie śląskim trudni się szabrem i nielegalnym handlem. Co innego mówiło pismo prokuratora powiatowego, który umorzył śledztwo przeciwko Dolasowi z braku dowodów winy, zaświadczenie o moralności wydane przez MO i wreszcie zaświadczenie władz wojskowych, stwierdzające, że ob. Dolas jest zdemobilizowanym oficerem II Armii Wojska Polskiego.

Sam natomiast Dolas, załączając odpisy dyplomów, zwracał się do różnych władz terenowych z prośbą o zorganizowanie w Łyczkowicach Śląskich muzeum. Prośbę swą Dolas motywował dużą ilością odnalezionych w Łyczkowicach i okolicy niezwykle wartościowych dzieł sztuki. Istotnie, załączony sp. przedstawiał się imponująco.

Władze terenowe, zajęte w tym czasie dziesiątkami innych ważnych spraw, albo nie odpowiadały na petycje Dolasa, albo zbywały je stwierdzeniem „na razie nie czas na zabezpieczanie starożytności”. Wreszcie sprawa trafiła do ministerstwa. Akta sprawy Dolasa opuściły wytworny i elegancki gabinet ministra z adnotacją: „Dyr. B. — zapoznać się i zreferować”. Z mniej eleganckiego gabinetu dyrektora B. powędrowały z kolei do naczelnika Z., z uwagą: „Naczelnik Z. — zreferować”. A naczelnik Z. przekazał je mnie. Siedziałem w dużym pokoju pod oknem. Nikt mi nie podlegał, nie pozostawało więc nic innego, jak zapoznać się z aktami sprawy Dolasa i pojechać do Łyczkowic.

Z trudem odnalazłem na mapie Łyczkowice Śląskie i przy pomocy sporego sztabu pracowników „Orbisu” ustaliłem trasę. Nie było to takie proste. Po drodze miałem sześć przesiadek, a rozkład był tak ułożony, że gdy przyjechałem do stacji A, aby tam się przesiąść na pociąg do stacji B, to pociąg ten odchodził piętnaście minut wcześniej, a na następny trzeba było czekać dwie lub trzy godziny. Na szczęście pociągi się spóźniały, tak że praktycznie czekałem przeważnie nie dłużej niż półtorej godziny. Warunki podróży nie były

wygodne. Pociągi składały się z wagonów towarowych i osobowych trzeciej klasy. Wagony towarowe „honorowano” (tak się wyrażali kolejarze) jako trzecią klasę, a trzecią jako drugą.

Ponieważ mego biletu trzeciej klasy nie chciano „honorować” jako biletu klasy drugiej, jechałem przeważnie wagonami towarowymi. Drugiego dnia podróży dojechałem do Łyczkowic Śląskich. Była to nieduża miejscina położona w pagórkowatej okolicy. Nie stanowiła ważnego obiektu strategicznego, nie została więc zniszczona w czasie działań wojennych.

Po wyjściu z dworca zapytałem o ulicę Le Ronda, przy której mieszkał dr Dolas. Nikt jednakże nie wiedział, gdzie jest taka ulica. Zebrała się spora grupka miejscowych obywateli, zastanawiając się, gdzie może być ulica Le Ronda.

— Przyjechałem z Warszawy, nie znam Łyczkowic — wyjaśniłem.

— A może przyjechał pan do Dolasa, co handluje garnkami? — zapytał jakiś wyrostek.

— Tak — odpowiedziałem.

— To mów pan od razu. Dolasa wszyscy znają.

Na przewodnika zgłosił się starszy pan, jak się później okazało — emerytowany kolejarz.

— Zaraz po wyzwoleniu jedną z ulic nazwano imieniem Le Ronda. Pan wie, to był francuski generał, przewodniczący komisji nadzorującej plebiscyt na Śląsku, wielki przyjaciel Polaków. Po roku ktoś w Radzie Miejskiej zaczął się zastanawiać, co robił generał Le Ronde w czasie okupacji. A może służył Pétainowi? Przemianowano więc ulicę Le Ronda na Bulwar Osóbki-Morawskiego. Gdy Osóbka-Morawski przestał pełnić godność premiera, ulicę przemianowano na Aleję Socjalistycznej Brygady Pracy imienia Zofii Kurek-Kociokiewicz.

Kim była Zofia Kurek-Kociokiewicz, nie dowiedziałem się. Zatrzymaliśmy się bowiem przed sporą willą stojącą w ogrodzie, a mój przewodnik oznajmił:

— Jesteśmy na miejscu. Tu mieszka pan Dolas.

Gospodarza spotkałem w hallu zastawionym antycznymi meblami, porcelanowymi wazami, rzeźbami z drzewa i marmuru, prostymi ludowymi ławami, skrzyniami i zydłami. Jednym słowem — muzeum. Podobnie wyglądał sąsiedni pokój. W trzecim natomiast stały ordynarne gipsowe figurki, zwykłe fajansowe miski, półmiski, talerze, a pod ścianami typowe niemieckie, ohydne oleodruki. Trochę mnie to zaszokowało. Gospodarz zaprowadził mnie do gustownie i ze smakiem urządzonego gabinetu, kontrastującego wyraźnie z poprzednim pomieszczeniem. Przyglądałem się uważnie obrazom o niewątpliwej wartości artystycznej, pięknym stylowym meblom, kilku drewnianym rzeźbom, pamiętającym chyba epokę gotyku.

Tymczasem mój gospodarz mówił. Mówił miłym, nieco matowym głosem, poprawiając

co chwila charakterystycznymi ruchem okulary w złotej oprawie.

— Jakże się cieszę, że przyjechał nareszcie inspektor z Ministerstwa Kultury. Nareszcie ktoś zainteresuje się moją sprawą. Naturalnie w sposób obiektywny. Opowiedział mi, jak po zakończeniu wojny znalazł się tu, na Śląsku.

— Nie było to przypadkowe — mówił. — W czasie wojny pełniłem funkcję tłumacza w jednej z naszych dywizji zdobywających Berlin. Kiedyś przesłuchiwałem jednego z jeńców. Nazywał się Bomba, był Ślązakiem, zmobilizowanym w ostatniej fazie wojny. Za niemieckich czasów pracował w Łyczkowicach u właściciela miejscowego browaru, jako kustosz prywatnego muzeum. Hitlerowiec był bowiem estetą i zbieraczem dzieł sztuki. W czasie wojny przesłano mu na przechowanie część dzieł sztuki zrabowanych w Polsce. Gdy zjawiłem się tu zaraz po demobilizacji, zająłem tę willę stanowiącą własność Bomby. Część cennych zbiorów została w bezmyślny sposób zniszczona, część po prostu rozszabrowana. Pan wie, jak to było po zakończeniu wojny. Na Ziemię Odzyskaną ciągnęło mnóstwo różnych niebieskich ptaków. Polskie władze były dopiero w stadium organizacji. Na głowie miały tysiące przeróżnych spraw i problemów. Zacząłem w terenie szukać zaginionych dzieł sztuki. Czyniłem to przeważnie na własną rękę. Po pewnym czasie zjawił się tu wypuszczony z niewoli Bomba. Bez wahania zrzekł się swej willi i wspólnie zabraliśmy się do pracy nad zabezpieczeniem tego, co zostało. W terenie wynajdywaliśmy bezcenne przedmioty, stanowiące ongiś nie tylko własność hitlerowskiego piwowara, ale i byłych właścicieli okolicznych majątków. Znajdowaliśmy zabytki sztuki ludowej. Zaczęły się przeróżne pierepałki. Miejscowi osadnicy nie znając się na wartości tych przedmiotów, nie chcieli ich oddawać. Należało z nimi prowadzić handel wymienny. Na przykład portret tego rycerza z osiemnastego wieku kupiłem za dwa obrazy jeleni na rykowisku, tę oto wspaniałą sewrską wazę, która uroczemu skądinąd wilniakowi służyła do karmienia gęsi, zdobyłem za trzy fajansowe półmiski. Moja działalność stała się dla wielu ludzi solą w oku. Zaczęto pisać na prawo i lewo donosy, że zająłem bezprawnie ponemiecką willę, że wyrzuciłem stąd pana Bombę, że szabruję i handluję. Z kolei ja pisałem petycje do władz. Wyniki tej korespondencji zapewne pan zna. Zwracałem się do konserwatora zabytków we Wrocławiu. Ucieszył się, że historyk sztuki opiekuje się dziełami sztuki w Łyczkowicach. Na razie nie mogę pomóc — mówił — mam tysiące, dosłownie tysiące obiektów, którymi muszę zająć się osobiście. A brak mi ludzi, środków transportowych, pieniędzy, jednym słowem wszystkiego. Niech się pan opiekuje i ratuje, co się da. Zwróciłem się więc do ministra Kultury i Sztuki.

Dalsze losy petycji drą Dolasa były mi znane. Zaczął mnie oprowadzać po willi. Dosłownie od piwnic po strych była zavalona muzealnymi zabytkami. Wspaniały zbiór,

naprawdę godny Muzeum Ziemi Łyczkowieckiej. Gospodarz spojrział na zegarek. Dochodziła godzina trzecia po południu.

— Zaparzę kawę. Za dwie godziny wróci z pracy żona i przygotuje nam kolację. Ma pan czas. Przed północą i tak pan stąd nie wyjedzie.

Zostawił mnie w gabinecie samego. Przyglądałem się uważnie postaci wychodzącego gospodarza. Był to mężczyzna na oko lat około trzydziestu. Dobrze i silnie zbudowany, lecz lekko przygarbiony, o sylwetce i sposobie bycia raczej intelektualisty niż wojskowego. Nosił jednak stary wojskowy mundur bez dystynkcji, lewą pierś ozdabiał Krzyż Walecznych.

„Za co on otrzymał ten krzyż? — rozmyślałem. — Był tłumaczem w sztabie. Pewnie tam się wystarał o odznaczenie. W sztabach bywa różnie”.

Gdy wrócił i postawił na stoliku dwie filiżanki mocnej kawy, wyczuł na sobie mój pytający wzrok.

— Interesuje pana mój Krzyż. Niezbyt do mnie pasuje. To bardzo długa i pouczająca historia. Jeśli pan chce, mogę ją opowiedzieć.

— Bardzo proszę, mam przecież czas.

— Dobrze. Muszę zacząć od początku. Urodziłem się w Katowicach. Mój ojciec był adwokatem...

ROZDZIAŁ II

w którym Adolf Dolas zostaje powołany do wojska

Każdy bohater musi się urodzić. Urodził się więc i nasz. Po urodzeniu następuje okres dzieciństwa, w czasie którego dziecko w oczach matki jest cudowne. Potem idzie do szkoły i naturalnie źle się uczy. Przynajmniej gorzej od swego ojca. W okresie wczesnej młodości występują pierwsze zawodowe zainteresowania. Jeden chłopiec chce zostać maszynistą wąskotorowego parowozu, inny górąlem lub profesorem. Tym ostatnim chciał właśnie koniecznie zostać Dolas. W tym czasie zaczynają się też pojawiać pierwsze tzw. hobby. Jeden kopie z pasją piłkę, inny ugania się po świecie rowerem. Nasz bohater w tym czasie zaczął marzyć o podróżach. Jednakże aby podróżować, należy znać języki. Gdy zdał maturę, z miejsca wstąpił na Wydział Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, ucząc się jednocześnie języków obcych.

Gdy jego rówieśnicy zastanawiali się nad tematem pracy magisterskiej, Dolas kończył pracę doktorską. Miał już za sobą kilka zagranicznych podróży. Znał świetnie niemiecki,

angielski i francuski, uczył się włoskiego i hiszpańskiego. Marzył o podróży do Włoch i Hiszpanii. Nade wszystko nęcił go jednak Daleki Wschód.

Plany te musiał jednak odłożyć ad acta. Komisja lekarska uznała go za zdolnego do służby wojskowej. Nic zresztą dziwnego, chłop, był zdrow, rosły, wprawdzie miał słaby wzrok, ale to nikomu nie przeszkadza polec w obronie Ojczyzny. Ojczyzna więc upominała się pewnego sierpniowego słonecznego popołudnia 1938 roku o swego wiernego syna. Doktor Dolas otrzymał wezwanie do odbycia służby wojskowej, którą mu parokrotnie odraczano.

Dolasowi-intelektualiście było zupełnie obojętne, czy zostanie ułanem, huzarem czy też marynarzem łodzi podwodnej. Z wezwania wynikało, że zostanie artylerzystą, miał się bowiem zameldować w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii.

Gdy młody doktor podzielił się tą nowiną ze swoim rodzicielem, ten pokiwał głową, popatrzył w niebieskie wiecznie zamysłone oczy syna i stwierdził:

— Wiem, synu, że wojsko jest nie dla ciebie. Ale cóż robić? Odbędziesz służbę wojskową i wrócisz do pracy naukowej. Staraj się uczciwie wykonywać swe obowiązki i być dobrym żołnierzem. Czasy są niepewne — dodał po chwili, mając na myśli sąsiadów spoza bliskiej granicy.

Tu Dolas-senior powinien nieznacznie otrzeć łzę z oka, podejść do mahoniowego biurka, wyjąć z szuflady pamiątkę po dziadku, co to brał udział w powstaniu i wręczyć ją synowi. Następnie wyjść na ganek modrzewiowego dworku, ucałować syna, przeżegnać znakiem krzyża i stać, aż pierwородny zniknie na zakręcie drogi wysadzonej lipami. Było to jednak niemożliwe. Papa Dolas nie brał udziału w żadnym powstaniu, a działalność bojowa Dolasa-ojca ograniczała się do dyskretnego opuszczenia w roku 1915 szeregów armii Wilhelma i spędzenia resztek dni wojennej zawieruchy na prowansalskiej farmie.

Gdy nadszedł więc dzień zameldowania się w szkole, Dolas pożegnał się z rodzicielem, ujął w rękę walizeczkę i pojechał tramwajem na stację kolejową.

Po długiej i męczącej podróży kandydat na artylerzystę stanął przed bramą pomalowaną w biało-czerwone pasy i ozdobioną napisem: Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii.

Wartownik z karabinem sprawdzał karty powołania, kierując przybyłych do oficera służbowego.

Szkoła miała opinię twardej, takiej, gdzie to zdrowo dają w kuper, ale za to z najgorszej oferty potrafią zrobić gwardzistę.

O tym wszystkim Dolas wiedział od kolegów mających za sobą odbytą służbę wojskową oraz od dorożkarza wiozącego go rozklekotanym wehikułem z dworca kolejowego.

— A najgorsza to jest bateria kapitana Lasockiego. Żeby się tam tylko pan podchorąży nie dostał — ostrzegął dryndziarz.

Dolas otrzymał naturalnie przydział do baterii kapitana Lasockiego. Specjalnie się tym nie przejął.

„Dziewięć miesięcy jakoś tu wytrzymam — rozmyślał. — Potem dwa miesiące w pułku i jesienią 1939 roku wrócę do cywila. Będę musiał pomyśleć o wyjeździe do Włoch”.

Tak to sobie rozmyślając nasz wojak znalazł się w rejonie baterii kapitana Lasockiego. Podoficer gospodarczy, plutonowy Gorzko, obdarował go stosem niezbędnych sort mundurowych i przydzielił łóżko, na którym miał od tego dnia sypiać.

Dolas przedstawił się sąsiadowi z lewej strony, młodemu, uroczemu blondynkowi, a potem sąsiadowi z prawej, potężnemu, świetnie zbudowanemu, czarnemu dryblasowi.

— Lanckoroński jestem — usłyszał.

Dolas patrzył z zazdrością na osobnika noszącego historyczne nazwisko. „Ten będzie się czuł w mundurze jak ryba w wodzie”.

— Tu panuje zwyczaj mówienia sobie per ty — wywodził Lanckoroński, wkładając drelichową bluzę mundurową — szanujmy więc tradycję. Jak tobie na imię?

— Adolf.

— Dość dziwne imię. Ale ja mam jeszcze dziwniejsze: Izaak. Pewnie sądzisz, że jestem potomkiem wielkich Lanckorońskich? Nieprawda. Mój pradziadek był pachciarzem u Sanguszków. Któryś z Sanguszków, pokłóciwszy się z Lanckorońskim, zrobił mu na złość, nazywając starego Żyda Lanckorońskim. W moich papierach figuruje więc wyznanie mojżeszowe. Nie wróży mi to tutaj nic dobrego. Na pewno nasi dowódcy nie potrafią sobie wyobrazić hetmana Lanckorońskiego wyznania mojżeszowego.

Dolasa nie interesowało, czy Izaak Lanckoroński jest czy nie jest skoligacony z wielkimi Lanckorońskimi, jak również, czy jest on wyznania mojżeszowego, czy też mahometańskiego. Zaprzyjaźnił się z nim, przekonawszy się, że jest to inteligentny człowiek. Obaj mieli jednakowy pogląd na służbę wojskową. Uważali, że jest ona obowiązkiem każdego mężczyzny, że przybywszy tu muszą posiadać pewien niezbędny zapas wiedzy wojskowej.

Dlaczego jednak pobieranie tej wiedzy ma się odbywać wśród wrzasków, wymyślań i tak zwanego „cukania”? Dlaczego pojedyncza słomka, która wypadła z siennika, musi być koniecznie furą gnoju, wynoszoną uroczyście w nocy na kocu przez cały działon?

Tymczasem szef baterii, starszy ogniomistrz Kaczmarczyk, chodząc pomiędzy działonami, wypowiadał parę razy dziennie swoje credo:

— U mnie w baterii to grunt porządek i dyscyplina. Wy jesteście zamazane rekruty, ale ja z was zrobię żołnierzy, jakem podoficer spod Werduna. I nie próbujcie mi się tu stawiać, bo takiemu nogi wrosną w tyłek.

„Wodza” baterii., mocno już podtatusiałego kapitana Lasockiego, zobaczyli dopiero po paru dniach, gdy już jako tako potrafili stać w dwuszeręgu.

Kapitan, odebrawszy raport, przeszedł przed frontem baterii i zatrzymawszy się przemawiał ze śpiewnym, wschodnim akcentem:

— Tak wy tu przyszli, aby zostać żołnierzami. I znaczy się, kto mi będzie brykał i nie będzie się uczył — to ja tego strzelę w kuper i won ze szkoły.

Po tych przemówieniach oficerowie i podoficerowie zabrali się do robienia w z kupy niesfornych cywili — wojska, ba! można powiedzieć gwardii. I to od wczesnego świtu. Natychmiast po pobudce pędzili do umywalni, a potem na gimnastykę. Zaczynało się od marszu ze śpiewem:

Marszałek Śmigły-Rydz,
Nasz drogi, dzielny Wódz,
Gdy każe, pójdziem z nim
Najeźdźców tłuc!
Nikt nam nie zrobi nic,
Nikt nam nie weźmie nic,
Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz!

Po śniadaniu gnali na wykłady lub ćwiczenia. Tu w całej rozciągłości i krasie wychodziły na światło dzienne antywojskowe talenty rekruta Dolasa. Podczas jazdy konnej spadał na ziemię, gubił okulary, garbił się w siodle, zyskując wśród instruktorów miano „biskupa na nocniku”. Na działoczynach zapominał o kolejnych czynnościach, przewracał się o łóżę, no i naturalnie zawsze miał najgorzej załane łóżko. Zacinał jednak z pasją zęby, powtarzając parę razy dziennie:

— Muszę się starać. Muszę być dobrym żołnierzem. Muszę. Dotrwał do przysięgi. Został kanonierem z cenzusem i doczekał się wielkiego dnia. Na wieczornym apelu ukazał się dowódca baterii.

— Tak znaczy się — zaczął — pierwszy okres szkolenia mamy za sobą. Tak ja was wszystkich podał do awansu na bombardierów. Tak ja wiem, że nie wszystkim się on należał. No, tak ja myślę, że ten awans będzie podniętą do dalszej pracy dla tych, którym się nie należał.

Tu spojrział wymownie w stronę prawego skrzydła, gdzie stała „baterijna oferma”, kanonier Dolas, i ten „parszywy Żydek” — kanonier Lanckoroński. Potem wódz przeszedł przed szeregami sprężonymi na baczność i niedbale zaszalutowawszy zniknął w korytarzu. Szef podał komendę:

— Rozejść się!

Do godziny dziewiętej mieli wolny czas. Można się było uczyć, pójść na piwo do kantyny lub oddawać się uciechom życia towarzyskiego. To ostatnie koncentrowało się w trzech miejscach: w świetlicy, w tak zwanym kąciku za szafami i w latrynie. W świetlicy — małym, ciasnym pokoiku, było *zawsze* ciemno i duszno od dymu papierosowego. W kąciku za szafami urzędowali zazwyczaj amatorzy ruletki, wykorzystując do tego celu karabin maszynowy Hotchkiss, posiadający tę właściwość, że obracał się wokoło swojej osi pionowej. Gracze wpłacali krupierowi stawkę, ten obracał karabinem i na kogo wskazał wylot lufy, ten inkasował bank. Było to naturalnie zabronione i tępione przez podoficerów. Ani Lanckoroński ani Dolas nie interesowali się kącikiem, hazard nie leżał bowiem w ich naturze.

— Jeżeli nie można grać, to nie ruszajmy karabinu — tłumaczył Lanckoroński. — Jeszcze się strefni i nie będzie strzelał na wojnie.

Pomimo więc nawoływań krupiera, że dziś" wielka gra po pięćdziesiąt groszy, udali się do latryny. Pod ścianą znajdowało się coś w rodzaju długiej ławy z licznymi otworami, pośrodku stał piecyk. Było tu zawsze ciepło, przytulnie i można było uciąć pogawędkę. Obok, przegrodzona przepierzeniem, znajdowała się ubikacja dla podoficerów i oficerów. Na ścianie wisiała potężna rolka papieru toaletowego. Ta piękna ozdoba latryny stanowiła dumę lekarza, kapitana, z pochodzenia Niemca, uważającego, iż najlepszym sposobem utrzymania właściwego stanu sanitarnego szkoły jest używanie papieru toaletowego. Wydał więc zarządzenie, że w każdej latrynie ma być papier toaletowy i skrupulatnie tego przestrzegał. Ponieważ z drugiej strony bateria nie posiadała kredytów na zakup papieru, szef nabył za własne pieniądze jedną rolkę, zapowiadając przy wieczornym apelu:

— Żeby tylko nikt nie śmiał używać tego papieru. Macie po to gazety.

Odpowiedzialnym za przestrzeganie zarządzenia został plutonowy Gorzko. Niestety, dorywcze wizytacje latryny nie dawały rezultatu i papier z rolki ginął w tajemniczy sposób. Plutonowy wywiercił w przepierzeniu otwór i siedząc w ubikacji dla podoficerów prowadził obserwacje. Z tej kombinacji obie strony miały wyraźne korzyści. Plutonowemu nie ginął papier, a hazardziści spokojnie grywali za szafami. Gdy Dolas z Lanckorońskim przybyli do latryny — plutonowy tkwił już na posterunku. Lanckorońskiemu przypomniawszy się dyskusja na temat teorii ewolucji, toczona w swoim czasie na łamach jakiegoś pisma katolickiego we

Włoszech. Powtórzył ją Dolasowi, ten coś dodał od siebie i nagle usłyszeli trzask zamykanych drzwi w podoficerskiej ubikacji. Jako kanonierzy po przysiędze wiedzieli, że na tematy wojskowe nie wolno rozmawiać w miejscach publicznych, tu jednak nie było miejsce publiczne, a poza tym teoria ewolucji nie jest tematem wojskowym. Rozmawiali więc dalej. Tymczasem plutonowy wpadłszy do kancelarii, zameldował:

— Panie starszy ogniomistrzu, melduję posłusznie, że Dolas i Lackoroński to komuniści.

— Skąd o tym wiecie, plutonowy?

— Podśledzałem rozmowę w latrynie. Mówili, że nie ma Boga, a człowiek pochodzi od małpy.

— Jak to mam rozumieć? To ja też pochodzę od małpy?

— Tak jest, panie starszy ogniomistrzu.

— Plutonowy, wypraszam sobie. Zawołać tych dwóch. Gorzko klusem pobiegł do latryny i przerwawszy posiedzenie Dolasowi i Lanckorońskiemu, zabrał ich do kancelarii.

Wy podobno twierdzicie, że człowiek pochodzi od małpy? — zapytał szef.

— Niezupełnie, panie szefie. A poza tym to nie my twierdzimy.

— A kto?

— Darwin.

— Darwin? Ach tak, pamiętam takiego. Był w naszym dywizjonie. Abram Darwin ze Złoczowa. Ale poszedł tam, gdzie idą wszyscy Żydzi i komuniści — do pułku. No, ale jak wy znacie Darwina, to ja wam dam taką szkołę, że wam się żyć odechce, będziecie jeszcze żałować, że was tato spłodził.

Tak to Dolas z Lackorońskim zaczęli cierpieć za popełnione czy też nie popełnione winy Abrama Darwina ze Złoczowa.

Nazajutrz rano ogniomistrz Kaczmarczyk zameldował o incydencie dowódcy baterii.

Kapitan Lasocki nie darzył sympatią legionistów rządzących w wojsku, bardziej jednakże nie cierpiał wszelkiego rodzaju „wywrotowców”.

Kapitan pochodził z byłej armii carskiej, jeszcze za życia ostatniego z Romanowych ukończył Wojennoje Artilerijskoje Ucziliszczce i spędził dwa lata na froncie. To, że dziś jest zaledwie kapitanem od dawna oczekującym awansu na majora, to wina legionistów i bolszewików. Tych pierwszych, bo objęli władzę w Polsce i gnębią wszystkich oficerów z armii zaborczych, a tych drugich, bo uniemożliwili mu karierę w artylerii Jego Imperatorskiego Wielichestwa Mikołaja II.

Lasocki, dowiedziawszy się od Kaczmarczyka, typowego pruskiego zupaka, o

wyczynach Lanckorońskiego i Dolasa, nie wchodząc w meritum sprawy, stwierdził krótko i wężłowato:

Tak my ich wykończymy. Ja żydokomuny w baterii znaczy się tolerował nie będę. A teraz zawołajcie ich tu!

Po chwili obaj wywrotowcy stanęli przed obliczem dowódcy baterii:

— No, tak ja słyszał, że wy uprawiacie wywrotową robotę w baterii. Tak i wy bombardierów nie dostaniecie. A jeszcze jedno wystąpienie — to znaczy się w kuper i won ze szkoły.

Dla obu „wywrotowców” zaczęły się czarne dni. Nie mieli chwili spokoju od rana do wieczora.

Zima tego roku była ostra i śnieżna. Rozrywki w zapadłym wschodnim garnizonie, poza dwiema knajpami i ulicą „rozkoszy”, zabudowaną nędznymi, drewnianymi domkami, prawie nie istniały. Szczytem marzeń każdego podchorążaka w tym czasie było dostanie się do izby chorych. Nie przedstawiało się to prosto.

Izbą chorych rządził niepodzielnie kapitan o nazwisku Niemiec, zresztą Czech z pochodzenia. Lekarz ten traktował każdego chorego jako symulanta. Czynności swe ograniczał do ordynowania doraźnych zabiegów, które przeprowadzał kapral--sanitariusz. Ten jednak, drżąc ze strachu przed naczelnym lekarzem, stale się mylił. Stąd na porządku dziennym było, iż chory na żołądek dostawał kompres na nogę, a uskarżającemu się na ból gardła — aplikowano czopki hemoroidalne.

Jakież było zdziwienie Dolasa, gdy zjawiwszy się tu pewnego dnia z prośbą o założenie opatrunku na otartą nogę, został z miejsca zamknięty w izolatce, na drzwiach której widniał napis: *Obserwacja*.

Po dziesięciu dniach sprawa się wyjaśniła. Jakiś kanonier, z innej zresztą baterii, przebywając na okolicznościowym urlopie, znalazł się w domu, w którym chorowano na tyfus. Lekarz zarządził obserwację oraz izolację na dziesięć dni. Kanonier ów dostał kompres na nogę, a Dolasa skierowano na obserwację.

Gdy kanonier z cenzusem zameldował swój powrót z izby chorych, usłyszał od dowódcy baterii:

— Tak wy się tam pewnie uczyli. Tak jutro przyjdziecie na egzamin z instrukcji strzelania i topografii.

Dolas w izbie chorych naturalnie nie uczył się, po pierwsze nie spodziewał się natychmiastowego egzaminu, a po drugie, leżąc na obserwacji, był izolowany. Egzamin więc zaskoczył go. Pomimo tego uważał, że egzamin zda, ostatecznie początki instrukcji strzelania

i topografii nie są wielkimi mądrościami. Omylił się. Dowódca baterii oblał go, wyznaczając za dwa tygodnie egzamin komisyjny. Teraz Dolas przygotował się solidnie. Gdy stanął jednak przed komisją egzaminacyjną i wyczuł wrogą atmosferę, zrozumiał, że i ten egzamin musi oblać. Tak się też stało. Komisja jednogłośnie orzekła, że kanonier Dolas jest tumanem i nie nadaje się na oficera rezerwy artylerii, wobec czego należy skierować go do pułku. A kapitan Lasocki tryumfalnie powiadomił szefa baterii:

— No tak, znaczy, jednego wywrotowca wykończyło się. Teraz weźmiemy się do drugiego.

Tak się zakończyła wojskowa kariera doktora Dolasa w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii. Zdał do magazynu szablę i karabin, a inne drobiazgi Lalusiowi. Laluś bowiem za swoje wzorowe zachowanie i gorliwość w służbie objął zaszczytne stanowisko działonowego. Był z tego niesłychanie dumny i z powagą zabierał koce i bieliznę pościelową patrząc z pogardą na Dolasa. Niby to doktor, a nawet instrukcji strzelania nie może się nauczyć! Ostatnią wizytę w baterii Dolas odbył u ogniomistrza Kaczmarczyka.

— Tu macie pismo kierujące was do pułku, a w tej kopercie znajduje się wasz zeszyt ewidencyjny, tylko nie zgubcie, ofermo — ostrzegął na pożegnaniu szef baterii.

Dolas włożył pismo za mankiet płaszcza, a kopertę po chwili namysłu do małej walizeczki. Do bramy odprowadził go Lanckoroński.

— Żal mi straconego czasu — głośno monologował Dolas — będę musiał o rok dłużej służyć w wojsku. A przez to i moje plany podróżnicze ulegną zwłoce. Trudno, nie ma na to rady.

— Nie przejmuj się, bracie. Mnie też to na pewno czeka. Myślę, że się jeszcze w życiu spotkamy. Świat jest mały.

Niedoszły oficer rezerwy artylerii uściśnął dłoń kolegi i wyszedł za bramę koszar.

ROZDZIAŁ III

w którym Dolas zostaje pułkownikowym pucybutem

Nowa jednostka macierzysta kanoniera Dolasa — pułk artylerii lekkiej — stacjonowała w małej, zapadłej mieścinie północno-wschodniej Polski. Przejeżdżając przez Warszawę i mając parę godzin czasu, Dolas wybrał się na Świętokrzyską do antykwariatów, gdzie przewracając w starych drukach spędził czas do pociągu i powrócił na dworzec. Tu spostrzegł, że nie ma walizeczki. Nie wiedział, czy zostawił ją w jednym z antykwariatów,

czy też skradziono mu ją w tramwaju.

„Może to i lepiej” — pomyślał.

W walizce skarbów nie było. W zeszycie ewidencyjnym natomiast na pewno figurowała „odpowiednia” opinia. Po co z miejsca mają nastawiać się do niego wrogo? A tak powie, że ukradli walizkę, i koniec.

Do swego nowego grodu przybył rano. Rozpytując się o koszary artylerii, wędrował przez brudne, zaśmiecone uliczki. Podoficer służbowy pułku skierował go do 9 baterii. Tam zameldował się jak najbardziej regulaminowo szefowi baterii, wręczając jednocześnie pismo ze szkoły.

— No dobrze, synu, a gdzie macie zeszyt ewidencyjny? — zapytał szef — mały, czarny ogniomistrz Stachowiak. — W piśmie podano, iż wieziecie zeszyt ze sobą.

— Melduję posłusznie, że w Warszawie skradziono mi walizkę i tam właśnie miałem zeszyt ewidencyjny.

— To taka z ciebie offerma, synku? Prychotko! — zawołał. W drzwiach ukazał się wypucowany bombardier. Włosy miał zaczesane na półeczkę, a buty błyszczące niczym lustro.

— Założycie dla tego nowego kanoniera zeszyt ewidencyjny na podstawie jego zeznań. Potem napisze się do RKU, aby wydali nam duplikat. Zrozumieliście?

— Tak jest, panie szefie.

— To dobrze. Tylko pamiętajcie, żeby zeszyt wypełniony był zgodnie z instrukcją numer osiem. Jeżeli będziecie mieli wątpliwości, zapytajcie mnie.

— Tak jest, panie szefie!

Udali się do sąsiedniego pokoju i tam bombardier Prychotko, pisarz kancelaryjny 9 baterii, zabrał się do wypełniania zeszytu ewidencyjnego kanoniera Dolasa.

Czynił to z wielkim namaszczeniem, podkreślając powagę chwili. Obłożył się więc instrukcjami, starannie wytarł stalówkę i zaczął pisać równymi, okrągłymi literkami. Imię, nazwisko, miejsce i data urodzenia. Przy zawodzie ogarnęły go wątpliwości.

— Jak ty mówisz? Doktor historii sztuki? Czy to doktor koński czy ludzki?

— Doktor to jest tytuł naukowy. A zawód — historyk sztuki.

— Co ty mnie tu bujasz! Nie ma takiego zawodu. O widzisz, tu jest załącznik do instrukcji numer osiem: *Wykaz zawodów*. Szukajmy pod literą „h”. Jest hydraulik, hydrotechnik, hamulcowy — o, widzisz, a historyka sztuki nie ma. A może to się pisze przez „ch”?

— Nie. Przez samo „h”. Naprawdę jestem historykiem sztuki.

— Ja nic na to nie poradzę. Przypuśćmy, że ty mówisz, że jesteś księdzem. Ja cię mogłem widzieć, jak odprawiłeś sumę, ale dla mnie księdzem być nie możesz, bo w wykazie takiego zawodu nie ma. Popatrz pod „k”, jest kowal, kominiarz, a księdza nie ma, jak pod „h” historyka sztuki.

— To nie pisz żadnego zawodu.

— Tak też nie może być. Żołnierz musi posiadać zawód, tak jak człowiek duszę. Mogę ci napisać na przykład: robotnik rolny.

— Niech będzie robotnik rolny.

I tak to doktor historii sztuki, Dolas, zamienił się w robotnika rolnego. Gdy w baterii zjawił się dowódca, porucznik Nowacki — szef zameldował o wszystkim, co się stało w ciągu ostatnich dwunastu godzin, dodając na końcu:

— Stan baterii zwiększył się o jednego kanoniera przybyłego ze Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii.

— A cóż to, jakiś podchorąży na praktykę?

— Nie, panie poruczniku. Zwykły kanonier, pewnie był luzakiem lub ordynansem. Wygląda strasznie ofermowato, choć pocziwie.

— I po co to takie ofermę trzymają w wojsku? Korzyść żadna, w dodatku zawsze ich pakują do mojej baterii.

Porucznik podpisał raport i przeszedł do porządku dziennego nad przeniesieniem kanoniera Dolasa do jego baterii.

Tymczasem Adolf Dolas uzupełniał swą wiedzę wojskową. Zbliżał się czas odejścia starego rocznika do cywila. Część kanonierów młodszego rocznika miała pójść do szkoły podoficerskiej, a część objąć różne stanowiska funkcyjne. Kanonier Dolas nie liczył, aby spotkał go zaszczyt skierowania do szkoły, marzył natomiast o jakiejś ciepłej funkcji. Na przykład pomocnika magazyniera mundurowego, by w zaciszu butów, sort mundurowych i kalesonów spędzić resztę dni tak zwanej obowiązkowej służby wojskowej.

Parę dni przed zwolnieniem starszego rocznika szef baterii przy apelu porannym zaczął rozdzielać funkcje. Stanął przed Dolasem i pomyślał:

„Oferma to on jest, ale pocziwy, pracowity i z pewnością uczciwy. Gdzie by go tu wepchnąć?”

— Słuchajcie no, Dolas — powiedział głośno — nie chcielibyście zostać ordynansem?

Propozycja ta zaskoczyła Dolasa. Zawahał się chwilę. Jeżeli odmówi — może go szef w ogóle nie wyznaczyć na funkcję. Ogniomistrz zauważył wahanie Dolasa.

— Zostaniecie ordynansem pana pułkownika. No co, chcecie?

— Tak jest, panie szefie.

Nazajutrz rano Dolas objął swe nowe stanowisko. Pułkownik zajmował niedużą willę w odległości około pięciuset metrów od koszar. Zaprowadził go tam jego poprzednik, kanonier Hryćko.

Pierwszą osobą poznaną na nowym terenie było hoże dziewczę, noszące imię Rozalia, a pełniące funkcję dziewczyny do wszystkiego.

Rozalia właśnie skubała gęś i nic dziwnego, że nie była w świetnym nastroju. Obrzuciła nowego ordynansa badawczym spojrzeniem, a okulary w złotej oprawce prawdopodobnie nie wywołały zachwyty, gdyż mruknęła pod nosem:

— Uczony czy co? — dodając głośno: — Zaprowadźcie go do pani pułkownikowej.

Hryćko, przypilnowawszy, aby Dolas wytarł obuwie i wskazując na parkiet szepnął z nabożeństwem:

— Widziałeś coś takiego?

— Nie — odpowiedział Dolas.

Panią pułkownikową znaleźli na górze, w małżeńskiej sypialni. Była to dama około pięćdziesiątki, dobrze się trzymająca i pełna pretensji. Siedziała przed lustrem, zajęta obcinaniem paznokci. Przerwała na chwilę zajęcie, przyglądając się Dolasowi od czubka żołnierskich butów po ostrzyżoną głowę.

— Czym on jest z zawodu? — zapytała.

— Robotnikiem rolnym — odpowiedział Hryćko.

— Znów robotnik rolny! — westchnęła dama. — Że też nigdy nie przydzielą nam jakiegoś inteligentniejszego ordynansa. Wandeczko! — zawołała. — Znów robotnik rolny.

Z sąsiedniego pokoju weszła córka pułkownikowstwa, panna licząca około osiemnastu lat. Przyglądała się nowemu nabytkowi, jak się przygląda kupionemu psiakowi lub cielęciu.

— Maman — odezwała się po francusku — on wygląda na zupełnie roztropnego chłopaka.

— Masz rację, niemniej muszę Jankowi zwrócić uwagę. A teraz pójdzie on z Hryćką i zapozna się ze swymi obowiązkami. Jeżeli będzie się starał, nie będzie mu źle.

— Dziękuję jaśnie pani — odpowiedział Dolas, kłaniając się niczym lokaj w filmie z życia wyższych sfer.

W dalszym ciągu nowo kreowany ordynans dowiedział się, gdzie znajduje się komórka z opałem, gdzie się przechowuje klucze do piwnicy, gdzie szczotki, froterki itp.

W południe wszystkie czynności wstępne były załatwione i obaj kanonierzy maszerowali do koszar na obiad.

— Dobrześ zrobił, zostając ordynansem pana pułkownika — wywodził Hryćko. — Państwo są dobrzy, roboty dużo nie ma, prawie codziennie dostaniesz coś do zjedzenia, a jak pojedziesz na urlop, to pani da ci na drogę parę złotych.

— A pan pułkownik? — dopytywał się Dolas.

— Pan pułkownik też nie jest złym człowiekiem. Widzisz, jak on jest w koszarach, na koniu, z szablą i w mundurze, to wygląda jak księżę Poniatowski, co to jego portret wisi w świetlicy, a gdy w domu zżuje buty, założy kapcie i zdejmie mundur, to wygląda jak ekonom od pana dziedzica.

„Ma rację ten cały Hryćko — rozmyślał Dolas. — Mundur, ordery, szabla *to* niezbędne atrybuty wojska, bez nich oficer staje się niejako cywilem i schodzi z piedestału dowódcy. Weźmy zresztą inny wypadek, chory państwowy dostojnik, choćby to był sam prezydent, dla badającego go lekarza jest tylko pacjentem. Tak samo pułkownik, dowódca pułku, dla własnego ordynansa w mieszkaniu do pewnego stopnia przestaje być dowódcą.

Mijali właśnie bramę wejściową do pułku i zamyślony Dolas nie zauważył przechodzącego obok podporucznika Stanisławskiego, usłyszał natomiast głośne jego wołanie:

— Dlaczego nie oddajesz honorów, do jasnej Aniela?!

Podporucznik Stanisławski był znanym w pułku fasoniarzem, wyglądał zawsze tak, jakby przed chwilą opuścił zakład krawiecki. Podporucznik przywiązywał ogromne znaczenie do zewnętrznej dyscypliny i najmniejsze niedociągnięcie w tej dziedzinie nie uchodziło jego uwagi. Poza tym w pułku i w miasteczku krążyła fama na temat jego miłosnych wyczynów i kawalerskich rozróbek.

— Dlaczego, do jasnej Anielci, pętacie się w południe po mieście? — dopytywał się podporucznik.

— Byliśmy u pana pułkownika — objaśniał Hryćko, przyjmując niedbale postawę zasadniczą. — Kanonier Dolas właśnie obejmuje funkcję ordynansa u pana pułkownika.

Podporucznik popatrzył na Dolasa nieco cieplej. Pomyślał, że lepiej z nim nie zadzierać, bo może przy pucowaniu butów pułkownika szepnąć, że do podporucznika Stanisławskiego codziennie przychodzi blondyna z kantyny.

— Idźcie do baterii — łaskawie rozkazał pułkowy Casanova.

Podobnie musiał myśleć i podoficer kuchenny, zaprosił bowiem Dolasa na specjalny obiadek, a podoficer mundurowy postawił w kantynie piwo. W izbie dla ordynansów, zgodnie z tradycją, Dolas otrzymał najlepsze miejsce na parterze koło okna, obok spał ordynans zastępcy dowódcy pułku.

Objawy szacunku dla ordynansa dowódcy pułku wychodziły nawet poza koszary, bo

oto gdy nazajutrz poszedł do miasta po zakupy, sklepikarz na jego widok zawołał:

— Panie żołnierzu, proszę podejść do lady!

Oczekujący w kolejce klienci rozstąpili się, a Dolas został obsłużony poza kolejką.

Nie było w tym nic dziwnego. Starostą w miasteczku był major, burmistrzem kapitan, komisarzem policji też kapitan, a pułkownik pełnił jednocześnie funkcję komendanta garnizonu. Uważano go za przedstawiciela Naczelnego Wodza-Marszałka, podczas gdy tamci reprezentowali zaledwie ministra spraw wewnętrznych generała. Na wszystkich akademiach i galówkach pułkownik zasiadał w prezydium, on zagajał i on intonował *Pierwszą Brygadę*. Nic dziwnego, iż część tego splendoru spadała na Dolasa.

Praca u pułkownikostwa nie była istotnie ciężka i absorbująca. Sprzątał mieszkanie, trzepał dywany, froterował podłogi i dokonywał tak zwanych ciężkich zakupów. Wszyscy byli z niego zadowoleni, a Rozalia nawet zachwycona.

— Pan Adolf to jakiś dziwny — mawiała — zupełnie inakszy niż inni ordynansi.

Po czym wzdychała głęboko, stwierdzając, że służba u państwa to rzecz niewdzięczna. Zaznaczała, że posiada na PKO czterysta złotych, że można by wynająć na przedmieściu jakiś domek, gotować obiady, hodować kury i króliki.

Dolas, nieco zmieszany, udawał, że nie rozumie intencji tych przemówień.

W niedzielę, gdy całym pułkiem udawali się do kościoła garnizonowego na mszę, modlił się gorąco, aby się nie wydało, że jest doktorem historii sztuki i aby nie stracił ciepłej posadki, na której miał zamiar przetrwać do końca służby wojskowej.

Co miesiąc u pułkownika odbywały się tak zwane męskie brydże. Przybywali na nie miejscowi dostojnicy. Po kolacji panie znikwały na górze, a Rozalia w służbowym pokoju. Panowie zaczynali grę popijając z kieliszków napełnianych przez doktora historii sztuki. Początkowo gra toczyła się spokojnie i beznamiętnie, w powietrzu krzyżowały się brydżowe zawołania:

— Trzy bez atu. Kontra. Dwa piki. Bez dwóch. W miarę gdy opróżniały się butelki, gra stawała się bardziej ożywiona.

— Już pani Simpson wiedziała, że nie wychodzi się spod króla — przygadywał starosta.

— Pan gra jak admirał. Naturalnie, admirał japoński Noga — burczał pułkownik.

Po pięciu lub sześciu robrach gra się kończyła. Kieliszki zaczynały krążyć szybciej, wspominano wojenne lata, naturalnie przy chóralnym śpiewie *O mój rozmarynie, Wojenko, - wojenko*, a na końcu, przy żurawiejkach, gdy intonowano pieśń niewinnie zaczynającą: „Anioł jest to sługa boży...”, Dolas wiedział, że należy sprowadzać dorożki, bo niedługo zacznie się ekspedycja gości. Czasem któryś z nich upierał się, że będzie spał w łazience lub

kuchni.

Po odjeździe gości pułkownik układał się do snu, a Dolas pomagał ściągać buty.

— Jak myślisz, mój Dolas, będzie wojna czy nie będzie?

— Nie wiem, panie pułkowniku.

— A jak będzie wojna, to wiesz, jak się zakończy?

— Nie wiem, panie pułkowniku.

— Zwyczajnie. Zbijemy kuper Hitlerowi, że raz na zawsze mu się odechce zaczynać z nami.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Na razie mam przyjemność, że pan Adolf ściąga buty polskiemu pułkownikowi. Kto ci dał takie głupie imię? — Rodzice, panie pułkowniku.

— Słusznie. A skąd pochodzisz?

— Ze Śląska.

— Ze Śląska robotnik rolny Adolf i ściąga buty polskiemu pułkownikowi. Mruczał i zasypiał, a Dolas sprzątał mieszkanie i wracał do koszar. Spotykał tam ordynansa podporucznika Stanisławskiego, u którego też była zabawa.

— Pan porucznik, jak mu się za coś dziękuje, to każe odpowiadać „ku chwale kochanki pana porucznika” — zwierzał się ordynans. — A tych kochanek do pana porucznika przychodzi! O rany! Jedna to się dziś rozebrała do nagusa, wsadziła w tyłek ogonek od śledzia i wołała: „Jestem syreną!”

Takich rozrywek u pułkownika Dolas nie miewał.

W okresie zbliżających się świąt Wielkanocy udał się osobiście z panią pułkownikową po świąteczne zakupy. Pułkownikowa próbowała łyżeczką masło, a on stał z boku, trzymając pod pachą żywego indora, a w siatce zarżniętą gęs i kopę jaj.

Rynek, na którym odbywał się targ, stanowił centrum tego grodu. Pośrodku stało coś w rodzaju obelisku otoczonego żelaznym płotkiem, ze szczytu obelisku startował do lotu ptak — rzekomo orzeł. Całość nazywała się Pomnikiem Wolności. Tu w dni świąt narodowych składano wieńce i wygłaszano przemówienia, wokół gromadziły się miejscowe organizacje ze „Strzelcem” na czele. Naprzeciwko pomnika stawał pułk w szyku konnym. Dziś wokół pomnika rozstawiły się furmanki okolicznych chłopów. Dobijano transakcji handlowych, targując się o każdy grosz. Rynek był zabudowany obdrapanymi, nędznymi domami. Wyjątek stanowiła duma miasteczka — ratusz. Była to zupełnie niebrzydka budowla klasycystyczna, przypominająca pałacyki Kubickiego. Niestety, jakiś domorosły architekt dobudował pawilon, psując wszystkie proporcje, a miejscowy plastik pomalował ratusz w pstrokate

paski. Dolas, ile razy patrzył na ratusz, tyle razy myślał: „Jakbym był bogaty, to bym kupił ratusz, kazał rozebrać przybudówkę i na nowo otynkować fasady”.

— No więc co, Dolas, umiecie, czy nie? — usłyszał pytanie pułkownikowej, wrywające go z zadumy.

— Nie, nie umiem — odpowiedział, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.

— A czytać też nie umiecie? Spojrzał zdziwiony na pułkownikową.

— Pytałam się was, czy umiecie pisać, odpowiedzieliście, że nie, to chyba czytać też nie potraficie?

— Nie, nie umiem — odpowiedział, zadając sobie w duchu pytanie, czego ta baba od niego chce.

Pułkownikowa wepchnęła do siatki parę oselek masła i ruszyli w stronę willi. W kuchni Rozalia oglądała zakupy, macała gęsi i indyka, a pani domu zniknęła na górze. Kanonier Dolas nie przypuszczał nawet, że w tym czasie, gdy zamykał indora w komórce, aby tam go jeszcze nieco podtuczyć, w pokoiku panny Wandy zapadły decyzje, które miały zaważyć na jego najbliższej przyszłości. Wróciwszy do kuchni usłyszał od Rozalii, że ma natychmiast zgłosić się do pokoju panienki.

Zaciekawiony, czego od niego może chcieć córka komendanta garnizonu, wytarłszy starannie buty, udał się na górę. Obie panie siedziały przy niedużym biurku założonym książkami. Pułkownikowa, poprawiwszy fryzurę, zwróciła się do Dolasa:

— Mój drogi Dolas. Jesteśmy wszyscy zadowoleni z waszej pracy. Jesteście chętny do roboty, uczciwy, jak to przekonał się, pracowity, ale to mało jeszcze. Jak się dziś dowiedziałam, jesteście analfabetą, to znaczy takim nieszczęśliwym człowiekiem, który nie umie czytać i pisać. Tak być nie może. Postanowiłyśmy z panienką nauczyć was czytać i pisać. Do cywila musicie wrócić jako pełnowartościowy obywatel.

Nasz młody doktor spodziewał się usłyszeć wszystko: że nie nadaje się na ordynansa, że jest ostatnią ofertą, ale nie propozycją nauki czytania i pisania. W pierwszej chwili chciał powiedzieć, kim jest naprawdę i że wiele mógłby nauczyć swoje nauczycielki, choćby poprawić ich kiepską francuszczyznę, ale szybko doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Straci ciepłą posadkę, a nic nie zyska.

Pułkownikowa zauważyła zdziwienie na twarzy Dolasa i wytłumaczyła je sobie opacznie.

— Widzę, że nie jesteście tym zachwyceni. Pewnie myślicie, że jesteście za starzy. Nie macie racji, mój Dolas. Na naukę nigdy nie jest za późno.

Dolas zgodził się z tym skwapliwie i podziękował obu paniom za chęć uczenia go.

Potem panna Wanda zaczęła go wypytywać, jak to się stało, że jest analfabetą. Skomponował na oczekaniu wzruszającą historyjkę, jak to cała jego rodzina zginęła w czasie wojny od jednego pocisku.

— Tylko ja jeden ocalałem, bo mnie właśnie matula wyгнаła w pole po gęsi.

— O mój biedaku — roztkliwiła się panna Wanda — to wyście byli bardzo nie-szczęśliwi i biedni.

— O tak, panienko. Wychowywałem się u obcych ludzi i nikt nie myślał o mojej nauce.

Wzruszone panie obiecały, że za to teraz nadrobi wieloletnie zaniedbania. Odrabianie zaczęło się natychmiast, bo już na drugi dzień Dolas przystąpił do nauki.

Początkowo usiłował robić z siebie tumana, który w żaden sposób nie nauczy się sylabizować „Ala ma kota”. Jednak obie nauczycielki były cierpliwe, nie zrażały się tępotą ucznia i co ważniejsze — miały mnóstwo czasu. Pułkownikówna postanowiła zastosować inny system nauczania. Pułkownik był zdania, że stosując ten system, przez dziesięć lat nikt nie nauczy się czytać. Jakież było jednak ogólne zdumienie, gdy uczeń zaczął czynić błyskawiczne postępy. Dolas bowiem, doszedłszy do wniosku, że udawanym tumaństwem nie zgębi nauczycielek, postanowił szybko nauczyć się dukać, licząc, że zostanie zwolniony z dalszej nauki. Po dwóch więc miesiącach czytywał płynnie całe powiastki, jak to Jaś idzie do szkoły. Nauczycielki były zachwycone, stawiając go za wzór innym paniom uczącym analfabetów.

Kiedyś, gdy wychodził z lekcji, zatrzymał go w hallu sam dowódca pułku:

— Mój drogi Dolas, słyszałem, że uczycie się bardzo dobrze. Cieszę się z tego, w nagrodę otrzymujecie cztery dni urlopu. I pamiętajcie o jednym: w życiu dochodzi się do celu tylko nauką i pracowitością. To mi zawsze mówił w szkole mój stary nauczyciel.

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedział Dolas, dodając w duchu, że ten nauczyciel był niegłupim facetem.

Był to pierwszy urlop kanoniera Dolasa od początku jego służby wojskowej. Jechał więc pełen radosnego podniecenia w stronę Katowic. Nastrój psuła mu świadomość, że zjawi się w rodzinnym mieście w charakterze zwykłego kanoniera. Dolas-senior nie przejął się zbytnio niepowodzeniami syna w służbie Marsa, stwierdzając filozoficznie:

— Trudno, mój synu. Pamiętaj, że w wojsku potrzebni są generałowie i kanonierzy. Każdy, kto uczciwie spełnia swe obowiązki, jest dobrym żołnierzem. Ojca martwiła bardziej sytuacja polityczna.

— Hitler zajął Czechosłowację, oderwał od Litwy Kłajpedę i powszechnie mówi się, że szykuje się na Polskę.

Dolas junior był w tej materii optymistą. Powtarzał to, co słyszał od pułkownika i co mówiono im na pogadankach.

— Jesteśmy silni i nie boimy się Hitlera — mówił.

Odwiedził znajomych i rodzinę, posiedział trzy dni w rodzinnym mieście i pożegnawszy rodziciela ruszył w drogę powrotną.

Przejeżdżając przez Warszawę wpadł do jednego z antykwariatów na Świętokrzyskiej. Znalazł tam ciekawą rozprawę w języku francuskim na temat ornamentacji dział w XVII i XVIII wieku. Jako artylerzysta i historyk sztuki, zainteresował się tym dziełkiem i kupił je zabierając ze sobą.

W koszarach powstał problem, gdzie schować książkę. Bał się ukryć ją w szafie, gdyż mógł ją tam znaleźć szef. Postanowił ostatecznie zanieść ją do mieszkania pułkownika i schować w bibliotece.

Obu paniom podziękował za urlop, zapewniając, że weźmie się do pracy w zdwojonym tempie, licząc, że może jeszcze kiedyś otrzyma w nagrodę urlop.

W parę dni później do miasta przybył teatr, pułkownik z rodziną udał się na przedstawienie, a Rozalia miała wychodne. Jemu więc przypadł obowiązek pilnowania mieszkania. Ledwie zamknęły się drzwi, Dolas wyciągnął z ukrycia książkę i zabrał się do studiowania dzieła w gabinecie pułkownika.

Lubił ten gabinet. Pośrodku stał mały okrągły stolik z czterema klubowymi fotelami. Nad dębowym biurkiem wisiał portret pułkownika z okresu jego służby w legionach. Jedną całą ścianę zajmowała potężnych rozmiarów, pełna książek biblioteka. Pułkownik dowodził pułkiem od niedawna, przedtem był wykładowcą w Wyższej Szkole Wojennej. Do pułku w tej zapadłej mieścinie przybył dla odbycia stażu w dowodzeniu, niezbędnego przed awansem na generała. Pułkownik nie zrywał jednak kontaktu ze Szkołą, pisywał artykuły i dużo czytał. Jego biblioteka była zbiorem dzieł o tematyce wojskowej. Dolasa ten temat nigdy nie interesował, nie przeglądał więc książek pułkownika.

Włączył radio nadające koncert symfoniczny i otworzywszy książkę zabrał się do czytania.

— Jak rozkosze, to rozkosze — powiedział głośno doktor Dolas.

Wstał z wygodnego klubowego fotela i wyszedł do kuchni. W kredensie znalazł puszkę z kawą. Zagotował na elektrycznej maszynie wodę i zaparzył filiżankę mocnej kawy.

Pełnia rozkoszy pucybuta pana pułkownika została spełniona. Przyciszone radio, filiżanka mocnej kawy i ciekawa książka w języku francuskim. Powoli przewracał kartkę po kartce. Po raz pierwszy odkrył, że artylerią można interesować się nie tylko z punktu

widzenia wojskowego. Armata to nie tylko przyrząd do zabijania ludzi, koni i niszczenia domów. Armata to także przedmiot muzealny. Wiedział, że działa z XVII i XVIII wieku były bogato ornamentowane, ale nigdy nie zastanawiał się nad znaczeniem ozdób i sposobem ornamentacji. Przewracał stronicę, przyglądał się rysunkom, robił zapiski na marginesach.

— Dolas, co wy czytacie?

Zerwał się wystraszony z fotela. Obok stała pułkownikowa. Tak był pogrążony w lekturze, że nie usłyszał jej wejścia.

— Dolas, co wy czytacie? — usłyszał po raz drugi.

Wzięła do ręki książkę. Początkowo sądziła, że oglądał obrazki. Zapiski na marginesach przeczyły temu. Po raz pierwszy przyjrzała się uważniej jego inteligentnej twarzy. Znow popatrzyła na książkę: nigdy jej u nich nie było.

— Dolas, powiedzcie mi prawdę. Jaką wy macie skończoną szkołę?

— Ja, proszę pani, skończyłem Uniwersytet Jagielloński. Jestem doktorem historii sztuki.

Pułkownikowa zachwiała się.

— O Boże! — jęknęła. — Janku, ty słyszysz?

— Co się stało? — zapytał pułkownik, wchodząc do gabinetu.

— Dolas jest doktorem historii sztuki.

— Najlepszy kawał, jaki słyszałem. Dwa miesiące temu analfabeta, a dziś doktor historii sztuki. Kto tu wypił za dużo wódki?

— Nikt wódki nie pił. Popatrz, co czyta nasz analfabeta. Pułkownik wziął książkę do ręki i rzucił okiem na tytuł.

— Skąd macie to dzieło? Szukam go od wielu lat. To biały kruk.

— Kupiłem je, panie pułkowniku, w antykwariacie na Świętokrzyskiej. Dowódca pułku usiadł w fotelu, wertując stronę po stronie. W drugim fotelu rozsiadł się jego pucybut — doktor Dolas.

— Nigdy, panie pułkowniku, nie przypuszczałem — wywodził swobodnie

Dolas — że ornamentacja dział może być przedmiotem studiów. O, weźmy choćby armatę, dzieło drezdeńskiej ludwisarni.

- Właśnie, właśnie! — ożywił się pułkownik. — Otóż niech pan sobie wyobrazi, w muzeum wojska w Wiedniu...

Zza pleców Dolasa dobiegło wyraźne chrząknięcie. Pułkownik zamknął książkę i zapytał ostro:

— Więc wy naprawdę macie skończony uniwersytet?

- Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedział Dolas, przyjmując postawę zasadniczą.

Dowódca pułku chciał szpetnie zakłąć, ale spojrzawszy na żonę i córkę zapytał spokojnie:

— To dlaczego udajecie analfabetę i półgłówka?

Dolas wyjaśnił, jak to się wszystko stało, zapewniając, że nie chciał nikogo wprowadzić w błąd. Po prostu głupi zbieg okoliczności.

— Idźcie do koszar, jutro pogadamy.

Nazajutrz rozmowa zaczęła się od wizyty porucznika Nowackiego u dowódcy pułku.

— Panie poruczniku — powitał go pułkownik — u pana w baterii jest mój ordynans, kanonier Dolas. Co pan może o nim powiedzieć? Czym on jest w cywilu?

— Robotnikiem rolnym, panie pułkowniku.

— Robotnikiem rolnym! Taki z niego robotnik, jak z pana biskup. Pan wie, kim on jest? Doktorem historii sztuki. Kandydatem na profesora. A pan go przedstawia jako robotnika rolnego. W dodatku analfabetę. Pan wie o tym, że moja córka uczyła go czytać i pisać? Córka komendanta garnizonu, dowódcy pułku, przedstawiciela pana marszałka na miasto i powiat uczy czytać i pisać doktora historii sztuki! Jeżeli to się wyda, jesteśmy skompromitowani. I to wszystko dzięki bałaganowi, jaki panuje w dziewiątej baterii dowodzonej przez pana. Pan, zdaje mi się, chciał się żenić?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Na razie niech pan sobie zafunduje niańkę, a potem dopiero pomyśli o zakładaniu rodziny.

Następna rozmowa odbyła się w kancelarii dziewiątej baterii.

— Szefie, co to za bałagan w baterii? Nie znacie swoich ludzi — wołał od progu porucznik Nowacki. — Wiecie, kim jest Dolas.

— Robotnikiem rolnym.

— Takim robotnikiem jak wy jesteście biskupem On jest doktorem historii sztuki. A szef nie ma pojęcia, co się dzieje w baterii.

— Prychotko! — wrzasnął szef z kolei.

W drzwiach ukazała się wyelegantowana figura bateryjnego pisarza.

— Na rozkaz, panie szefie.

— Wyście spisywali zeszyt ewidencyjny Dolasa?

— Tak jest, panie szefie.

— Czy Dolas powiedział wam, że jest z zawodu historykiem sztuki?

— Tak jest. Ale nie mogłem takiego zawodu wpisać, gdyż nie figuruje on w wykazie

numer osiem.

— Idioto! Toż ten wykaz zawiera tylko zawody fizyczne. A kto wpisał „wykształcenie żadne”?

— Ja, panie szefie. Myślałem sobie, jakie wykształcenie może posiadać robotnik rolny? Chyba żadne. I tak wpisałem. Tak jest, panie szefie.

— Prychotko! Wyście chcieli zostać kapralem nadterminowym?

— Tak jest, panie szefie.

— To wy prędzej zobaczycie ucho śledzia niż drugą belkę. Odmaszerować! Dowódca baterii polecił wyznaczyć innego kanoniera na stanowisko pułkownikowego ordynansa, a Dolasa kazał przenieść do stajni.

— Panie poruczniku — zaoponował ogniomistrz — toż to oferta, pomarnuje nam konie.

— To co z nim robić?

— Ja myślę, że najlepiej dać go do drużyny OPL.

— Niech będzie — zdecydował porucznik.

Drużyna OPL składała się z dwóch starych, zdezelowanych elkaemów, ustawionych na chwiejnych, drewnianych trójnogach. Miały one bronić baterię przed atakiem z powietrza. Przy jednym z nich kanonier Dolas objął funkcję celowniczego. Z utratą stanowiska pułkownikowego ordynansa łączyła się naturalna utrata szacunku w baterii i pułku. Podoficer mundurowy nie fundował mu piwa w kantynie, podoficer kuchenny nie zapraszał na specjalne obiady, a podporucznik, do którego przychodziła blondyna z kantyny, parę razy dziennie zaczepiał Dolasa:

— Jak wy, do jasnej cholery, salutujecie?

Czy w mieście sprzedaliby mu coś bez kolejki — nie mógł się przekonać z tej przyczyny, iż nigdy nie dostawał przepustek.

Rozdział IV

w którym kanonier Dolas wyrusza na wojnę

Kanonier Dolas miał koszmarne sny. Najpierw śniło mu się, że go ciągną na szafot, potem, że mają rozstrzelać. Zbudził się obłany potem. To prawdopodobnie rezultat wizyty na posterunku żandarmerii. Straszili go tam, że pójdzie pod sąd wojskowy za podanie fałszywych danych przy spisywaniu zeszytu ewidencyjnego. Choć do pobudki było jeszcze

pół godziny, z korytarza dochodziły prowadzone podniesionym głosem rozmowy i odgłos kroków. W ogóle w pułku działy się dziwne rzeczy. Nie wyjechali na poligon i coraz więcej mówiło się o wojnie. Radio w świetlicy podawało propagandowe pogadanki, zapewniające, że jesteśmy silni, zwarci, gotowi. A pan Marszałek powiedział, że nie damy guzika od sukmany. Do izby wpadł szef.

— Chłopcy, wstawać! — zawołał. — Alarm! Mobilizacja!

A więc zaczęło się! Ubierali się w alarmowym tempie. Po godzinie Dolas w hełmie, z maską gazową, tkwił przy swoim elkaemie na dachu dowództwa pułku. Ukazali się pierwsi rezerwiści. Magazyny wypluwały nowe, mobowe sorty mundurowe, hełmy, maski gazowe, wydawano znaczki tożsamości i żelazne porcje żywnościowe. W południe bateria opuściła koszary, udając się do pobliskiej wioski — tam kończono mobilizację. Wieczorem oficerowie rezerwy objęli plutony, kanonierzy i podoficerowie rezerwy uzupełnili stany baterii do bojowych etatów. Wszyscy byli przejęci, pełni entuzjazmu i wiary, że dadzą godną odprawę Hitlerowi. Po dwóch dniach bateria była gotowa do wyjścia w pole. Na przegląd przybył sam dowódca pułku.

Cztery działony 100-milimetrowych haubic, otoczone kanonierami w nowych mundurach, w bojowych hełmach, robiły imponujące wrażenie. Pułkownik odebrał raport. Wolno przejechał na swym gniadoszu przed frontem, przyglądając się uważnie żołnierzom, po czym uniósłszy się w strzemionach przemówił. Mówił długo i kwiecicie o tym, jak to polski żołnierz zawsze wypełniał swój żołnierski obowiązek i jak to biliśmy Niemców na Psim Polu, pod Płowcami i Grunwaldem. Młodzi żołnierze słuchali słów pułkownika z półotwartymi ustami, rezerwiści dość obojętnie, a kanonierowi Dolasowi przypomniało się powiedzenie z jakiejś książki:

„Gdy dowódcy przemawiają do honoru żołnierza — to znaczy, że jest źle”. Czyżby to było prawdą?

Czwartego dnia mobilizacji dywizjon wyruszył na stację. Zaczęli się ładować do wagonów kolejowych. Żegnały ich liczne rzesze mieszkańców miasteczka. Panie z komitetu opieki nad rezerwistami rozdawały upominki. Wśród okrzyków „Na Berlin!” pociąg powoli ruszył w nieznane.

Kanonier Dolas umieścił się ze swym elkaemem na wozie z sianem, wypatrując na słonecznym sierpniowym niebie wrogich samolotów. Mijali stacje kolejowe oblepione propagandowymi afiszami. Z jednych groźnie szczyrzyły lufy ciężkie działa, z innych łagodnie uśmiechał się Rydz-Śmigły, liczne eskadry wypełniały niebo nad głową Wodza. Przejeżdżający pułk witały i żegnały na każdym postoju różne komitety i licznie

zgrupowana ludność cywilna. W tłumie przeważały wzruszone twarze kobiet.

— Na Berlin! Na Berlin! — wołano. — Powtórzmy Grunwald!

Po trzydziestosześciodzinnej podróży wyładowali się na małej stacyjce. Zaledwie jako tako ustawiła się kolumna, gdy padła komenda: „Marsz!” Piaszczystymi polnymi drogami jechali przez lasy na zachód, wieczorem dywizjon zatrzymał się na postój w wiosce rozrzuconej między leśnymi kępami. Konie, wozy, działa i jaszczce starannie zamaskowano pod drzewami i między zabudowaniami. Żołnierzom zabroniono wałęsać się po wsi. Jedyne staroświecki odbiornik, radiowy w wiosce podawał co parę godzin komunikaty o sytuacji politycznej. Lada godzina spodziewano się wybuchu wojny.

Od świtu pierwszego września kanonier Dolas jak zawsze tkwił przy elkaemie. Przed szóstą wrócił z kuchni amunicyjny, postawił na ziemi menażkę z kawą i powiedział najnormalniejszym tonem:

— Wybuchła wojna.

Potem powiedział, że wiadomość jest pewna.

— Mówił to sam major, dowódca dywizjonu. Niemcy przekroczyli polską granicę. Pan prezydent wydał odezwę od wojska, wierzy, że zwyciężymy. Wiadomości te podało radio.

Na razie nic się nie działo. Jedynie po niebie ciągnęły na wschód chmury samolotów. Kanonier Dolas obserwował je uważnie, ale nie strzelał: były za wysoko. W południe ukazało się parę maszyn lecących nieco niżej. Wygarnął do nich całą taśmą. Po paru minutach zjawił się przy nim dowódca dywizjonu.

— Dolas, dlaczego wy bezmyślnie marnujecie amunicję? Czyż nie widzicie, że one lecą za wysoko?

Kanonier Dolas wiedział, że z elkaemu strzela się do samolotów lecących poniżej 600 metrów, ponieważ jednak z drugiej strony jego znajomość lotnictwa ograniczała się wyłącznie do drewnianych modeli samolotów ciągnących po dziedzińcu koszar, trudno mu było określić, czy samoloty lecą na wysokości 600 czy 6000 metrów.

— A poza tym — ciągnął major — nie należy strzelać, gdy samolot nie atakuje nas. W tym wypadku tylko niepotrzebnie zdradza się własne stanowiska.

- Tak jest, panie majorze — karnie odpowiedział Dolas, przyrzekając sobie w duchu ściśle zastosować się do rozkazów majora. „Muszę być dobrym żołnierzem — powiedział sobie. — Teraz jest wojna”.

Stopniowo ogarnęło wszystkich podenerwowanie. Tam gdzie toczy się walka, a oni czekają Bóg wie na co. Do granicy stąd jest podobno ponad sto kilometrów, gotowi jeszcze spóźnić się na rozprawę z Hitlerem. Minęły dalsze dwa dni. Porucznik Nowacki uspokajał

żołnierzy, że są na razie w odwodzie, ale i dla nich przyjdzie czas działania. Niech się nikt nie obawia, że bez niego zakończy się wojna.

W nocy z 4 na 5 września ogłoszono alarm. Dywizjon wyruszył pełen podniecenia. O świcie znaleźli się na szosie zapchanej piechotą i włączyli w kolumnę. Słońce mieli za sobą, więc maszerowali na zachód, na Berlin. Po paru godzinach kolumna zatrzymała się. Piechota rozsypała się po rowach, działa stały pod drzewami, kanonierzy zeskoczyli z przodków i koni. Oficerowie chodzili wzdłuż kolumny, pilnując jakiegoś takiego maskowania. Dolas ustawił się ze swoim karabinem na polu w pobliżu drogi. Za pomocą lornetki polowej obserwował niebo. Po upływie pół godziny przykłusował dowódca pułku. Przejechał wzdłuż kolumny, porozmawiał z oficerami i zatrzymał się niedaleko stanowiska elkaemu.

— Pewnie mapa się skończyła i nie wiedzą, gdzie jechać — zauważył amunicyjny.

— Głupi jesteś — odciął się Dolas.

W tym momencie od zachodu dobiegło brzęczenie lotniczego silnika.

— Lotnik! Kryj się! — rozległo się wołanie wszystkich dowódców.

Samolot leciał nisko i powoli. Okrążył kolumnę i nadlatywał teraz ze wschodu. Dolas widział wyraźnie wychylonego z kabiny lotnika. Gdy przelatywał tuż nad nim, oderwało się coś z kadłuba.

— Bomba! Bomba! — rozległo się wołanie.

Kanonierowi Dolasowi przypomniały się wskazówki majora. Wycelował, odłożył poprawkę i nacisnął na spust. Elkaem zaszczekał raz, drugi, trzeci. I nagle stało się coś dziwnego. Silnik samolotu zadymił, kichnął, prychnął i umilkł. Samolot ze stojącym śmigłem powoli, lotem ślizgowym zbliżał się do ziemi. Po chwili dotknął kołami buraczanego pola. Coś nim podrzuciło, podskoczył w górę i przewrócił się na plecy.

Powietrzem targnął dziki okrzyk:

— Zestrzelony!

Żołnierze hurmem puścili się w stronę leżącego na polu nieprzyjacielskiego samolotu. Dowódca pułku podjechał do Dolasa, który w dalszym ciągu trzymał tylce elkaemu, jak gdyby dziwiąc się, że to właśnie on zestrzelił hitlerowski samolot.

— Dolas! — powiedział pułkownik. — Wiedziałem, że z was będzie żołnierz.

Awansuję was na polu walki do stopnia bombardiera. Pierwszy Krzyż Walecznych przeznaczam dla was. Żołnierze...

Pułkownik urwał w pół zdania, nadchodziła bowiem grupa żołnierzy, ciągnąc szamoczących się zestrzelonych lotników. Mieli na sobie zielone kombinezony, a jeden z nich na widok pułkownika zawołał:

— Panie pułkowniku, cóż to? Nie dość że zestrzeliliście nas, to jeszcze chcecie brać do niewoli?

— To wy jesteście polskimi lotnikami?

— A co, może tureckimi?

— To dlaczego nas bombardujecie?

— Kto bombarduje, do jasnej Anielci? Rzuciłem meldunek ciężarkowy z rozkazami Dowódcy Armii. Generał szuka was od rana. Pułkownik spojrzał na Dolasa i spurpurowiał.

— Ty durniu skończony! Ty matole! Czemuś strzelał do własnego samolotu? Poruczniku Nowacki! Co, do jasnej cholery, dzieje się u pana w baterii? Czemu pan wyznaczył tego kretyna do opeel? Czy pan uważa, że mamy za dużo własnych samolotów? Niech pan go zaraz zmieni, a potem do kryminału i pod sąd. — Tak jest, panie pułkowniku.

Pułkownik rzuciwszy wściekłe spojrzenie na Dolasa — odjechał.

Kanonier Dolas podszedł do porucznika, stanął na baczność i wyrecytował:

— Panie poruczniku, zapytuję posłusznie, gdzie jest kryminał i jak się tam udać?

— Dolas! Czy wy chcecie, abym został mordercą? Pójdziecie do czwartego działonu na środkowego jezdnego przy jaszczu. Marsz do koni! I nie zawracajcie mi dupy! — dodał widząc, że Dolas jeszcze coś chce powiedzieć.

Środkowa para przy jaszczu w czwartym działonie była najgorsza w całej baterii, a może i w pułku. Wierzchowym był wałach Ipsio, a podręcznym klacz Liza. Ta z piekła rodem para bez przerwy gryzła i kopała kogo i gdzie się tylko dało, nie miała natomiast najmniejszego zamiaru ciągnąć jaszczu. Gdy konie dyszlowe i przednie ociekały potem — Ipsio i Liza spokojnie kłusowały, opędzając się przed muchami i kombinując, kogo by tu ugryźć lub kopnąć.

Dolas zasalutował i udał się w stronę działonu. Ujął w dłonie wodze i zaczął drapać się na siodło. Ipsio zdążył go jeszcze ugryźć w lewy pośladek, a potem usiłował zrzucić z siodła.

Znaleziono meldunek ciężarkowy z rozkazem Dowódcy Armii i po chwili padła komenda:

— Przygotowanie do boju!

Kanonierzy sprawnie zeskoczyli z przodków, pozdejmowali z luf kaptury, pozakładali przyrządy celownicze. Całym dywizjonem owładnęło podniecenie. Piechota sformowała się w czwórki i ruszyła, za nią potoczyły się działa. Po godzinie minął ich kłusujący oddział kawalerii. Ułani pokrzykiwali, że przed nimi są niemieckie czołgi, które w nocy przedarły się aż tu. Ale zaraz z nimi zrobią porządek. Istotnie, coś się działo. Dowódca baterii ze zwiadem pojechał naprzód, na zachodzie widniały dymy pożarów, dobiegały słabe odgłosy strzelaniny.

Oficer liniowy jeździł konno wzdłuż baterii. Nawet Ipsio się uspokoił. Piechota przyspieszała tempa. Idące przed nimi siódma i ósma baterie wjechały w pole. Po chwili oficer ogniowy podał komendę: — Kłusem marsz! — Powtórzyli ją dowódcy plutonów i działonowi. Bateria wyjechała na rżysko i lekko galopując zbliżała się do anemicznego zagajnika. Odprzodkowali sprawnie jak na placu ćwiczeń i zajęli stanowiska na skraju zagajniczka. Przodki schowały się w małej dolince z bajorkiem. Obok biegła droga z betonowym przepustem. Kanonier Dolas popuścił popręgi i napił konie uważając, aby przy okazji nie oberwać od Ipsia lub Lizy. Słońce przypiekało. Położył się na trawie, odpoczywając po nocnym marszu. Siódma i ósma bateria już strzelały. Po paru minutach do głosu zapisała się i dziewiąta. Z kierunku stanowisk piechoty dobiegała gwałtowna strzelanina, potęgująca się z minuty na minutę. Bateria strzelała nawałami. Nagle wszystko się urwało. Dolas, wsłuchując się w odgłosy walki, usiłował wyciągnąć jakieś wnioski. Znów zagrały cekaemy, ale już bardzo blisko. Potem rozległa się gwałtowna strzelanina haubic. W znane im odgłosy kanonady włączyły się obce, suche trzaski. Haubice strzelały jedna przez drugą, jak tylko pozwalała na to szybkostrzelność. Suche trzaski stawały się coraz bliższe i jednocześnie dołączył do nich tajemniczy pomruk.

„Co to może być?” — zastanawiał się Dolas.

Na wzgórzu, zasłaniającym widok na baterię, ukazał się podoficer zaprzęgowy, był błądy i drżał ze strachu.

— Czołgi! Czołgi! Atakują baterię!

Wyrwał Dolasowi z rąk karabin i wystrzelił nie wiadomo po co parę razy w powietrze. Bateria zamilkła. Potem odezwały się dwa działa. Szum się zbliżył. Na wzgórzu ukazała się szara masa czołgu z białym krzyżem. Za nim drugi. Wieżyczki powoli się obracały, kierując wylot działek w stronę bezbronnej grupy koni i ludzi. Kanonier Dolas parometrycznymi susami rzucił się w stronę przepustu. Za sobą słyszał suchy trzask działek, ujadanie cekaemów, kwik koni. Coś mu bzyknęło koło uszu. Dopadł przepustu i zniknął w szerokiej rurze. Odetchnął.

Nie zdawał sobie sprawy, czy też leży godzinę, dwie, czy też pół. Gdy umilkły odgłosy walki, wyczołgał się z kryjówek. Na stanowisku przodków zobaczył trupy koni i ludzi. Wszystkie konie zabite, tylko wierzchowiec działonowego, przywiązany wodzami do koła rozbitego przodku, skubał trawę. Obok leżał plutonowy, dostał całą serię w brzuch. Dolas doliczył się jeszcze dziesięciu porzucanych zwłok. A gdzie reszta?

Odwiązał konia działonowego i ruszył na pagórek. Na skraju stłamszonego gąsienicami czołgów zagajnika stały resztki zmasakrowanej baterii. Pierwsze i drugie działo rozbite, obsługa nieżywa. Trzecie i czwarte całe, ale w jaszczu nie było ani jednego pocisku. Bronili

się do końca... W lasku leżeli zabici i ranni.

Zwłoki oficera ogniowego spoczywały obok rannego telefonisty.

Tak: bateria walczyła do końca. Na przedpolu stało osiem wraków czołgów. Jeden jeszcze dymił. Dolas pozbierał łżej rannych. Telefonistę posadził przed sobą na siodle i ruszyli w stronę szosy. W leśniczówce spotkał resztki dywizjonu zwiadu. Podoficer zwiadowczy nie miał pojęcia, co się stało z dywizjonem.

Zapadł zmierzch. Na zachodzie świeciły łuny pożarów i dobiegały nieregularne odgłosy walki. Zostawili rannych w leśniczówce i wyruszyli na poszukiwanie pułku.

Szosa była zarzucona rozbitymi wozami taborowymi, pomiędzy nimi przesuwały się rozsypane i pomieszane oddziały. Niemcy podobno nacierali piechotą z zachodu, a czołgi rzekomo wdarty się już na dalekie tyły. Po krótkiej naradzie skręcili z szosy na południe. Przedzierali się lasami licząc, że gdzieś spotkają zorganizowane oddziały wojska.

Nocny marsz po leśnych bezdrożach szybko wyczerpał siły. Plutonowy parę razy zarządził postój. Kanonierzy rzucali się na leśne poszycie. Z zachodu dolatywało dalekie dudnienie artylerii. Żołnierzy ogarnęło zniechęcenie i apatia.

— Kręcimy się jak gównu w przeręblu — mrucał jeden z kanonierów.

Rano dotarli do traktu biegnącego z zachodu na wschód. Na piaszczystej drodze widniały ślady gąsienic. A więc i tu byli już Niemcy! Trakt nieco skręcał na południe i biegł po szerokiej grobli. Za groblą ciągnęła się wieś. Ostrożnie, z karabinami w dłoniach weszli między zabudowania. Panowała tu pustka.

Ślady czołgów w dalszym ciągu widniały na wiejskiej drodze. Kury spacerowały pomiędzy zagrodami, szukając pożywienia, z obór dolatywał ryk głodnego bydła. W pobliżu sporego wiejskiego placu natknęli się na wypalone do cna zagrody. Na placu leżało kilka zabitych koni o wzdętych brzuchach i rozjechana przez czołg taczanka z wgniecionym w piasek karabinem maszynowym. Rozrzucone w nieładzie karabiny i hełmy uzupełniały obraz pobojuwiska. Wszystko wskazywało na to, że tu został zaskoczony przez czołgi oddział kawalerii. Czołgi rozjechały ułanów i pojechały dalej, a resztki kawalerii gdzieś się wycofały.

W niedużym wiejskim sklepiku spotkali sklepikarza. Potwierdził te obserwacje dodając, że ułani wycofując się wzywali ludność do opuszczenia wioski, bo może być duża bitwa. Prawie wszyscy posłuchali wezwania i uciekli w lasy. Paru ułanów poległo w walce, zdążyli ich jeszcze pochować na miejscowym cmentarzu.

— A znajdzie pan coś do jedzenia? — zapytał plutonowy.

— Naturalnie, po to jestem kupcem.

Zniknął w sklepiku i wróciwszy przyniósł parę bochnów chleba, osełkę masła i krążek

kiełbasy. Żołnierze łakomie przyglądali się smakołykom.

— Zagotuję jeszcze kawy — dodał.

Wygłodniali wojacy z wilczym apetytem zabrali się do śniadania. Od zachodu dobiegł głos lotniczych silników. Zadarli głowy i zobaczyli nadlatujący zespół stukasów. Szybko pochowali się pod drzewami i w cieniu chałup. Dwa samoloty odłączyły się od zespołu i przeleciawszy na małej wysokości prażyły z karabinów po chałupach i drzewach. Nie zobaczywszy godnych celów dla swych bomb, nabrały wysokości, dołączyły do reszty maszyn. Chwilę Niemcy krążyli w powietrzu, szukając ofiary. Przewracając się przez skrzydła, mknęły w dół, wyjąc silnikami na pełnych obrotach.

Zza wzgórze dobiegły odgłosy potężnych wybuchów, a nad drzewami wykwitły dymy. Stukasy po zrzuceniu bomb dały w górę, zaczynając od początku pracowitą robotę. Gdy ostatni napastnik wyrzucił ostatnią bombę, samoloty uformowały szyk i odleciały na zachód.

Żołnierze powychodzili z kryjówek, otrzepując się z piasku. Nie ponieśli żadnych strat. Zabrali się do gorącej kawy, którą właśnie sklepikarz wyniósł z chałupy. Dolas wypił łyk, gdy usłyszał rozkaz plutonowego:

— Dolas, skoczcie na pagórek i zobaczcie, kogo tak szkopy obrabiali.

— Tak jest.

Odstawił niedopitą kawę, wziął karabin na pas i ruszył szeroką, wysadzaną brzoziami drogą. Grzęznąąc w piachu, szedł pod górę, w stronę kępy drzew. Pomiędzy drzewami bielily się mury barokowego kościoła, krytego blachą i ozdobionego niedużą wieżą. Powoli doszedł do bramy, minął wykutą w *żelazie* kratę i przeszedł na drugą stronę cmentarza. Ze wzgórze rozciągał się widok na dolinę. W odległości około dwóch kilometrów biegła szosa. Po niej posuwały się konne kolumny, będące przed paru minutami celem niemieckich stukasów. Nie mógł z tej odległości rozpoznać, czy to tabory, czy też wozy uciekinierów. Obszedł wokół kościoła i wszedł do środka z zamiarem wejścia na wieżę. Przed głównym ołtarzem paliła się czerwona lampka. Przez witraże przeświecało jesienne słońce. Ściany i sklepienia świątyni pokrywały barwne malowidła. Ołtarze obramowywały barokowe amorki. Przyjrzał się obrazom. Nie były to arcydzieła, niemniej na ogół rzeczy dobre i wartościowe. Znał tego rodzaju płótna, robione przez niezłych malarzy we Włoszech na wzór wielkich mistrzów. Do Polski dostawały się one dzięki kolatorom lub duchownym, jeżdżącym z pielgrzymką do świętego miasta. Obszedł wokół ściany, studiując epitafia. Prawdopodobnie kościół ten, stojący na uboczu, uniknął zniszczenia i trwał w nienaruszonym stanie od XVII lub XVIII wieku. Zajrzał jeszcze do zakrystii. Na komodzie leżała porzucona w nieładzie komża, a drzwi były uchylone. Wyszedł na zewnątrz, zapominając, po co tu przybył.

Od zakrystii do plebani, przypominającej mały dworek, biegła alejka wysadzana różami. Dolas doszedł do ganku i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Znalazł się w ciemnym hallu. Naprzeciwko wejścia stała drewniana figura Matki Boskiej. Podszedł bliżej, przyglądając się ciekawie. Kościół był barokowy rzeźba gotycka nie mogła więc pochodzić z tej świątyni. Proboszcz musiał ją przywieźć z innej parafii, był więc niewątpliwie znawcą sztuki, skoro przełożył tę surową i prostą w formie rzeźbę nad cukierkowe gipsowe figurki. Popatrzył na ascetyczną twarz Madonny, surową i zastygłą z bólu. Pogłodził polichromię pokrywającą rzeźbione w drzewie fałdy sukni. Była nieco już podniszczona i uszkodzona przez korniki.

W prawo od hallu prowadziło wejście do kuchni. Tam nic go nie interesowało. Zawrócił w stronę jadalni. Na ścianach wisiało parę sztychów o tematyce sakralnej, reprodukcje Noakowskiego i akwarela przedstawiająca przed chwilą oglądany kościół. Na stole stały resztki jedzenia. Wyglądało, jakby ktoś opuścił pokój nagle,

przerywając posiłek. Obok talerza z resztkami jajecznicy leżała otwarta książka. Przewodnik po Florencji w języku francuskim.

„Florencja, stolica Toskanii, miasto, jak żadne inne na świecie — czytał Dolas na wstępie przewodnika — wydało tylu geniuszy ludzkości. Miasto, w którym narodziła się nowa wielka epoka w dziejach sztuki — Odrodzenie. Florencja miasto krwi, mordy, intryg książęcych, gwałtów i przemocy. Tu spalono Savonarotę, szalonego przeora Dominikanów, tutaj przed ołtarzem zamordowano księcia Juliana de Medici. A jednocześnie Florencja miasto najpiękniejsze, najbardziej bezinteresowne i oddane przyjaźni ludzi, których sztuka zadziwiła cały świat — Dante, Giotto, Brunelleschi i Donatello”.

Trzymając książkę w ręku, przeszedł do następnego pokoju. Tu była biblioteka. Odsunął płótno, zasłaniające półki z palonej sosny. Wziął w rękę pierwszy z brzegu tom.

"Malarstwo hiszpańskie — przeczytał tytuł wypisany złotymi literami. — Hm, to ciekawe”.

Odstawił karabin, zdjął hełm i rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, wertował dzieło. Przerzucił je pobieżnie i zabrał się do następnego. Tym razem była to niemiecka książka o gotyckich kościołach w północnych i południowych Niemczech.

Na dużych, barwnych planszach strzelały w niebo smukłe gotyckie budowle, ozdobione koronkowymi wieżyczkami, szczytami, filigranowym laskowaniem wysokich okien. Ciemne, strzeliste wnętrza przypominały mroki średniowiecza, a bajecznie kryształowe sklepienia mówiły o murarskiej sztuce, wzniesionej na szczyty w epoce gotyku.

Przejrzał jeszcze parę tomów i powrócił do przewodnika po Florencji. Przyglądał się

marmurowej postaci Dawida .Michała Anioła, stojącej przed wejściem do Pallazzo Vecchio.

— W przyszłym roku miałem jechać do Włoch — powiedział półgłosem. — Wątpliwe, czy obecnie da się to zrealizować.

— Hände hoch! — usłyszał gardłowy wrzask.

Wstał i powoli podniósł ręce, trzymając książkę w lewej dłoni. Odwrócił się. W drzwiach stało dwóch niemieckich żołnierzy w hełmach, z automatami w rękach. Jeden z nich podskoczył i sprawnie zrewidował Dolasa. Potem rozładował jego karabin.

— Raus! Schnell!

Ruszył do przodu. Na cmentarzu przy murze zobaczył niemieckiego oficera, obserwującego przez lornetkę szosę i okolicę. Żołnierze zameldowali o wzięciu do niewoli polskiego kanoniera.

— Gdzież on był? W kościele?

— Nie. Na plebana.

— Pewnie siedział w kuchni i żarł.

— Nein, Herr Oberleutnant. Siedział w gabinecie i czytał książkę. Oficer podszedł do jeńca, przyglądając mu się pogardliwie. Zauważywszy, że trzyma przewodnik po Florencji, wzruszył ramionami.

— Popatrzcie go, uczony! No, teraz będzie miał dużo czasu na czytanie. Odprowadźcie go na plac.

Po wsi kręciła się chmara niemieckich motocyklistów.

Rozdział V

w którym jeńiec wojenny Dolas uprawia sabotaż przeciwko III Rzeszy

Szczytowy okres kariery barona von der Wiederschatz przypadł na początek I wojny światowej. Był wówczas młodym jeszcze, dziarskim pułkownikiem dowodzącym dywizją c.k. kawalerii. Niestety, w pierwszej bitwie granicznej kozacy rozbili jego dywizję tak doszczętniej że nie udało się zebrać ułanów do końca wojny. Pan pułkownik siedział więc bez przydziału, dziwiąc się temu, co się stało. Dziwił się przez długie lata. Dziwił się, gdy rozpadła się naddunajska monarchia, dziwił się, gdy poszedł na emeryturę, a najbardziej się zdziwił, gdy pewnego marcowego poranka w Wiedniu zjawiły się czołgi Adolfa Hitlera. W następnej fazie, gdy zniknęła niepodległa Austria i resztki wspaniałej ongiś c.k. armii, zdziwienie przeszło w oburzenie. Gdy jednakże w końcu sierpnia baron von der Wiederschatz

został powołany do czynnej służby, ba! nawet awansował do stopnia generała — oburzenie przeszło w głośne uwielbienie dla austriackiego gefrajtra. Wprawdzie pan baron nie był „Ihre Exzellenz”, lecz zwykłym „Herr General” — mimo wszystko była to jednak wyższa godność niż stanowisko pułkownika w stanie spoczynku.

Nowo mianowany generał objął stanowisko nie wymagające szczególnych umiejętności operacyjnych — został mianowicie komendantem obozu polskich jeńców wojennych.

Obóz znajdował się w Dolnej Austrii i składał się ze starych, pamiętających pierwszą wojnę baraków, ustawionych w prostokącie otoczonym siatką z drutu kolczastego.

Gdy generał zjawił się po raz pierwszy w swojej jednostce, obóz świecił pustkami. W miarę jednak posuwania się Niemców w głąb Polski, zaczęto przywozić ze wschodu liczne grupy polskich jeńców.

Gwoli historycznej ścisłości należy stwierdzić, że generał swoją funkcję starał się pełnić jak najdostojniej. Skoro tylko na pobliską stację zajeżdżał transport z jeńcami, komendant dosiadał konia i w bramie oczekiwał swych podopiecznych. Odbierał coś w rodzaju defilady, a następnie wygłaszał na placu apelowym długie powitalne przemówienie. Z biegiem czasu przemówienia te stawały się coraz dłuższe, coraz bardziej kwieciste i pompatyczne. Ponieważ generał nie mógł zagrzewać do walki c.k. ułanów, chciał więc przynajmniej podnieść na duchu pokonanych polskich żołnierzy.

Jeńcy, zmęczeni niedawnymi walkami i długim uciążliwym transportem, nie słuchali gładzenia starego ramola, zresztą mało kto znał język niemiecki, a obozowi urzędowi tłumacze skracali przemówienie, tak że język polski w tej interpretacji wydawał się dla generała dziwnie lakoniczny.

Uroczystość kończyła się tradycyjnym zwrotem:

— A teraz odmaszerować do odwszalni.

Generał odjeżdżał stępa, a wartownicy prowadzili jeńców do budynku z napisem „Waschraum”.

Gdy obóz zaludnił się i przestały nadjeżdżać dalsze transporty, skończyły się generalskie przemówienia i powitalne uroczystości. Generał zaczął wówczas wydawać instrukcje o zachowaniu się jeńców w obozie, na apelu, w baraku, w jadalni, w latrynie. Instrukcji nikt naturalnie nie czytał, gdyż nikogo nie interesowały, a poza tym były zredagowane w tak fatalnej polszczyźnie, że w ogóle nie można było zrozumieć, o co chodzi.

W następnej fazie „Her General” zabrał się do podciągania tężyzny fizycznej swych podopiecznych. Rano musieli więc odbywać ćwiczenia gimnastyczne, a następnie ze śpiewem maszerowali grupami do pracy poza terenem obozu.

Generała nieco to denerwowało, z drugiej strony rozumiał jednak, że to wszystko służy umacnianiu potęgi wielkiej Rzeszy i jej Wodza. A Wodza generał uwielbiał coraz bardziej. Jesienią 1939 roku zwyciężył Polskę, wiosną i latem następnego roku Norwegię, Holandię, Belgię i Francję. Generał von der Wiederschatz w skrytości ducha liczył, że może wódz powierzy mu jakieś bardziej odpowiedzialne stanowisko. Ale na to trzeba było zasłużyć. Chodził więc pomiędzy barakami dumając, jaką by tu spłodzić jeszcze instrukcję.

W jednym z baraków mieszkał nasz stary znajomy — dr Dolas, obecnie „polnische Kriegsgefangene acht hundert drei und siebzig”.

Dolas zajmował środkowe miejsce w piętrowym łóżku stojącym w końcu baraku, nad nim „mieszkał” Maciaszczyk, a pod nim Kąkol — dwaj marynarze z obrony Helu. Kanonier Dolas pełnił w obozie odpowiedzialną funkcję starszego grupy roboczej. Oprócz dwóch marynarzy w skład grupy wchodziło jeszcze siedmiu żołnierzy. Była to wygodna funkcja. Dolas rozdzielał robotę i niby to razem ze wszystkimi pracował. W rzeczywistości całą robotę odwalali za niego jego podwładni. A on w zamian za to czytywał im niemieckie gazety i dzielił się obfitymi paczkami otrzymywanymi od rodziców.

Zimą 1941 roku grupa Dolasa została wysłana na roboty do odległego o 20 kilometrów majątku. Zdziwiło ich to. Co można robić zimą na roli? Okazało się jednak, że posiadłość pana Karla Mayera jest wzorowym gospodarstwem zarodowym. Było tu stado baranów wszelkich ras, knury niczym nosorożce, no i największa chluba gospodarstwa — cztery dorodne buhaje. Buhaje słynęły w całej okolicy, wszyscy bauerzy i właściciele większych posiadłości rolnych ochoczo płacili panu Mayerowi, byle tylko ich krówki poromansowały ze sławnymi buhajami.

Trzeba przyznać, że bydlaki, stanowiące podstawę dobrobytu pana Mayera, mieszkały niczym książęta z bajki. Za to Dolasowi podwładni znacznie gorzej. Ulokowano ich na poddaszu gorzelni, a na dole kwaterowało czterech starych wachmanów. Na poddaszu było brudno, ciemno i ciasno, lecz ciepło, a poza tym, jak to odkryli marynarze Maciaszczyk i Kąkol, można było stąd wychodzić bocznym wejściem, omijając wartowników. Miało to swoje niewątpliwe zalety. Dolas przydzielił do pracy przy buhajach dwóch ułanów, sądząc, że ci najlepiej dadzą sobie z nimi radę, marynarzy do świniami, a resztę do owczarni.

Zaraz na drugi dzień jeden z sąsiadów Herr Mayera przyprowadził parę rasowych krówek, by je skojarzyć ze sławnymi buhajami.

Okazowego zarodnika wyprowadzono pod opieką obu ułanów. Na widok krów byk ryknął potężnie, a następnie usiłował stratować swoich opiekunów. Ci w jednej chwili zostawiwszy byka na placu, zniknęli w oborze. Buhaj, pozbywszy się opieki, puścił się teraz

w stronę pana Mayera, stojącego w towarzystwie właściciela krów. Zobaczywszy pędzące bydło, obaj uciekli do wozowni. Wartownicy, nie czekając, aż ich zaatakują rozpędzone zwierzę, szybko wdrapali się po schodkach na balkon gorzelni i trzymając na wszelki wypadek karabiny na „gotuj broń” — obserwowali, co się dzieje na podwórzu.

Buhaj, zdenerwowany zamieszaniem, jakie wywołał, szalał na całego, traktując co tylko znalazło się w polu widzenia. Mayer - leżąc pod wozem — wrzeszczał:

— Zatrzymać go! Złapać go!

Nikt się naturalnie do tego nie kwapił, a krowy stały uwiązane do barierki i machając ogonami przyglądały się, co też wyprawia ich niedoszły amant. Nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby na podwórzu nie ukazała się rozłożysta dama o szerokim zadzie i bujnym biuście. Buhaj na jej widok uspokoił się jak baranek. Dama ta, nosząca nazwisko Zingler, a pełniąc funkcję dójki, podeszła do zarodnika, pogłaskała po karku i ująwszy za kółko w nosie, zaprowadziła do obory.

Herr Mayer wyczołgał się spod wozu i ryknął:

— Wo ist Gruppen altester?

— Hier! — rozległo się przytłumione wołanie, dobiegające z samotnego małego domku. Otworzyły się drzwi ozdobione wykrojonym serduszkami i ukazał się w nich Dolas.

— Czemuś wyznaczył tych matołów do obsługi buhajów? — pieklił się Mayer. — Natychmiast ich zmienić!

— Ja! Ja! — potakiwali wartownicy, zszedłszy na dół z balkoniku gorzelni.

Dolas, blady ze zdenerwowania, zadawał sobie w duchu pytanie: kogo tu wyznaczyć? Czuł, że skończy się na tym, iż on sam będzie doglądał buhajów. A bał się tego jak ognia. Wyratowali go z opresji marynarze:

— Możemy się opiekować buhajami, co to nam szkodzi?

Dolasowi spadł kamień z serca, a Mayer tylko ich zapytał, czy kiedykolwiek w życiu mieli do czynienia z buhajami?

— Ja, fater hat drei byki — objaśnił Maciaszczyk, pokazując na palcach ilość.

— Mein fater auch — dodał Kąkol.

Było to nieco dziwne, Dolas wiedział bowiem, że Maciaszczyk pochodził z Warszawy, a Kąkol był rybakiem z dziada pradziada. Nie pytał się jednak o szczegóły i oddał skarb Herr Mayera pod opiekę obu marynarzom. Nieocenioną instruktorką okazała się Frau Zingler. Jej mąż, obecnie żołnierz Wehrmachtu, przebywający w Norwegii, przed wojną opiekował się bykami Herr Mayera. Frau Zingler знаła więc zwyczaje i humory mayerowskich buhajów. Dzięki jej radom byki zamieniły się w pokorne baranki.

Zastanawiające jednak było, iż Niemka wtedy zjawiała się w pobliżu boksów z buhajami, gdy kręcił się tam Dolas. Zręcznie przesuwając się między buhajami, rozpytywała go o to i owo, nadmieniając przy okazji, jak to źle na świecie samotnej kobiecie.

— Ty uważaj — ostrzegał go Maciaszczyk. — Wiesz, że kobiet „rasy panów” nie wolno dotykać. Podpisywałeś chyba zobowiązanie. Nakryją, to gotowi ci szkopy uciąć głowę lub co innego.

Istotnie, każdy z jeńców musiał podpisać przyjęcie do wiadomości rozkazu OKW, zabraniającego nawiązywanie stosunków z niemieckimi kobietami. Na straży tego przepisu stały niemiłe konsekwencje dla obu stron. Dolas, nie chcąc narażać siebie i Frau Zingler — postanowił unikać kontaktów z przedsiębiorczą dójką.

Pewnego dnia do majątku przyjechał weterynarz ze swoim pomocnikiem, francuskim oficerem, jeńcem, w celu zrobienia jakichś zastrzyków bydłakom Herr Mayera. Pomagali mu również obaj uczynni marynarze. Po skończonych zabiegach Dolas zauważył, że Maciaszczyk toczy w kącie obory ożywioną rozmowę z francuskim oficerem. Kiwał głową, potakiwał, a na końcu dobiegło do Dolasa głośnie:

— Ca va bien, mon lieutenant.

Weterynarze odjechali, a polscy jeńcy powędrowali na swoje kwatery. Tegoż wieczoru, gdy Dolas siedział pod lampą, studiując niemiecką prasę, podszedł do niego Maciaszczyk.

— Musimy wyjść z Kąkolem do obory, zobacz, co robią wachmani. Dolas zszedł na parter. Wartownicy spędzali czas przy grze w skata. Pokręcił się więc chwilę i wrócił.

— Dobrze — stwierdził Maciaszczyk. — Pójdiesz z nami. Jesteś potrzebny — dodał widząc, że Dolas zabiera się do przerwanej lektury.

Nasz bohater wstał niechętnie i ruszył za kolegami. Kąkol otworzył wytrychem drzwi prowadzące na stryszek. Stamtąd dostali się do parnika, gdzie dopiero co skończono parowanie ziemniaków na karmę, potem zaś na balkonik i po żelaznych schodach zeszli na dół. W oborze panowały ciemności. Zatrzymali się przy wrotach.

— Stój tu i uważaj, czy nie idzie Mayer lub któryś z wachmanów. W razie czego alarmuj! Tylko się nie zagap — zarządził Maciaszczyk.

— Nie bójcie się, będę uważał.

O nic nie pytał, był bowiem przyzwyczajony do tajemniczych wypraw swoich podkomendnych i często odgrywał w nich rolę ubezpieczającego. Wiedział, że każdy przedmiot będący własnością niemiecką — o ile nie jest przykuty lub wmurowany, a znajdzie się w zasięgu rąk — może zmienić położenie i właściciela. Dzięki temu ginęły kartofle z gorzelni, kury i jaja z kurników, papierosy wartowników, a raz nawet futrzana czapka pana

Mayera, nieopatrznie położona na oknie w magazynie.

„Może chcą wydoić krowę?” — myślał.

Tajemnicza wizyta w oborze trwała około godziny. Marynarze wyszli zacierając dłonie.
— Klawo jest! — stwierdził Kąkol. — Powinno się udać.

Tą samą drogą wrócili na poddasze. Wachmani dalej grali w skata. Odtąd wizyty w oborze powtarzały się regularnie co wieczór. Marynarze znikali w bramie, a Dolas tkwił na warcie. Dziwiło go, że nigdy nic ze sobą nie przynosili. Wkrótce jednak zaczęły się dziać dziwne rzeczy: buhaje coraz mniej interesowały się krówkami. Trzeba je było nieomal siłą zapędzać do pełnienia obowiązków. Doszło nawet do tego, że jeden ze sławnych buhajów pana Karla na widok dorodnej jałówki machnął ogonem, ziewnął i ułożył się na ziemi. Sława mayerowskich zarodników prysnęła niczym bańka mydlana.

Właściciel był zrozpaczony. Sam kontrolował karmienie i pojenie, nic jednak nie pomagało. A marynarze zacierali ręce z uciechy.

Pewnego wieczoru w początkach marca Dolas jak zwykle tkwił na posterunku przed oborą. Panowały wyjątkowe ciemności, dosłownie na parę kroków nic się nie widziało. Było jednak ciepło, od gór wiał wiosenny wiatr. Naraz zupełnie niespodziewanie, dosłownie jak spod ziemi, ukazała się Frau Zingler.

— Co tu robisz? — zapytała zdziwiona.

— A tak sobie stoję, taki ładny wieczór...

Wiosenny, romantyczny nastrój podzielał też i na słomianą wdowę. Rozpięta kożuszek i przeciągając się powiedziała:

— O tak, wieczór jest piękny. A samotnej kobiecie smutno. Stanęła pomiędzy nim i bramą do obory, coraz bardziej zbliżając się dopytywała:

— Tobie nie smutno? I nie samotnie? Tak długo jesteś bez dziewczyny... Dolas cofał się powoli pod mur, odpowiadając półsłówkami:

— Tak! Trochę! Nie bardzo!

Agresywna dójka napierała na niego coraz energiczniej, dociskając go obfitym biustem do ceglanej ściany obory.

— Nie samotnie? Nie smutno?

Dolasowi zrobiło się dziwnie nieswojo. Jakoś ciepło w środku, a po plecach spacerowały roje mrówek. „Właściwie to ta szkopka jest zupełnie możliwa — pomyślał. — Trochę zbyt rozłożysta, ale ma zupełnie prawidłowe proporcje. W każdym bądź razie możliwsza od Rozalii, która proponowała mi niedwuznacznie małżeństwo. Wieczór ciepły... Ostatecznie...”

— No, co? — dopytywała się, napierając nań biustem, a ręce jej zaczęły dokonywać dziwnych manewrów.

Jak gdyby w odpowiedzi na jej słowa rozległ się nagle ryk buhaja i głośnie „stój !” jednego z marynarzy.

— Kto jest w oborze? — zawołała, odskakując jak oparzona od obiektu swej namiętności.

Nie czekając na odpowiedź, pchnęła wrota i wpadła do środka. Wizyta nie trwała długo. Po chwili Frau Zingler wybiegła z obory.

— Świntuchy! Bandyci! Lumpy! Kanalie! Ja wam pokażę! — wołała pędząc kangurowymi skokami w stronę rezydencji pana Mayera. Za nią wypadli obaj marynarze.

— Ty małpi królu! Czemuś wpuścił tę cholere do obory? Dlaczegoś nie alarmował?

— Przyszła niespodziewanie, zatarasowała przejście i zaczęła wygadywać różne rzeczy — tłumaczył się wystraszony Dolas.

— Ach, ty kaczy amancie! Złapałeś ją za tyłek i zapomniałeś o świetle!

— Nie! Naprawdę nie! To raczej ona mnie. A co wy robiliście w oborze?

— Dolas, pomyśl. Czy niechęć byków do krów przyszła tak sobie? Muchy ją przyniosły?

— Nie wiem.

— To my ci powiemy. Pamiętasz, jak tu był szkopski weterynarz z francuskim oficerem? To też weterynarz. Otóż ten Francuz dał nam takie specjalne pigułki. Twierdził, że jak byk je zje, to zamieni się w wołu. Byki tych pigułek nie chciały zjeść, pakowaliśmy im je do gardła przez rurkę, tak nam poradził Francuz. A skutki widziałeś?

— Widziałem.

— Ale od kilku dni zabrakło pigułek. Spróbowaliśmy innego sposobu i akurat weszła Zingler.

— Jakiego sposobu? — zapytał naiwnie Dolas.

— No, jakby ci to powiedzieć... No wiesz, jak to czasem młodzi chłopcy...

— Nie rozumiem.

— Słuchaj no, Dolas! Powiedz mi prawdę: kim ty właściwie jesteś? Bo że nie jesteś robotnikiem, to dla mnie jasne jak słońce. Może jesteś kelnerem albo fryzjerem?

— Robotnikiem zostałem z przypadku. Naprawdę jestem doktorem historii sztuki.

— O Boże, doktor! — jęknął Maciaszczyk. — A ja uczonego postawiłem na warcie wielkiego sabotażu! Teraz guzik ze wszystkiego! Będzie chryja nie z tej ziemi! Ani chybi wszyscy pójdziemy do kryminału. Przez uczonego!

Jeszcze tego wieczoru spełniły się ponure przewidywania Maciaszczyka. Dolas wraz z obu marynarzami zostali przeniesieni do obozu, a rano stanęli przed groźnym obliczem generała von den Wiederschatza.

Generał wygłosił do nich długie przemówienie, w którym usiłował udowodnić, że są podpalaczami Europy i bandytami.

— Nie skorzystaliście z wielkoduszności i wspaniałomyślności Führera, który Polakom, Żydom i Góralom zapewnił ojczyznę w Generalnej Guberni — za to pójdziecie pod sąd. Abmarschieren! — zakończył groźnie.

Nieszczęścia chodzą parami. Tegoż dnia, gdy nasi bohaterowie słuchali przemówienia generała, u Herr Mayera zdechła okazowa maciora. Sekcja wykazała w żołądku denatki obecność połamanej żyletki, więc i tym wypadkiem obciążono ich konto.

Z obozu odesłano ich do więzienia. Panował tu rygor godny narodowo-socjalistycznej Rzeszy: przepisy zabraniały absolutnie wszystkiego.

Oskarżeni siedzieli w ponurej, wilgotnej celi, oczekując rozprawy. Śledztwo przeprowadzono w sposób nader uproszczony. Oficer sądowy spisał dane personalne i dodając od siebie parę uwag o „polskich świniach i mordercach z Bydgoszczy”, obiecał, że sąd ich odpowiednio ukarze.

Rozprawa odbyła się w sądzie wojskowym w Grazu. Przebieg jej również był nader prosty. Sprawdzone personalia oskarżonych i wezwano świadka koronnego — Frau Zingler. Na pytanie przewodniczącego, czy świadek nie jest spokrewniony z którymś z oskarżonych — pani Zingler zawołała z oburzeniem:

— Ja? Z tymi bandytami?

Sąd uznał to za odpowiedź negatywną i nie widząc przeszkód przesłuchał Frau Zingler.

Dójka w sposób barwny i obrazowy zrelacjonowała wszystko, co zobaczyła inkryminowanego wieczoru po wejściu do obory. Sąd bez zastrzeżeń dał wiarę zeznaniom świadka po błyskawicznej naradzie ogłosił wyrok.

„Za uprawianie czynów zmniejszających zdolność rozrodczą niemieckich buhajów oraz za niechlujstwo w pracy, które przyczyniło się do śmierci niemieckiej świni, co ogólnie należy określić sabotażem, oskarżeni Maciaszczyk i Kąkol zostają skazani na 4 lata więzienia, a oskarżony Dolas, jako starszy grupy, odpowiedzialny za swoich podwładnych — na 7 lat”.

Sąd zajął stanowisko, że apelacja jest zbędna i z miejsca skierował skazanych na odsiedzenie kary do więzienia.

Podróż odbyli skazańcy w minorowych nastrojach. Obaj marynarze uważali, że padli ofiarą niedołęstwa Dolasa, Dolas zaś, że niepotrzebnie wplątał się w głupie marynarskie

awantury.

W skład eskorty poza trzema wartownikami wchodził jeszcze tłumacz. Dolas przyglądał mu się ciekawie. Niemiec ów zupełnie nie przypominał „rasy panów”. Niski, krępy brunet o pałkowatych nogach, lat czterdziestu paru. W przedziale panował półmrok. Trasa prowadziła przez tereny górskie. Pociąg wlokł się powoli, sapiąc i dysząc, pod górę, potem nagle nabierał szybkości i pędził na złamanie karku w dolinę. Jako groźni przestępcy jechali w osobnym przedziale, aby broń boże nie mogli kontaktować się z innymi podróżnymi. Ci z kolei ciekawie zaglądali do przedziału zastanawiając się, jakież to ciężkie przestępstwo przeciwko narodowemu socjalizmowi mogli popełnić ci jeńcy, tak łagodnie wyglądający.

— Tak, tak — powiedział filozoficznie w pewnym momencie tłumacz — dużo wam dali. Ale i też się należało. Myślałem, że dostaniecie więcej. Takie przestępstwo!

Marynarze wywody tłumacza przyjęli wzruszeniem ramion, lecz Dolas zadał mu pytanie:

— A pan na ile nas taksował? Na karę śmierci?

— Na karę śmierci to nie, ale liczyłem na dziesięć, piętnaście lat.

— Nam zasadniczo wszystko jedno. I tak będziemy siedzieli, aż przegracie wojnę.

— Nie „przegracie”, a „przegrają” — poprawił go tłumacz. — Nie jestem Niemcem.

— A kimże pan jest?

— Ukraińcem. Mieszkałem w Stanisławowie, byłem tam nauczycielem.

— I cóż pana skłoniło do służby pod niemieckimi sztandarami?

— Moja przeszłość. W młodości służyłem w c.k. armii. Przed rozpadnięciem się monarchii znalazłem się w szeregach Petlury, potem służyłem u Denikina, a następnie w kawalerii Budionnego, którego opuściłem w roku 1920, aby przenieść się w szeregi armii polskiej. Ponieważ każdemu z wodzów składałem przysięgę na wierność, a opuszczałem ich w sposób niezbyt regulaminowy, rozsyłano za mną listy gończe, poszukując mnie jako dezertera. Gdy więc do Stanisławowa wkroczyli „czerwoni” uważałem, że dyplomatyczniej będzie, jeżeli wyjadę. Biorąc pod uwagę moje zasługi dla c.k. armii, muszę bowiem dodać, że brałem udział w paru bitwach i zostałem nawet odznaczony brązowym medalem za dzielność, zaproponowano mi służbę w Wehrmachcie. Przyjąłem propozycję. Ostatecznie tyle razy zmieniało się panów...

— A nie obawia się pan... — Czego? Że będę wisiał? — Nie, tego nie powiedziałem.

— Ale pomyślał pan. To mało ważne. Jeden wisi, a drugi siedzi siedem lat w mamrze.

Tak w życiu bywa.

Jechali już około godzinę. Pociąg ruszył z małej stacyjki, stopniowo nabierając

szybkości.

— Czy mógłbym pójść do klozetu? — zapytał Dolas po chwili milczenia.

— Dobrze, ale z wartownikiem.

Wyszli na korytarz i zbliżyli się do drzwi ubikacji. Niemiec uchylił je, zapraszając do wnętrza.

— Tylko nie zamykać, bo ja znam różnych kombinatorów.

Stanął w drzwiach obserwując, czy Dolas istotnie załatwia potrzebę fizjologiczną, a nie knuje wrogich planów przeciwko III Rzeszy, Jeniec, doprowadziwszy do porządku garderobę, wyszedł z ubikacji na korytarz. Wartownik cofnął się o krok do tyłu. W tym momencie pociąg silnie szarpnął. Dolasa to szarpnięcie rzuciło w tył. Uderzył o drzwi i nagle poczuł, że traci oparcie i leci w dół.

„Wypadłem z pociągu! Koniec ze mną” — pomyślał.

Upadł na coś miękkiego.

„Myślę, a więc żyję! Gdzie okulary?”

Tkwiły nieuszkodzone na swoim miejscu. Wygramolił się z potężnej zasy śnieżnej i stanął na torze. Pociągu nie było już widać, rozlegało się tylko dalekie, głuche dudnienie.

— Pan Dolas ma szczęście! — powiedział głośno do siebie.

Istotnie, miał wyjątkowe szczęście. Drzwi nie były zamknięte i gdy pociąg szarpnął, Dolas uderzył w nie plecami i wypadł, trafiając akurat na jedną z nielicznych zasp śnieżnych, a nie na zmarzłą ziemię lub zgoła na słup. Ale co robić dalej? Jak wykorzystać to przypadkowe, nieomal cudowne wydostanie się spod opieki narodowo-socjalistycznego reżimu? Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Zaczynał prószyć śnieg. Postanowił oddalić się od toru, bo na pewno będą go szukali żywego lub zabitego. Do rana jakoś przetrwa, a potem może uda mu się nawiązać kontakt z jeńcami polskimi lub francuskimi i otrzymać jakąś pomoc. To było jedyne wyjście, jakie widział w tej sytuacji. Inaczej groził mu pobyt do końca wojny w hitlerowskim więzieniu. Wzdrygnął się na myśl o ciemnej, wilgotnej celi.

W lewo od toru wyrastała skalista, prawie pionowa ściana. Po prawej miał urwisko, niżej ciągnęła się dolina, a dalej wysokie wzgórze. Ruszył stromym zboczem w dół. Po godzinnym schodzeniu, dziesiątki razy przewracając się i koziołkując — znalazł się w dolinie. Przed sobą miał płaszczyznę pokrytą śniegiem, a sto metrów dalej rzeczkę. W prawo świeciły jakieś światła. Nawet zupełnie blisko. Tam iść nie mógł. Łączka była pełna wertepów, wybojów, spod śniegu wystawały kolczaste druty, zardzewiałe żelastwo, jakieś śmieci. Klnąc pod nosem, dobrnął do rzeczki. Brzegi były zamrznięte, ale środkiem wartko płynęła woda. Po kamieniach przedostał się na drugi brzeg, stromy i urwisty. Sapiąc ze

zmęczenia wdrapał się na górę. Śnieg przestał prószyc, niebo się przetarło. Kilkadziesiąt metrów dalej czernił się las. Idąc skrajem, szukał drogi lub ścieżki, znalazł pnący się pod górę holweg, kamienisty i widocznie mało uczęszczany.

Zasapany i zziębnięty kanonier Dolas zdobywał powoli metr po metrze tej piekielnej drogi. Stracił poczucie czasu i nie mógł sobie uświadomić, czy wspinaczka trwa godzinę, czy pięć. Wreszcie holweg się urwał, dalej ciągnęło się zbocze porośnięte kosodrzewiną. Przedzierając się przez klujące krzewy, doszedł do dużej polany. Otarł pot spływający strumieniami z czoła i półżywy rzucił się na kupę kamieni. Rozmyślenia „co robić dalej?” przerwał gwizd parowozu: po torze sunął powoli pociąg towarowy. Dolas zorientował się, iż znajduje się nieco wyżej od nasypu kolejowego. Ale groźne szczyty przed nim nadal tkwiły w chmurach. Miał wrażenie, że uszedł niewielki kawałek drogi. Niebo znów zaczynało się zaciągać.

— Dalej, byle dalej!

Wiedział, czym mu grozi ta wycieczka w góry, ale postanowił ryzykować.

Droga, którą teraz szedł, tak się miała do holwegu, jak wiejski trakt do autostrady. Ale kanonier Dolas pchał się w górę. Świt zastał go w gęstej, nieprzeniknionej wacie mgły. W pewnym momencie zauważył, że po lewej stronie coś majaczy. Po chwili rozpoznał, że to druga ścieżka skalna. A więc jest w rozpadlinie. Idąc po wydeptanej ścieżce, wyszedł na drugą stronę.

— A co teraz? W prawo, w lewo, czy pod górę?

Przy sobie miał jeszcze z więzienia kawałek chleba z margaryną. Postanowił zjeść śniadanie i nieco odpocząć. Po upływie godziny ruszył w lewo, mając zamiar trzymać się równoległe do zbocza. Zaczął padać coraz gęstszy śnieg. Wiał silny wiatr. Posuwając się prawie po omacku, w pewnej chwili poczuł, że traci grunt pod nogami i leci w dół!

„Teraz znajdę się w dolince kilkaset metrów niżej i klops ze mnie...”

Podróż po piargach trwała krótko. Zatrzymał się na niedużej półce skalnej. Odetchnął. „A więc jeszcze nie tym razem!” Wziął parę kamieni i rzucił w przepaść. Nie usłyszał żadnego odgłosu. Zauważył, że dalej prowadzi ścieżka ze znakami i klamrami. Maszerował więc śmieiej. Śnieżycą potęgowała się z minuty na minutę, ścieżka biegła coraz bardziej w dół. Wreszcie się skończyła — był na hali. Pod warstwą śniegu czuł zamrożoną ziemię. Posuwał się halą równoległe do zbocza.

Po dwóch godzinach dobiegł do lasu. Śnieżycą ustała, zobaczył przed sobą urwisko. Nie było rady, znów musiał schodzić w dół. Zjadł resztę chleba. Marsz leśny wyczerpywał siły. Chciało mu się spać i choć trochę odpocząć. Wiedział jednak, że jeżeli usiądzie, to już

nigdy nie wstanie, a jedynie idąc miał szansę wydostania się z matni. Przewracając się na głazach i starych pniach, spadając w dół, nieraz po parę metrów, wytrwale dążył przed siebie. Zapadł mrok. Śnieżycy znów się spotęgowała. Sądził już, że ten diabelski las nigdy się nie skończy, gdy nagle drzewa się przeredziły — znajdował się w dolinie, tuż przy drodze. Postanowił iść w prawo. Zapadła zupełna ciemność. Brnąc przez zasypany sędzi przed siebie na oślepe. Poruszał nogami, ostatkiem sił. Przed oczyma latały mu czerwone płatki. Nagle usłyszał jakieś wołanie.

„Uciekać! Jak najszybciej uciekać!”

Nie miał już sił. Poruszył parę razy nogami i padł na miękki, puszysty dywan. Chwilę leżał bez ruchu. W ciemnościach zarysowały się przed nim dwie wysokie, barczyste postacie. Poczł, że go podnoszą, biorą pod pachy. Na pół idąc, na pół wlokąc nogami po ziemi, znalazł się w dużej izbie o ścianach z sosnowych, nie malowanych desek. Przyglądało mu się bacznie paru mężczyzn w nieznanych mu mundurach. Jeden z nich, w futrzanej czapie, podał kubek z gorącą herbatą. To go trochę pokrzepiło. Do izby wszedł mężczyzna ze złotymi naramiennikami. Obecni coś mu tłumaczyli, wskazując na Dolasa. Podeszedł i zadał pytanie w niezrozumiałym języku. Dolas pokręcił głową, pytając:

— Sprechen Sie deutsch?

Nieznajomy pokręcił przecząco głową, pytając z kolei Dolasa, czy zna francuski.

— Oui!

— Kim pan jest? — usłyszał następne pytanie.

— Polskim jeńcem. Uciekłem z niemieckiej niewoli. A wy? Gdzie ja jestem?

— W straźnicy jugosłowiańskiej straży granicznej.

Dolasowi zrobiło się błogo na sercu. „A więc uciekłem z Niemiec! Jestem wolny!” Pracując w gospodarstwie pana Mayera wiedział, że do granicy jest niedaleko, około 50 kilometrów. Gdy dostali się do więzienia, stracił całkowicie orientację i nie miał pojęcia, że znajduje się tak blisko granicy.

— Jestem dowódcą tej straźnicy, a pan jest moim gościem. Słowiański zwyczaj nakazuje gościa przyjąć, czym się da. Proszę do jadalni.

Dolas z trudem ściągnął płaszcz, poprawił mundur i niepewnym krokiem przeszedł do następnego pomieszczenia, będącego prawdopodobnie świetlicą i jadalnią. Na stole zjawilo się jedzenie i tajemnicza butelka. „Pewnie wino” — pomyślał Dolas.

Jugosłowiański dowódca straźnicy nalał po pełnej szklance płynu o kolorze słabej herbaty. Dolas przechylił szklankę i wypił do dna. Poczł, że ścisza mu się gardło, brakuje tchu i łzy stają w oczach. Jugosłowianie z podziwem patrzyli na Polaka, pijącego jednym

haustem pełną szklankę śliwownicy. Nie wypadało im zostać w tyle, więc też wypili do dna. Z kolei przyglądał im się Dolas. „Mocne to, a oni chleją jak wodę. Trudno — jakieś wlaź między wrony, krakaj jak i one”. Tymczasem jednak wszystko kręciło mu się przed oczyma i stawało się dziwnie mętne. Zdawało mu się, że król Piotr, patrzący z portretu, ironicznie uśmiecha się i mruży oczy.

Jugosłowiański dowódca coś mówił, czego Dolas ani rusz nie mógł zrozumieć. W pewnym momencie uchwycił jedno słowo: „wojna”.

— Tak! Wojna! — zawołał. — Wiecie, co to jest wojna? O! Nasza bateria stała tu — położył na stole dwa noże imitujące baterię. — A stąd wyjechały czołgi! A my bach! — wyrznął z całej siły w stół, aż podskoczyły talerze. — I czołgu nie ma! Jedzie drugi! My znów bach! bach! — Dla lepszego zobrazowania wyrznął w stół obu pięściami. — Trzy czołgi w ogniu!

Jugosłowianie z niekłamany podziwem patrzyli na bohatera znad Wisły. Dowódca znów nalał po pełnej szklance. Dolas zamknął oczy i wypił. Król z portretu mrugał i kiwał palcem. Izba przechylała się niczym kajuta statku w czasie sztormu.

— Rozbiliśmy masę czołgów! I co z tego? Wojnę przegraliśmy! Dlaczego? Dlaczego? — ryknął głośno i nagle zaczął płakać. — Bo nie mamy króla! Nie mamy takiego jak wy mądrego i dobrego króla!

Szlochał jak małe dziecko, głęboko przekonany, że jedynym powodem wrześniekiej klęski był republikański ustrój.

— Mieliśmy marszałka — mówił przez łzy. — I co z tego? „Marszałek Smigły-Rydz! Nasz drogi, dzielny wódz..” Drogi, dzielny wódz uciekł do Rumunii! Do króla! A my? Zostaliśmy sami!

Teraz mu się wszystko kręciło w głowie. Film nagle się urwał.

Rozdział VI

w którym były jeniec wojenny Dolas zostaje bohaterem

Były jeniec wojenny Dolas obudził się z ciężkim bólem głowy, w gardle go piekło, a w brzuchu burczało. Usiłował odtworzyć wypadki ubiegłego wieczoru.

„A może to wszystko sen? — pomyślał ze strachem. — Może jestem w więzieniu?”

Rozejrzył się wokoło. Nie, to nie mogło być więzienie. W każdym bądź razie nie hitlerowskie. A to już dobrze. Leżał na drewnianym łóżku w niedużej, żołnierskiej izbie. Pod

białymi ścianami stały szafki, nad drzwiami wisiał portret króla Piotra. W sąsiedniej izbie ktoś pogwizdywał. Dolas wstał i podszedł do okna. Dzień był słoneczny, zaśnieżone szczyty gór odcinały się bielą od błękitu nieba. Drzwi otworzyły się i stanął w nich jeden z żołnierzy. Dolas przypomniał go sobie z wczorajszego wieczoru.

— Jak się czujemy? — zapytał podchodząc do Dolasa. Uścisnął dłoń uśmiechając się od ucha do ucha.

— Dobrze — mruknął Dolas, choć prawdę mówiąc czuł się jak zbity pies. Jugosłowianin zaprowadził go do umywalni, dostarczył maszynkę do golenia, mydło. Potem zeszli na dół na śniadanie.

Dowódca strażnicy wypytywał się, jaką drogą Dolas dotarł do strażnicy?

— Szedł pan od strony terytorium jugosłowiańskiego. Początkowo sądziliśmy, że jest pan przemytnikiem lub agentem hitlerowskim, ale mundur wasz wyprowadził, nas z błędu.

— A gdzie znajduje się granica? — zapytał Dolas.

— Jesteśmy na samej granicy.

Wyszli na ganek. Strażnica — nieduży, drewniany budynek w tyrolskim stylu — stała na zboczu górskim. Paręset metrów dalej rozciągała się dolinka, w której płynęła rzeczka. Dalej wyrastało strome zbocze.

— Granica biegnie przez tę rzeczkę! Drugi brzeg jest niemiecki — objaśniał dowódca. — A ten czerwony budynek to strażnica niemieckiego Grenzschutzu. Popatrz, właśnie przechodzi niemiecki patrol.

W odległości około 200 metrów Dolas zobaczył trzech Niemców w hełmach, z karabinami. Posuwali się wzdłuż rzeczki. Wzdrygnął się.

— A tam, w górze — ciągnął dalej Jugosłowianin — biegnie tor kolejowy.

O, właśnie jedzie pociąg. Odcinek przy torze jest szczególnie strzeżony przez hitlerowców: Granicę obstawili tak, że myś się nie prześliznie. Po drugiej stronie poustawiali zasieki z drutu. Nie możemy zrozumieć, jak udało się panu niepostrzeżenie przedostać na naszą stronę. Którędy? Na jakim odcinku?

Dolas przyglądał się powoli sunącym wagonom i nagle wszystko stało się dla niego jasne.

— Niemcy wieźli mnie i jeszcze dwóch marynarzy — objaśniał — do więzienia. Skazani zostaliśmy za sabotaż i na tym właśnie zakręcie...

— Wskoczyliście z pociągu — domyślił się Jugosłowianin. — I co dalej?

— Tym stromym zboczem zszedłem w dół, szczęśliwie omijając niemiecką strażnicę i doszedłem do rzeczki. W dolince przeklinałem wertepy i dziury, które okazały się zasiekami.

Potem przeszedłem rzeczkę, nie mając pojęcia, iż jestem po jugosłowiańskiej stronie.

Przypomniał sobie, że zobaczył światła — to niewątpliwie była ta właśnie strażnica. Uciekał od światła, zamiast iść w ich kierunku.

— Byłem mało domyślny. To jasne, iż nie zaciemnione okna mogły być tylko poza granicami Rzeszy. Niepotrzebnie plątałem się po górach. Po przejściu rzeczki zacząłem drapać się na wysokie zbocze po waszej stronie.

Opowiedział o przejściu przez szczelinę i o spacerze we mgle.

— Ależ to nadzwyczajne! — zawołał Jugosłowianin. — Przeszedł pan przez Diabelski Żleb! To trasa, na którą może sobie pozwolić wytrawny alpinista, i to przy dobrej pogodzie. Ale we mgle i w śnieżycy! Takiego wypadku nie znamy. A musiał pan przejść przez Diabelski Żleb, skoro doszedł pan do nas od strony południowej. Innej drogi tu nie ma.

Sława Dolasa jako alpinisty szybko rozeszła się po strażnicy, wywołując ogólny podziw.

— Trochę chodziłem po górach — wyjaśniał skromnie. Choć, prawdę mówiąc, był raz tylko na Kasprowym, korzystając naturalnie z kolejki linowej.

Potem przeszli do spraw urzędowych.

— Takich jak wy mamy obowiązek dostarczać policji. Nigdy tego nie robimy, bo nie wiadomo, co nas jeszcze czeka. A poza tym policja też się nie upomina o Polaków. Pojedzie więc pan do Zagrzebia, a stamtąd do Belgradu. Damy panu adres polskiego poselstwa. Tam się panem zaopiekują. Będąc w Zagrzebiu, musi pan uważać na jedno: przy czwartym peronie będą stały dwa pociągi pośpieszne, na torze piątym do Belgradu, a na szóstym do Wiednia. Jak się pan pomyli, to zajedzie prosto na Prater!

Dolas pomyślał: „Miałem łut szczęścia, ale jestem pechowcem. A nuż tego dnia ktoś pozmienia tabliczki na pociągach?”

— Trochę się boję — powiedział.

— No, dobrze. To my odstawimy pana do Zagrzebia. Odetchnął.

Po południu opuścił gościnną strażnicę.

— Niech żyje Polska! Niech żyje Jugosławia! Niech żyje zwycięstwo! — wołali Jugosłowianie żegnając kanoniera Dolasa.

Saniami, w towarzystwie jednego ze strażników, dojechał do małej górskiej stacyjki. Potem rozklekotanym pociągiem do Zagrzebia. Strażnik kupił mu bilet do Belgradu i usadowił w pociągu. Po paru minutach pospieszny pociąg mknął do stolicy Jugosławii, unosząc byłego jeńca III Rzeszy.

Trzymając w ręku kartkę z adresem poselstwa, Dolas rozpoczął wędrówkę po ulicach

Belgradu. "Policjanci na widok obdartusa paradującego w zniszczonej polowej rogatywce, w długim kawaleryjskim płaszczu, w podartych butach — przechodzili na drugą stronę ulicy, podziwiali architekturę lub oglądali z zaciekawieniem wystawy. Przechodnie, czytając adres, szczyrzyli zęby w uśmiechu.

— Do polskiego poselstwa? — pytali objaśniając drogę.

Ktoś go nawet zatrzymał na ulicy wyjaśniając, iż należało skręcić w lewo. Dzięki temu bez przeszkód dotarł do niedużego gmachu z Orłem i napisem: „Poselstwo Rzeczypospolitej Polskiej w Belgradzie”. Portier bez pytania zaprowadził go do gabinetu z napisem: „Attache Militaire”.

Kanonier Dolas znalazł się w niedużym pokoju. Za dębowym biurkiem siedział wysoki, postawny pułkownik w nowiutkim mundurze, ozdobionym baretkami i sznurami oficera dyplomowanego. Dolas przyjął najbardziej regulaminową postawę zasadniczą i zameldował:

— Panie pułkowniku! Kanonier Dolas melduje posłusznie swoje wejście do gabinetu. — Potem, aby podkreślić bardziej swoją znajomość regulaminu, dodał: — W czasie mojej służby nic ważnego nie zaszło.

Pułkownik przerwał pisanie i spojrzał na obdartusa stojącego na baczność.

— Skądżeście się tu wzięli? — zapytał basowym głosem.

— Z Niemiec, panie pułkowniku!

— A, to świetne! Uciekł z niewoli i twierdzi, że się nic ważnego nie stało! Wstał i zbliżył się do wyprężonego na baczność Dolasa.

— Powiedźcie, mój kochany, od początku, jak to było?

— Znajdowałem się, panie pułkowniku, na froncie pod Piotrkowem. Bateria nasza została zaatakowana przez czołgi.

— Mówicie: zaatakowana przez czołgi! Czołgi na was suną, a wy strzelacie! Do ostatniego naboju!

— Tak jest, panie pułkowniku!

Pułkownik przespacerował się parę razy po gabinecie.

— Wspaniałe! Wspaniałe! — powtórzył. — Taki jest właśnie polski żołnierz! Walczy do ostatniego naboju. Nie to co francuski, który poddaje się po pierwszym wystrzale. Bateria więc walczyła do końca, a gdy zabrakło amunicji, walczyliście na bagnety! Tak?

— Tak jest!

— Panie poruczniku! — zawołał pułkownik uchylając jakieś drzwi. — Oto ma pan przed sobą żołnierza-bohatera — objaśnił młodego porucznika, który wszedł do gabinetu.

— Gdy zabrakło sił do walki, resztki was dostały się do niewoli.

— Tak jest.

— I co dalej?

— Przebywałem w obozie w Górnej Austrii. Potem na robotach w gospodarstwie wiejskim. I tam właśnie z dwoma marynarzami... - tu Dolas zawahał się, czy wypada pułkownikowi mówić o sprawie z buhajami, powiedział więc: — Tam uprawialiśmy sabotaż. ;

— Sabotaż! Panie poruczniku, pan słyszy? Rozbita bateria, walka do końca, a w niewoli uprawianie sabotażu. Niesłychane! I co dalej?'

— Nakryła nas Frau Zingler, która była dójką, no i wsypała. Sąd marynarzom dał po cztery lata, a mnie siedem — dodał z dumą.

— I co dalej?

— Niemcy wieźli nas do więzienia. Było to w nocy. Pociąg szedł właśnie pod górę, trochę zarzucał i ja panie pułko...

— Wyskoczyłem z pociągu — zakończył pułkownik. — Panie poruczniku, pan słyszy? Tego oto kanoniera trzeba stawiać za przykład, za wzór polskiego żołnierza! I co dalej?,

— Później, panie pułkowniku, przedzierałem się górami. Była straszliwa śnieżycyca i mgła. Po czterdziestu ośmiu godzinach dotarłem do jugosłowiańskiej strażnicy.

— Wspaniale! Wspaniale! Mój drogi żołnierzu! Ojczyzna wam tego nie zapomni. Ja wam obiecuję awans na bombardiera i Krzyż Walecznych. Na razie w imieniu armii polskiej — dziękuję wam!

Kanonier Dolas wyprężył się jak struna.

— Na razie spiszę wasze dane personalne. Zaopiekuje się wami Polski Czerwony Krzyż, a ja wszystko zrobię, by wysłać was do walczących oddziałów. Tam potrzebują takich zuchów.

Zapisał nazwisko, imię, przedwojenny przydział, datę urodzenia.

— A czym wy jesteście z zawodu?

— Doktorem historii sztuki.

— Pułkownik spojrzał nieco ironicznie.

— I co, może profesorem uniwersytetu?

— Jeszcze nie. Katedrę miałem otrzymać na wiosnę 1940 roku.

— No, dobrze — mruknął pułkownik. — Niech go pan porucznik skieruje do Czerwonego Krzyża.

Kanonier Dolas odmeldował się i opuścił gabinet.

„Wskutek przeżyć biedakowi nieco poprzestawiały się klepki — pomyślał pułkownik. — Skąd takiemu prostaczkowi przyszło do głowy, że jest historykiem sztuki? I w dodatku

doktorem?"

Rozdział VII

w którym Dolas wyrusza do Egiptu

Dolas zamieszkał w schronisku dla uciekinierów z Polski, prowadzonym przez PCK. Zaopatrzone go w ubranie cywilne i przepustkę umożliwiającą poruszanie się po mieście. Na razie czekał na umożliwienie mu wyjazdu z Jugosławii. Nie było to takie proste. W Grecji przebiegał front włosko-grecki, na Węgrzech i w Bułgarii urzędowało gestapo. Punktem ambicji i honoru pułkownika stało się wysłanie Dolasa do Brygady Karpackiej — jak gdyby co najmniej losy wojny od tego zależały. Tymczasem nasz bohater spędzał czas na zwiedzaniu belgradzkich muzeów i zabytków, zapoznawał się z bogatą, a dotychczas mu nie znaną kulturą południowych Słowian. W miejscowych księgarniach nabył parę książek w języku francuskim na temat jugosłowiańskiego malarstwa, rzeźby i architektury.

Po dziesięciu dniach został wezwany przed oblicze pułkownika.

— No, jak się czujecie, mój zuchu?

— Dziękuję, panie pułkowniku, dobrze.

— To świetnie! Udało mi się dla was wystarać o paszport, i to nawet oryginalny — na nazwisko szwajcarskiego obywatela Louis Brenniera. Jesteście inżynierem firmy „Zulzer” i jedziecie do Kairu.

Tu pułkownik pomyślał, czy aby ten prosty kanonier da sobie radę w roli inżyniera. Przedtem jakoś mu to do głowy nie przyszło. Dolas odgadł jego myśli i wtrącił:

— Dziękuję, panie pułkowniku. Postaram się dobrze udawać szwajcarskiego inżyniera.

— To świetnie. Tu macie więc paszport, tu polecający was list do dowódcy brygady, a tu pieniądze na podróż. Udacie się do Dubrownika, tam zgłosicie się w porcie do kapitana statku „Drawa”, jest on o wszystkim powiadomiony i weźmie was na pokład jako pasażera. No, to życzę wam wszystkiego najlepszego, dzielny żołnierzu. Mam nadzieję, że jeszcze o was usłyszę.

Dolas podziękował, zabrał paszport list i pieniądze i odmeldował się.

Wiele słyszał i czytał o Dubrowniku, nigdy jednak nie przypuszczał, aby to miasto było tak pełne romantyzmu. Chodząc po ulicach zastanawiał się, czy nie porusza się po scenie operowej, na której za chwilę rozegra się egzotyczne widowisko. U stóp groźnych skał przelewały się fale czystego jak kryształ Adriatyku, a na górze piętrzyły się zamki i fortece.

Spacerował między murami obronnymi, przechodził przez liczne bramy, krużganki i mosty. Na każdym kroku spotykał ślady kultury rzymskiej, greckiej i tureckiej. Niestety, nie miał zbyt wiele czasu. Mały motorowiec „Drawa” kończył już załadunek, szykując się w rejs do Aleksandrii.

Kapitan M/S „Drawy”, Stojadinowicz, niezbyt chętnym okiem spoglądał na swego pasażera. Jugosławia jest jeszcze państwem neutralnym, ale jak długo może trwać ten stan? Sytuacja może się zmienić, a wtedy los samotnego, nie uzbrojonego statku będzie zagrożony, biorąc pod uwagę obecną przewagę floty włoskiej na Morzu Śródziemnym. I po co ten Szwajcar pęta się po świecie? Nie lepiej to byłoby mu siedzieć w neutralnej Republice Helweckiej? Co prawda pasażer nie był natrętny. Nie wciskał się do kabiny nawigacyjnej czy do maszynowni, dopytując o wszystkie możliwe szczegóły. A co to? A po co to? Całe godziny spędzał w kabinie, obłożony książkami, jakby był uczniem, a nie inżynierem.

Morze było spokojne niczym lustro. M/S „Drawa” pruła dziobem przezroczystą wodę, zostawiając za sobą spieniony ślad. Gdy minęli niemiłą, pełną włoskich patrolowców Cieśninę Tarencką i wyszli na morze Jońskie, kapitan Stojadinowicz nieco odetchnął. Bądź co bądź tu było znacznie luźniej.

Stojąc na pomoście nawigacyjnym obserwował horyzont. Na dolnym pokładzie zobaczył swego pasażera. Kapitan jeszcze raz sprawdził kurs i zszedł na dół.

— Bonjour! Comment allez-vous? — przywitał rzekomego Szwajcara.

— Ca va!

— Monsieur — zaczął tłumaczyć kapitan łamaną francuszczyzną — czasy są niepewne, po morzu pętają się włoskie łodzie podwodne. Pan rozumie? Proszę mieć ze sobą pas ratunkowy i dokumenty. Comprenez-vous?

Skinął głową i ruszył w stronę maszynowni. Nasz Szwajcar pospacerował jeszcze parę minut po pokładzie. Wszystko tu było czyste, błyszczące, a załoga uprzejma i grzeczna. „Przyjemnie jest podróżować takim, statkiem” — myślał wracając do kabiny.

„Drawa” była statkiem towarowym, posiadającym dwie kabiny dla pasażerów, przeważnie zresztą świecące pustkami. Kabiny znajdowały się w części dziobowej, nie były duże, ale czyste. Przez otwarty bulaj wpadało orzeźwiające morskie powietrze. Dolas zrobił przegląd bagażu. Nie był on zbyt duży. W małej walizeczce posiadał nieco niezbędnych drobiazgów oraz książek francuskich, nabytych w Belgradzie. Pod podszewką marynarki miał zaszyty list pułkownika belgradzkiego poselstwa do dowódcy Brygady Karpackiej. Pułkownik polecał Dolasa jako bardzo dzielnego i dobrego żołnierza, prosząc jednocześnie o odznaczenie go za dotychczasowe czyny Krzyżem Walecznych, oraz awansowanie do stopnia

bombardiera. Dolas sięgnął po książkę i wyciągnąwszy się na koi zabrał się do lektury.

Obiad i kolację przyniósł mu rosły, czarny jak Cygan Słoweniec, pełniący na „Drawie” funkcję stewarda. Zapadł zmrok. Statek lekko drząc płynął na południowy wschód. Po dziesiątej Dolas zgasił światło i smacznie zasnął.

Obudził go potężny huk i wstrząs. Coś go wyrzuciło z koi. Usiłował wstać i zapalić światło. Nie działało. Usłyszał bieganinę po pokładzie i krzyki. Zdał sobie sprawę, że statek tonie. Kabina przekręcała się coraz bardziej. Oblał go zimny pot. W pidżamie wyskoczył na korytarz. Ledwo utrzymując równowagę na pochyłej podłodze, dobrnął po omacku do trapu i wdrapał się na pokład. Woda już wlewała się przez lewą burtę. Przy szalupach nerwowo kręciło się paru marynarzy.

— Puszczaj talie! — wołał jeden z nich.

— Opuszczać statek! — darł się inny.

W ciemnościach biegano w popłochu po pokładzie. Chaos i panika potęgowała się z sekundy na sekundę. Kapitan na próżno usiłował zaprowadzić porządek. Marynarze skakali z burty do wody. Inni szamotali się przy szalupach.

— Na co pan czeka? — zawołał drugi oficer. — Skakać! Stój! Gdzie pas?

Wcisnął na głowę półżywego pasażera pas ratunkowy i pchnął w stronę burty. Ciemna, czarna woda była tuż. W pobliżu słychać było syk powietrza uchodzącego z pękniętych przewodów.

Nagle Dolas przypomniał sobie, że nie posiada żadnych dokumentów, że jest tylko w pidżamie. Było już jednak za późno. Pochylił się, ktoś go pchnął.

„Okulary!” — pomyślał w ostatniej sekundzie. Przytrzymał je jedną ręką i ogarnęła go ciepława woda Morza Śródziemnego. Wypłynął na powierzchnię i machając rozpaczliwie rękami, usiłował zwrócić na siebie uwagę.

Tuż obok znalazła się szalupa. Słoweniec steward złapał go za kark i pomógł wczołgać się do środka. Marynarze, wiosłując ile sił, szybko oddalili się od tonącego statku.

„Drawa” została ugodzona za śródokręciem, położyła się na lewą burtę a potem powoli zagłębiała się rufą, jak gdyby tajemnicza siła ciągnęła ją w głąb morza. Zniknęła pod wodą rufa, pomost nawigacyjny, chwilę jeszcze wystawał dziób, ale i on zniknął. Na powierzchni morza została tylko duża, tłusta plama z ropy wyciekającej z pękniętych zbiorników i samotna szalupa, poszukująca pływających po wodzie rozbitków. Dolas, półżywy, drząc z zimna, leżał na dnie. Świt zastał ich w tym samym miejscu. Na szalupie znajdował się kapitan, drugi oficer i 15 marynarzy, w tym trzech rannych. Co się stało z resztą — nie wiadano. Gdy słońce ich nieco rozgrzało, kapitan wygarnął litanie pod adresem Włochów,

którzy zatopili neutralny statek. Nie rozwiązywało to jednak ich paskudnej sytuacji. Do najbliższego lądu mieli ponad sto mil. Jeżeli więc nie wyłowi ich jakiś statek, to może być koniec. Pocieszali się, iż znajdują się na uczęszczanym szlaku. Na razie jednak horyzont był pusty.

Po południu na zachodzie ukazał się dym parowca, po godzinie zniknął. Potem, bokiem, minął ich kuter rybacki. Zapadała noc, ciemna i głucha. Rano znów wyczekiwali widoku statku. Ukazał się w południe. Szedł na trawersie od zachodu. Po pół godzinie zawrócił w ich kierunku. Dymiąc płynął prosto na szalupę. Kapitan wyciągnął ze schowka rakiety, strzelając w powietrze. Statek zbliżył się i zatrzymał maszyny. Był to mały, brudny parowiec. Drugi oficer odczytał nazwę „Jeanette”, port macierzysty — Marsylia. Statek był słabo zanurzony, szedł więc pod balastem lub miał nieduży ładunek.

„Lepszy statek pétainowski niż włoski” — pomyślał Dolas.

Załoga spuściła trap i rozbitkowie dostali się na pokład. Niechlujny, nie ogolony typ przedstawił się im jako kapitan S/S „Jeanette”.

— Kim jesteście? — zapytał.

— Rozbitkami z M/S „Drawa”, jugosłowiańskiego neutralnego statku, storpedowanego przez nieznaną łódź podwodną.

— Neutralni to wy byliście do wczoraj rano. Teraz jesteście w stanie wojny z Niemcami i Włochami. Że was storpedowali trochę przed terminem — to inna sprawa.

Jugosłowianie gorączkowo wypytywali się o sytuację na froncie. Nie przedstawiała się ona różowo. Niemcy, stosując normalny już dla nich system, bez wypowiedzenia wojny wkroczyli do Jugosławii z Austrii i Węgier. Tyłom armii jugosłowiańskiej zagrażali Włosi z Albanii i Grecji.

— Ten też jest członkiem załogi? — zapytał kapitan wskazując na Dolasa, paradującego w pidżamie i marynarskim swetrze, użyczonym mu przez litościwego Słoweńca.

— Nie, to jest pasażer. Obywatel szwajcarski. Niestety, w czasie katastrofy postradał wszystkie dokumenty osobiste. A dokąd wy płyniecie?

— Nie wszystko jedno dokąd? Jeżeli wam się nie podoba mój statek, możecie wrócić do szalupy — powiedział ironicznie kapitan. — A w ogóle proszę nie pętać się po pokładzie. Nie lubię tego. Tramp to nie „liner” dla zblazowanych turystów.

Zorientowali się, że kapitan nie jest zachwycony spotkaniem na swoim kursie szalupy z M/S „Drawy”. Załoga, wyglądająca tak, jakby nie widziała od tygodni wody i mydła — też patrzyła spode łba na rozbitków. Załadowano ich do kubryka na dziobie. Siedzieli tam zastanawiając się, gdzie też płynie S/S „Jeanette” i jaki wiezie ładunek.

Już nazajutrz kapitan „Jeanette” udowodnił, że naprawdę nie lubi, gdy przypadkowi pasażerowie spacerują po pokładzie jego statku.

— Prosiłem — wrzeszczał — abyście się nie pętali! Kapitan Stojadinowicz nie pozostał mu dłużny.

— A cóż to my, piraci? Czy może Windziarze? A jeżeli nie usłuchamy, to wrzuci nas pan do morza? — Nie. Ale siłą zamknę w kabinie.

— Zobaczymy!

— Proszę bardzo. Będziecie na mnie skarżyć się, gdy przybędziemy do portu.

Francuz groźby nie wykonał, ale rozbitkowie też starali się unikać spacerów. Najbardziej intrygowała ich załoga, czy też pseudozałoga S/S „Jeanette”, zgraja lombrosowskich typów, której liczebność wielokrotnie przekraczała potrzeby tej niedużej łajby. Otrzymali oni widać surowe instrukcje od swego kapitana, gdyż każdą próbę nawiązania konwersacji zbywali wzruszeniem ramion.

— Jestem pewien, że większość z nich po raz pierwszy stąpa po pokładzie statku — wywodził Stojadinowicz. — Tylko co oni właściwie tu robią?

Czwartego dnia minęli w odległości około 20 mil jakiś ląd. Drugi oficer był zdania, że to Kreta. Nazajutrz o świcie usłyszeli, że „Jeanette” stopuje maszyny. Rzucili się do wyjścia. Okazało się, że drzwi są zamknięte. Przez bulaj zobaczyli w odległości niecałej mili brytyjski niszczyciel. Z pomostu dowódcy angielski sygnalista mrugał reflektorem.

— What ship? — odczytał Stojadinowicz.

Na pokładzie „Jeanette” panowała cisza. Odpowiedź udzielona przez „Jeanette” widać zadowoliła Brytyjczyków, gdyż zasygnalizowali, że mogą ruszać dalej. Śruba „Jeanette” zameła wodę — statek powoli ruszył naprzód. Niszczyciel obrócił się rufą i zostawiając za sobą głęboki ślad wodny, odpłynął na południe. Rozbitkowie klęli lekkomyślność dowódcy brytyjskiego okrętu.

Siódmego dnia zbliżyła się do „Jeanette” nieduża kanonierka. Niestety, francuska. Wymieniła ze statkiem sygnały i zajęła miejsce za rufą. Dymiąc i sapiąc płynęli na wschód. Nazajutrz w południe znaleźli się na redzie portu.

— Jesteśmy w Bejrucie — rozpoznał Stojadinowicz.

Kanonierka zawróciła na morze, a „Jeanette”, przyjąwszy na pokład pilota, wchodziła powoli do portu.

Na pokładzie statku zaroiło się. Co najmniej ze sto typów różnej maści i rasy szykowało się do zejścia na ląd.

— Jak tylko wyładuję swoich gości, skieruję was do władz portowych — oświadczył

kapitan „Jeanette”.

Statek dobił do nadbrzeża i zacumował. Po trapie weszli przedstawiciele policji, władz portowych i celnych. Zniknęli na dłużej w kabinie nawigacyjnej. Potem, gdy znów się ukazali, oficer policji dał znak i po trapie zaczęli schodzić pasażerowie czy też pseudomarynarze S/S „Jeanette”. Kilku policjantów liczyło schodzących na ląd. Przyglądali się temu z zaciekawieniem rozbitkowie z M/S „Drawa”.

Do Dolasa, stojącego na uboczu, podszedł trzeci oficer „Jeanette”.

— Czy to pan jest inżynierem szwajcarskim bez dokumentów? — zapytał grzecznie.

— Tak.

— To proszę dołączyć do grupy schodzącej na ląd.

Monsieur Bonnier vel Dolas pożegnał się z jugosłowiańskimi towarzyszami wspólnej niedoli i oddawszy Słoweńcowi sweter, stanął w czerwonej pidżamie w zielone paski na azjatyckiej ziemi.

Policjanci jeszcze raz przeliczyli obecnych na nadbrzeżu, jeden z nich uściśnął dłoń uśmiechniętemu oficerowi S/S „Jeanette” i padła komenda:

— En avant marche!

Wyprowadzono ich za obręb portu i załadowano na oczekujące ciężarówki. Ruszyli z miejsca. Dolas podziwiał piękne miasto, w którym przeplatały się wpływy Europy ze Wschodem. Po szerokich asfaltowych jezdniach mknęły nowoczesne limuzyny, a obok dostojnie kroczyły dromadery. Francuscy policjanci, tacy sami jak w Paryżu, kierowali ruchem, a na chodnikach handlowali Arabowie.

Wyjechali za miasto. Drogowskazy mówiły, że wiozą ich w stronę Moms. Po paru godzinach jazdy przez pustynne okolice zatrzymali się przed koszarami. Nad bramą Dolas przeczytał napis: „7 pułk Legii Cudzoziemskiej”.

Czego tu od nas chcą?” — zastanawiał się.

Nie miał czasu na rozmyślenia. Samochody wjechały na dziedziniec koszar i tajemniczymi pasażerami zaopiekowali się podoficerowie. Kazano im stanąć w dwuszeregu, a jeden z podoficerów wyczytał po kolei nazwiska. Przeważnie miały brzmienie francuskie, ale nie brakowało też niemieckich, włoskich, hiszpańskich. Wywoływani występowali z szeregu i kierowano ich do jednej z czterech grup na dziedzińcu. Parę razy padło nazwisko „Jean Petit”. Nikt się nie zgłaszał. W końcu na dziedzińcu pozostał tylko Dolas. Podoficer podszedł do niego i wskazując palcem zapytał:

— Jean Petit?

— Non. Luis Brenier.

— Louis Brenier? — powtórzył podoficer. — To niemożliwe! Takiego na liście nie ma. Musisz być Jean Petit.

— Nie jestem Jean Petit. Nic z tego nie rozumiem.

Nic dziwnego, że nie mógł zrozumieć. Sprawa zaczęła się bowiem dwa miesiące temu w Marsylii. Dowództwo francuskie w Syrii zażądało wzmocnienia Legii Cudzoziemskiej. Po długich debatach postanowiono, w obawie przed flotą brytyjską, posłać legionistów do" Syrii po cywilnemu, na małych, samotnych statkach, rzekomo marynarzy. Na jedną z takich starych łajb (jak zatopią lub skonfiskują — będzie mała szkoda) załadowano kompanie poprzebieranych legionistów. Jeden z nich niejaki Jean Petit, korzystając z okazji zdezerterował. Odpowiedzialny za transport był trzeci oficer, który w Bejrucie miał oddać legionistów pod opiekę policji.

Oficer całą drogę zamartwiał się wiedząc, że za dezercję Jean Petita będzie musiał gęsto się tłumaczyć przed władzami wojskowymi. W chwili wyładowywania oddziału zauważył paradującego w pidżamie Dolasa vel Breniera — i w głowie zaświtał mu genialny pomysł: kazał rzekomemu Szwajcarowi dołączyć do grupy opuszczającej statek. Stan się zgadzał, a że jakiś tam rozbitek bez dokumentów zastępuje Jean Petita — o to niech się kto inny martwi. Zadowolony marynarz poszedł do portowego bistro na wino, a Dolas stojąc na dziedzińcu koszarowym powtarzał niczym papuga, tak jak go nauczono w Belgradzie:

— Jestem Louis Brenier, obywatel szwajcarski.

— Dość tego! — wrzasnął zniecierpliwiony podoficer. — Nie zawracaj głowy! Jesteś Jean Petit, bo taki figuruje na liście. A teraz marsz z czwartą grupą po mundur i uzbrojenie. I nie stawiaj się, jeśli nie chcesz zgnieć w kryminale!

Rozdział VIII

w którym Dolas zostaje żołnierzem Legii Cudzoziemskiej

Kapitan Letoux służył w Legii 18 rok. Dowodził kompanią stacjonującą w tak zwanym „forcie”. W rzeczywistości była to zwykła strażnica, a legionieści pilnowali rurociągu naftowego oraz pełnili służbę pograniczną. Romantyczne czasy krwawych walk z dzikimi bandami Arabów przeszły już dawno do historii. Żyły jeszcze we -wspomnieniach starych legionistów i w filmach w rodzaju *Patrol pustynny* lub *Morocco*. Kapitan wierzył jednak, że nadejdzie wielki dzień lub spotka go wielka przygoda, która pozwoli mu zrehabilitować się, powrócić do regularnej armii i objąć dowództwo batalionu z prawdziwego zdarzenia. Kapitan

bowiem zmuszony został przed osiemnastu laty do opuszczenia szeregów armii francuskiej za bliżej nieznaną, ciemną sprawą. Jaka miała być ta jego wielka przygoda, sam nie wiedział. Nie wiedział też sierżant Hawliczek — Czech z pochodzenia, prawa ręka kapitana, oficjalnie szef kompanii i podoficer gospodarczy w jednej osobie. Gdy pewnego majowego popołudnia sierżant Hawliczek zameldował, że na kamienistej drodze ukazały się dwie ciężarówki — kapitanowi mocniej zabiło serce.

„Nadchodzi wielka przygoda!” — pomyślał biegnąc na wieżę.

Przez lornetkę stwierdził, że są to wozy z Legii, wiozące dawno obiecywane „uzupełnienie”.

— Merde ! — mruknął kapitan schodząc na dół i polecając Hawliczkowi, by zajął się nowo przybyłymi legionistami.

Sam zaś poszedł na wino, co czynił zresztą przy każdej okazji. Samochody zajechały na dziedziniec, zatrzymując się przy wysokim maszcie z łopoczącą, wypłowiałą i postrzępioną flagą Republiki Francuskiej. Legioniści po długiej, męczącej podróży ochoczo wyskakiwali z pudeł ciężarówek. Jean Petit vel Dolas, vel Brenier w mundurze żołnierza Legii Cudzoziemskiej, z plecakiem i w hełmie tropikalnym na głowie, stanął w pierwszym szeregu i trzymając karabin czekał, co będzie się działo dalej. Nie działo się jednak nic. Sierżant rozdzielił nowo przybyłych na poszczególne plutony i zapowiedział, że od jutra zaczynają normalną służbę.

Dolas udał się do izby żołnierskiej. Panował tu nieludzki zaduch i smród. Typy o twarzach galerników przyglądały się nowym żołnierzom bez zainteresowania. Niektórzy grali w karty, inni drzemali na barłogach. Dolas wiedział, że wszelka rozmowa z nimi jest bezcelowa. Przycupnął w kącie, zastanawiając się nad swym losem. Zupełnie nie miał zamiaru odbywać służby w Legii za nie znanego mu Jean Petita z Paryża. Postanowił udać się do kapitana. Sądził, że prędzej dogada się z oficerem frontowym niż z tyłowymi wałachami, dla których istnieje tylko papierek, lista, spis i wykaz. A właśnie na jednym z takich alegatów figurował Jean Petit.

Kapitana zastał w pomieszczeniu mającym uniwersalne przeznaczenie: była to kancelaria, mieszkanie i kasyno. Dowódca, nie ogolony, w rozchełstanym mundurze, siedział za stołem przy butelce wina.

— Czego? — zapytał na widok wchodzącego Dolasa.

— Mon capitaine, chciałem coś zameldować.

— No? — warknął kapitan.

— Ja wcale nie nazywam się i nie jestem Jean Petit jak to figuruje we wszystkich

papierach.

— A kto ci każe być i nazywać się Jean Petit? Możesz nazywać się, jak ci się żywnie podoba. To u nas nikogo nie obchodzi.

— Wiem, kapitanie. Ale ja dostałem się tutaj przez przypadek.

— Możliwe. Każdy z nas dostał się tu przez przypadek. Ja też. Powiedzmy, że zabiłem kochankę — kapitan pociągnął ze szklanki potężny łyk wina.

— Ale ja, kapitanie, miałem inny przypadek.

— Jasne, że inny. Gdyby każdy mężczyzna zabijał swoją kochankę, zabrakłoby kobiet na świecie.

— Rozumiem, ale ja chciałem powiedzieć, kim byłem i jak się tu dostałem. Przed wojną byłem doktorem...

— A ty myślisz, durniu — wrzasnął kapitan — że ja byłem sutenerem i zamordowałem dziwkę z Saint-Denis? Wiesz, kim ja byłem? W roku 1914, jako kadet Saint-Cyr, w czerwonych portkach szturmowałem niemiecką piechotę. Potem cztery lata frontowej służby. Legia Honorowa, trzykrotny Croix de Guerre i Médaille Militaire, dwukrotnie cytowany w rozkazie dowódcy armii, nie licząc cytatów dowódcy dywizji. Wszystko trzeba było pożegnać i przyjść tu, dowodzić tymi wszarzami. Bo kasa batalionowa nie zgadzała się.

— Mon capitaine, ja wcale nie jestem obywatelem szwajcarskim ani francuskim, ja jestem Polakiem.

— Bądź sobie Polakiem! Nie chcesz być Polakiem, zostań Chińczykiem. Tu panuje pod tym względem całkowita tolerancja.

— Kapitanie, niech mi pan pozwoli opowiedzieć o swoich przygodach.

— Po co? Gdybym miał wysłuchiwać historii życiowych każdego legionisty, nie miałbym czasu na picie wina. A poza tym nie sądz, że możesz tu czymś zaimponować. Nawet gdybyś pozarzywał własne dzieci, utopił żonę i powiesił matkę — nie zaimponujesz. To ja ci mówię. I nie próbuj dezercji. Nigdzie się nie wydostaniesz. Arabowie tylko czekają na takich jak ty! Kaj, kaj i koniec. A teraz wynoś się.

Dolas wykonał w tył zwrot i ruszył w stronę wyjścia.

— Poczekaj! — zawołał kapitan.

Przez chwilę przyglądał mu się uważnie, jak gdyby dopiero teraz zauważył jego obecność.

— Zawołaj tu sierżanta Hawliczka — rozkazał.

Gdy zjawili się z sierżantem, kapitan jeszcze raz przyjrzał się Dolasowi.

— Sierżancie, widziałeś takiego legionistę? Twarz delikatna, oczy jak u panienki, na

nosie okulary. Osiemnaście lat służę w Legii, ale takiego jeszcze nie widziałem. Twierdzi, że jest Chińczykiem, czy też Szwajcarem.

— Polakiem — poprawił Dolas.

— Polakiem? — zapytał sierżant. — A skąd?

— Z Katowic.

— To jesteśmy prawie krajanie. Ja pochodzę z Bohumina.

— Chciałem więc zaproponować, sierżancie, abyście wzięli go na kucharza. Może wreszcie znajdziecie kucharza, który nie będzie kradł wam konserw i wypijał wina.

Sierżant spojrział ze zdziwieniem na kapitana. Nie mieściło mu się w głowie, aby taki legionista w ogóle mógł istnieć.

— No dobrze, niech będzie, kapitanie. A gotować umiesz?

Dolasowi przypomniała się praktyka u Rozalii. Dziewczyna miała zwyczaj głośno opowiadać, co robi. Dzięki temu w pamięci Dolasa utkwily jakieś skromne okruchy wiedzy kulinarnej.

— Trochę umiem — powiedział.

— Dla tych wszarzy na pewno za dużo umie. Będziecie kucharzem. Mały, czworokątny dziedziniec strażnicy, bywał przeważnie pusty. Większość legionistów przebywała dniem i nocą na patrolach, reszta wylegiwała się po izbach. Czasem w kapitanie Letoux budził się duch bojowy. Zarządzał wtedy zbiórkę na dziedzińcu i prowadził musztrę pod niemiłosiernie palącymi promieniami słońca. Legioniści niedbale i bez energii wykonywali chwyt, formowali czwórki, dwuszeregi, prezentowali broń lub powłócząc nogami, niczym karawaniarze, maszerowali wokół dziedzińca, śpiewając ochryple:

Madelon! Madelon! viens nous servir à boire!

Gospodarstwo nowo mianowanego kucharza znajdowało się tuż obok bramy. Składało się z niedużej, brudnej jadalni, prymitywnej kuchni i pomieszczenia na żywność. Hawliczek objaśnił Dolasa, gdzie co się znajduje, i wręczył mu klucze ostrzegając, aby zawsze wszystko zamykał, bo inaczej niczego się nie doliczy.

Dolas sprawdził zawartość magazynu, przeliczył skrzynie z konserwami, worki z makaronem i kaszą, butelki wina. W kącie zauważył sporą, nie otwieraną jeszcze skrzynię.

— A co tu jest?

— Tam są jakieś książki. Przysłali z dowództwa pułku, ale nikt się tym nie interesuje.

Dolas uchylił wieko, zaglądając ciekawie do środka. Obok sensacyjnych powieści i

naiwnych miłosnych romansów było tam sporo rzeczy wartościowych: Wiktora Hugo, Maupassanta, Rouanda.

„Będę miał coś do czytania!” — stwierdził z radością.

Mimo że praca w kuchni nie była zbyt zajmująca, wolał to niż patrolowanie szosy przy rurociągu lub uganianie się za przemytnikami.

Menu kompanijnej kuchni nie było zanadto urozmaicone: na śniadania i kolacje kawa, a na obiad, przy gotowaniu którego mieli Dolasowi pomagać dyżurni legioniści — gulasz z kaszą. Nowy kucharz odliczył odpowiednią ilość puszek konserw i kazał je otworzyć swoim pomocnikom. Potem wrzucił to do kotła i ustawił go na ogniu. W kuchni było duszno i ciasno. Pot lał się z niego ciurkiem, od karku aż po pięty, co bynajmniej nie sprzyjało inwencji twórczej. Przypomniała mu się Rozalia, jak to stojąc nad garnkiem mówiła:

— A teraz szczypta soli, szczypta pieprzu.

„Co to jest szczypta?” — zastanawiał się.

Wziął kubek, napełnił go do połowy solą i wsypał do kotła. Później dodał tyleż pieprzu. Gdy konserwy się podgrzały — spróbował. Zapieкло w ustach, jakby zjadł ogień. Dał do spróbowania pomocnikom, wypluli na podłogę twierdząc, że to niejadalne.

„Czym by to zneutralizować?” — zastanawiał się.

Dolał wody z octem, dosypał cukru. Gulasz zrobił się jeszcze gorszy. Z drżeniem oczekiwał Dolas godziny wydawania obiadu. Wybuchła awantura. Legioniści klęli i pluli na podłogę. Zjawił się kapitan. Spróbował i skrzywił się.

— Gówno, a nie jedzenie — stwierdził filozoficznie. — Czy to ma być kuchnia szwajcarska?

— Tak.

— Na drugi raz robić po francusku. A wy nie krzywić mord! — zawołał do legionistów. — Ne widzicie, jakie duże porcje? Na drugi raz będzie wam smakowało.

Nazajutrz gulasz był dobry, ale za to makaron rozgotował się na packę. Dolas z kolei zwalił to na zepsutą kuchnię. Trzeciego dnia trafił w gust swoich stołowników. Od tego czasu wszyscy byli zadowoleni. Legioniści, bo obiady, choć nie zanadto smaczne, były za to obfite, kapitan, gdyż nikt mu nie zawracał głowy skargami na wyżywienie i spokojnie mógł złopać wino, wreszcie Hawliczek, który stwierdził ze zdumieniem, że nowy kucharz naprawdę nie kradnie. Zadowolony był również Dolas. Nikt się do jego pracy nie wtrącał, a wieczory miał wolne, toteż poświęcał je przeważnie na lekturę. Od czasu do czasu jeździł z sierżantem Hawliczkim do Hoczy po żywność. Dowiedział się wówczas, że Czech brał udział w wojnie hiszpańskiej, walcząc w międzynarodowej brygadzie generała Waltera. Po zwycięstwie

frankistów jakiś czas przesiedział w obozie dla internowanych, a potem zdecydował się na służbę w Legii.

Pewnego czerwcowego poranka Hawliczek wysłał Dolasa samego do miasta. Miał tam odebrać bieliznę z prania, co było wielkim świętem dla kompanii kapitana Letoux. Do koszar przybył w południe. Wjeżdżając zauważył, że panuje tu niecodzienny ruch i wszyscy są pełni podniecenia. Jeszcze nie zdążył dowiedzieć się, co zaszło, gdy oficer służbowy zaciągnął go do kancelarii dowództwa pułku i wręczając list do kapitana Letoux, kazał natychmiast wracać do strażnicy.

— Oui, mon capitaine — odpowiedział karnie legionista Jean Petit. Przybywszy nad wieczorem do strażnicy, zastał kapitana w stanie alkoholowego zamoroczenia, tłumaczącego coś swemu zastępcy, podporucznikowi Wernerowi.

— Czego chcesz? — zapytał.

— List do pana kapitana pułku.

Kapitan otworzył kopertę, przeczytał pismo raz i drugi. Wyprostował się i zapiął mundur, co oznaczało u niego przypływ bojowej energii.

— Poruczniku! — zawołał donośnie. — Natychmiast ogłosić alarm całej załogi!

— Oui, mon capitaine! Wolno wiedzieć po co?

— Francja została zagrożona. Musimy bronić Republiki. Nasz odwieczny wróg, Niemcy, mogą lada moment wkroczyć z Iraku do Syrii.

Porucznik wyszedł wykonać rozkaz, a kapitan wielkimi krokami przemierzał pokój.

„Nareszcie! Nareszcie nadszedł Wielki Dzień!”

Kapitan Letoux widział już siebie na czele batalionu dzielnej francuskiej piechoty, szturmującej znieprawionych boszów. Przeżyć taką chwilę, a potem zginąć!

Na dziedzińcu trębacz wygrywał alarm.

— A ty czego tu stoisz? — zapytał Dolasa, który jeszcze nie wyszedł.

— Zaraz! Poczekaj! Mówiłeś, że jesteś Szwajcarem? To chyba znasz język niemiecki?

— Tak jest, panie kapitanie! „Taki byłby mi potrzebny — pomyślał Letoux. — Będziemy mieli jeńców niemieckich, zdobędziemy ważne dokumenty, trzeba będzie przetłumaczyć. Wprawdzie Werner też zna niemiecki, ale podobno on jest Niemcem...”

— Słuchaj. Zostaniesz moim adiutantem.

— Tak jest — odpowiedział Dolas, nie mając pojęcia, na czym polega owa funkcja.

Kapitan założył pas, pistolet i hełm.

— Chodźmy na dziedziniec. Ty idź trzy kroki za mną, z boku — pouczył nowo mianowanego adiutanta.

Porucznik Werner zdał raport. Kapitan przyglądał się swej kompanii. Nie prezentowała się znakomicie.

— Żołnierze! — zawołał. — Odwieczny wróg zagraża Francji. Ruszamy w bój za Republiką! Vive la France! Vive la République!

— Niech żyje! — odpowiedziano, a ktoś zaintonował:

Allons enfants de la Patrie! Le jour de gloire est arrivé...

— Le jour de gloire'est arrivé — powtórzył Letoux. Pięknie to powiedziane.

Zostawiwszy strażnicę pod opieką kilku żołnierzy z sierżantem Hawliczkim na czele — kapitan z resztą kompanii wymaszerował na pustynię. Gdyby go ktoś zapytał, po co to robi — nie umiałby dać wyczerpującej odpowiedzi. Po prostu szukał Wielkiej Przygody. Pełen energii i zapału maszerował na czele, za nim dreptał Dolas jako adiutant, a dalej wlekli się legionieści, nie pojmując, o co właściwie chodzi. Posuwali się w stronę szosy do Iraku. Dowódca sądził bowiem, że stamtąd zagraża niebezpieczeństwo francuskim interesom w Syrii. Nie wiedział biedak, że Anglicy zrobili już porządek z Niemcami w Persji a obecnie, wraz z Wolnymi Francuzami, szykowali się do zawładnięcia Syrią. Rozkaz otrzymany z dowództwa pułku mówił o tym w sposób ogólnikowy i polecał dowódcy strażnicy jedynie zastrzeżenie czujności i postawienie kompanii w stan alarmu. Reszta zarządzeń kapitana była wyłącznie dziełem jego inicjatywy i wyobraźni. Wyobraźnia zaś, pobudzana coraz częściej zaglądaniem do manierki z rumem, po paru godzinach marszu kazała mu rozwinąć kompanię do natarcia.

— Kapitanie — zapytał Werner podchodząc do dowódcy — o co tu chodzi, z kim mamy się bić? I o co właściwie?

— Poruczniku! Pan nie wie, z kim mamy się bić? Z Niemcami!

— Czy aby na pewno? A może to Anglicy i Wolni Francuzi szykują się do zawładnięcia Syrią?

— Wszystko jedno. Naszym zadaniem jest bronić interesów Republiki w Syrii.

— Czy nie uważa pan za wskazane przeprowadzenie uprzednio rozpoznania?

— Słusznie. Przed bitwą należy przeprowadzić rozpoznanie. Niech pan weźmie paru legionistów i rozpozna szosę aż do granicy.

— Oui, mon capitaine!

Kapitan stanął na wysokiej wydmie, obserwując przez lornetkę szosę. W tym czasie porucznik Werner wybierał ludzi, by utworzyć patrol. Czynił to widać starannie, albowiem trwało to bardzo długo. Wreszcie ruszyło pięciu legionistów pod dowództwem porucznika. Kapitan podciągnął kompanię na odległość 100 metrów od szosy. Zrobił się już dzień, słońce

przygrzewało coraz mocniej. Żołnierze zjedli skromne zapasy i klnąc dziwną wycieczkę oczekiwali dalszego rozwoju wypadków.

Porucznik Werner nie wracał, na szosie natomiast ukazała się zmotoryzowana kolumna.

— Nareszcie! — zawołał kapitan. — Żołnierze! Niech żyje Francja! Niech żyje Republika! Do broni! Ognia!

Padło parę strzałów. Kolumna zatrzymała się. Na czoło wyjechał jeep z białą flagą.

— Czyżby się poddawali? Tak z miejsca? — zapytał, zdziwiony obrońca francuskich interesów Syrii.

— To są parlamentariusze — wyjaśnił jego adiutant.

— Słusznie. Chodźmy do nich!

Teraz już było wyraźnie widać, że to nie Niemcy, lecz Anglicy. W battle-dressach i śmiesznie miseczkowatych hełmach, zdążali w stronę kapitana.

— Umiesz po angielsku? — zapytał kapitan.

— Umiem.

— To dobrze. Będziesz tłumaczem.

Okazało się to zbędne. Wśród Anglików znajdował się Wolny Francuz z lotaryńskim krzyżem na lewym rękawie. Obie strony zatrzymały się w odległości paru metrów i zaczęły się pertraktacje.

Oficer wyjaśnił sytuację: oddziały brytyjskie oraz Wolnych Francuzów wkraczają do Syrii w celu usunięcia zwolenników Vichy. Apelują do ich poczucia narodowego. Proponują przejście na stronę generała de Gaulle'a, aby uniknąć przelewu krwi. Reżim Vichy musi być usunięty, .inaczej grozi to opanowaniem Syrii przez Niemców, a chyba żaden Francuz-patriota nie życzy zwycięstwa znieprawionym boszom.

Kapitan Letotix nie miał chęci bić się z Anglikami. Toż dwadzieścia cztery lata temu wspólnie ginęli we flandryjskim błocie, walcząc przeciwko wîlhelmowskiemu Niemcom. Ale kim jest de Gaulle? Gdy kończyła się pierwsza wojna, był takim samym kapitanem jak on. A Petain był już starym marszałkiem, opromienionym sławą zwycięzcy spod Verdun.

„Marszałek Petein wic, co robi! Marszałek Petain zbawi Francję" — podawało radio i prasa.

— Nie! — odpowiedział twardo Letoux. — Nie poddam się wam. Będę walczył do końca.

— Trudno — wmieszał się do rozmowy brytyjski major. — Daję wam pięć minut do namysłu. Potem otwieram ogień. Nie liczcie na zwycięstwo.

Istotnie, trudno było liczyć na zwycięstwo. Z jednej strony kompania legionistów,

wprawdzie wyćwiczonych i zaprawionych w bojach, ale słabo uzbrojonych i nic mających chęci do walki z Anglikami, a z drugiej strony, zmotoryzowany oddział wyposażony w broń maszynową, działka i samochody pancerne.

— Merde! — zawołał kapitan wracając do stanowisk swojej kompanii. — I to ma być wielki dzień! Zastrany dzień, a nie wielki. Ale nie dam się tym Anglikom. Rozbijemy ich szturmem, rozniesimy na bagnietach. Tak jak Niemców w tysiąc dziewięćset czteremastym.

Dolas słuchał z przerażeniem monologu swego dowódcy. Wprawdzie w 1939 roku nasi ułani szarżowali na niemieckie czołgi, no tak, ale to robili polscy kawalerzyści, pełni romantyzmu i żyjący tradycjami Samosierry. Francuzi nie chcieli w 1940 roku umierać za ojczyznę, a teraz mają ginąć od serii brytyjskich cekaemów? Gdzież tu sens? Kapitan Letoux nie zrezygnował jednak z zamiaru.

— Żołnierze! — zawołał po raz dziesiąty chyba od wczorajszego wieczoru. — Anglicy zagrażają interesom Republiki w Syrii! Rozniesimy ich na bagnietach! Pociągnął potężny łyk z manierki.

— Vive la France! En avant! — ryknął i puścił się biegiem w stronę brytyjskiej kolumny, wymachując pistoletem. Zdawało mu się, że trębacze grają *Marsylianke*, a obok biegnie chorąży z trójkolorowym sztandarem. W rzeczywistości dreptał za nim Dolas, ciągnąc ciężki karabin i poprawiając spadające z nosa okulary.

„Za chwilę Anglicy otworzą ogień i będą jatki — rozmyślał. — Po diabła ja narażam się dla tego błazna?!”

O dziwo. Nikt nie strzelał i nic nie było słychać poza rykami kapitana.

— Vive la France! Vive la République! En avant!

Dobiegli do opancerzonego samochodu. Obok stał, porucznik Werner.

— Nie wygłupiaj się, pijacka mordko! — zawołał do kapitana.

— Poruczniku! Jak pan się odzywa do swego dowódcy? Ja pana postawię przed sąd polowy!

— Dobrze, dobrze! Z kim pan chce rozbijać brytyjskie imperium? Z tą kuchenną oferumą?

Kapitan obejrzał się. Cała kompania stała na skraju zarośli, przyglądając się operetkowym wyczynom kapitana Letoux i Jean-Petita vel Dolasa.

— Zgłasza więc pan w imieniu tej kompanii Legii Cudzoziemskiej przejście na stronę Wolnej Francji? — zapytał Wenera brytyjski major.

— Yes, sir!

— I am sorry! — zwrócił się major do kapitana Letoux i Dolasa. — Skoro panowie tej

chęci nie wyrażają i chcą z nami walczyć, to muszę uważać was za jeńców. Proszę oddać broń.

Dolas skwapliwie oddał karabin i wypróżnił ładownice. Letoux z pasją rzucił pistolet na ziemię.

„Straciłem wielką szansę — rozmyślał idąc z ponurą miną wzdłuż kolumny brytyjskich wozów. — Niewątpliwie Brytyjczycy i Wolni Francuzi opanują Syrię. Gdybym się opowiedział z miejsca po ich stronie, wygrałbym wielki los. A tak zrobił to za mnie przebiegły Werner. A wszystko przez tego cholernego Szwajcara, który przyniósł rozkaz z dowództwa pułku. Gdyby nie on, siedziałbym teraz w strażnicy...”

Rzekomy Szwajcar z kolei przeklinał w duchu kapitana: „Przez tego błazna dostałem się do brytyjskiej niewoli. Tego tylko brakowało. Jakoś się z tego wykaraskam, ale po co mi to było?”

Rozdział, IX

w którym Dolas dostaje się do angielskiej niewoli, a następnie do polskiego więzienia

W niewoli niemieckiej kanonier Dolas nosił tytuł Kriegsgefangene, w brytyjskiej — Prisoner of War. Koczował w namiocie. Rano i wieczorem stawał karnie do apelu, a poza tym spacerował wzdłuż drutów, przeklinając świat i ludzi. W Syrii toczyły się walki długie i zacięte. Zwolennicy Vichy nie wiadomo w czyim interesie bronili się zapamiętale. Po paru tygodniach nastąpiło jednak zawieszenie broni, a w związku z tym zaczęły się pertraktacje na temat jeńców. Dolas występował w obozie jako Jean Petit, takie bowiem nazwisko podał kapitan Letoux. Potem, chcąc się jak najszybciej wydostać, Dolas zgłosił, że jest obywatelem szwajcarskim i nazywa się Luis Brenier. Gdy to nie zrobiło większego wrażenia, zameldował komendantowi obozu, że jest Polakiem. W parę tygodni po zawieszeniu broni do obozu jeńców przybył kapitan francuski, reprezentujący armię Vichy, aby zgodnie z porozumieniem zaproponować Jean Petitowi powrót do Francji, dalej kapitan armii de Gaulle'a, aby tegoż samego Jean Petita namówić do wstąpienia w szeregi Wolnych Francuzów, następnie szwajcarski konsul z Damaszku, usiłujący wyciągnąć przypadkowo przebywającego w niewoli szwajcarskiego obywatela Louis Breniera oraz porucznik z ośrodka Polskiej Armii w Palestynie, poszukujący tu niejakiego kanoniera Dolasa.

Jakież było zdziwienie wszystkich czterech panów, gdy przed ich dostojne oblicza sprowadzono zamiast trzech — jednego wysokiego, garbiącego się lekko jeńca,

spoglądającego na nich spoza okularów w złotej oprawie.

Kapitan armii Vichy w barwnych obrazach przedstawił życie we Francji nie okupowanej, a kapitan armii de Gaulle'a widział miejsce każdego Francuza-patrioty tylko pod sztandarem z lotaryńskim krzyżem, Szwajcar przypominał, że Szwajcaria jest i zostanie neutralna, a to znaczy bardzo dużo. Tylko porucznik z napisem „Poland” na rękawie przyglądał się podejrzliwie swojemu rodakowi, nie zabierając głosu.

Dolas wysłuchał nęcących ofert, a potem skłoniwszy się, przemówił po francusku:

— Dziękuję panom za ich propozycje, ale ja naprawdę nie jestem ani Szwajcarem, ani Francuzem. Szwajcarem stałem się przypadkowo, korzystając ze szwajcarskiego paszportu, Francuzem zaś przez głupie nieporozumienie. W rzeczywistości jestem Polakiem. I proszę pana porucznika o zabranie mnie ze sobą — zakończył po polsku, zwracając się do polskiego oficera.

Wobec tego oświadczenia komendant obozu przekazał jeńca wojennego Jean Petita pod opiekę polskiego ośrodka wojskowego w Palestynie. Opuszczając obóz Dolas spotkał w bramie kapitana Letoux.

— O, mon vieux! — zawołał kapitan na widok byłego adiutanta. — Jakże się cieszę. I ja wygrałem wielką przygodę. Zostałem przyjęty do armii Wolnych Francuzów, zostaję dowódcą batalionu Drugiej Dywizji Lekkiej generała Königa. Rozumiesz? Dowódcą batalionu! A ty?

— Jadę właśnie do ośrodka Polskiej Armii w Palestynie.

— To ty naprawdę jesteś Polakiem?

— Naprawdę.

— To się jeszcze okaże! — mruknął porucznik, zapuszczając motor jeepa.

Dziwne uczucie ogarnęło kanoniera Dolasa, gdy znalazł się w polskim ośrodku wojskowym. Biało-czerwone flagi, orły, żołnierze i oficerowie w nowiutkich zgrabnych mundurach, jednym słowem to wszystko, co stracił we wrześniu. I choć kanonier Dolas nie był urodzonym żołnierzem, radował się, że niedługo i on tak będzie wyglądał. Nawet przesłuchanie, długie i męczące, przez porucznika i wachmistrza żandarmerii, nie wywołało niemiłego wrażenia.

„Jasne, że muszą się dowiedzieć, gdzie tyle czasu przebywałem i co robiłem” — tłumaczył sobie, opowiadając obszernie o swych przeżyciach.

Odnosił wrażenie, że porucznik przygląda mu się nieco podejrzliwie. Doszedł do momentu, gdy znalazł się w gospodarstwie Karla Mayera. Zaczął opowiadać o bykach.

— A w Hiszpanii byliście? — zapytał w tym momencie porucznik.

— Nie. Ale to było moim marzeniem.

— Po której stronie chcieliście być? Po czerwonej czy po Franco?

— Ależ mi to najzupełniej obojętne. Ja chciałbym zapoznać się bliżej z hiszpańską sztuką, zwiedzić Madryt, Kordobę, Walencję, Barcelonę.

— No, dobrze! Mówcie dalej.

Dolas opowiedział o przypadkowej ucieczce z pociągu, o przedostaniu się do Jugosławii i przygodach w Legii. Porucznik wypytywał go o szczegóły, coś sobie notując! Po godzinie przesłuchanie było skończone i Dolasa wyprowadzono do sąsiedniego pokoju.

— Co o nim sądzicie, wachmistrzu?

Wachmistrz wolał nie wypowiadać swego zdania przed porucznikiem, chrząknął więc tylko znacząco.

— Dla mnie on jest podejrzany — stwierdził porucznik.

— Pan porucznik uważa go za agenta niemieckiego?

— Gorzej! Uważam go za agenta bolszewickiego. Czyście, wachmistrzu, zauważyli, jak to on opowiadał o tych bykach? Od razu domyśliłem się, że musiał być w Hiszpanii i tam widział walki byków. Gdy zniecka go o to zapytałem, to się zmieszał i powiedział, że nie ale chciałby. A potem, że niby zwiedzić. Znamy takich! Jestem przekonany, że był w Hiszpanii, potem w Legii i tu go nasłali na robotę. A te jego oczy! To typowe spojrzenie wywrotowca. Zauważyliście wachmistrzu?

Wachmistrz nigdy nie widział prawdziwego wywrotowca, więc nie miał pojęcia, jaki on może mieć wzrok. Przytaknął jednak porucznikowi.

— Możemy sprawdzić jego zeznania. Pan pułkownik były attache w Belgradzie, przebywa w Egipcie.

— Właśnie myślałem o tym, ale pułkownik wyjechał służbowo do Londynu. Trzeba tego typu zatrzymać w areszcie, dopóki nie wróci pułkownik.

Wachmistrz poszedł wykonać rozkaz, a porucznik pozostał sam w pokoju. Właściwie nie sam, lecz z ponurymi myślami.

— Cholerne czasy! — mruknął przerzucając papiery na biurku.

Oto cała półroczna działalność: kradzież w kuchni dwóch kilogramów słoniny, jeden wypadek niesubordynacji, parę polskich urlopów — i to właściwie wszystko. W garnizonie przed wojną miało się więcej spraw. Taki strzelec Kwiatek co miesiąc urządzał rozróżbkę, tu kogoś pobił, tam zdemolował lokal. A tu? Jak tak dalej pójdzie, to okaże się, że żandarmeria jest zgoła niepotrzebna. Co wtedy? Na front? Zginąć za ojczyznę potrafi byle łajza, ale wykryć wywrotowca! Sytuacja jest poważna, może ją uratować ten cały Dolas czy jak mu

tam.

W gabinecie zjawił się Wachmistrz, meldując o wykonaniu rozkazu.

— Osadziłem go w pojedynce!

— Dobrze. Usiądźcie tu, wachmistrzu. Musicie delikatnie wybadać tego Dolasa. Jestem przekonany, że to agent bolszewicki, i to bardzo sprytny, taki, co to z niejednego pieca chleb jadł. Musicie więc na spryt odpowiedzieć sprytem. Wypytać delikatnie, nieznacznie, co robił przed wojną, gdzie przebywał, z kim się kontaktował. Grozi nam, że pewnego dnia powiedzą: „Żandarmeria jest niepotrzebna”. Co wtedy? Sprawa Dolasa może nas uratować. Rozumiecie?

— Tak jest, panie poruczniku. Już ja to załatwię.

Dolas siedział samotnie w niedużej celce zastanawiając się, komu tak się naraził, że aż zamknięto go w kryminale. Panował tu nieludzki upał. Przez małe okienko widział dachy ubogich przedmieść. Tak marzył o Wschodzie. Ma go - teraz!

Po paru dniach przeniesiono go do większej, dwuosobowej celi. Nazajutrz zjawił się drugi więzień. Już od progu otworzył buzię:

— Zabiję! Zarżnę tępym nożem! Wszystkich sukinsynów!

— O kim ty mówisz? — zapytał Dolas leżąc na pryczy.

— O kim? O generałach! Pułkownikach! Mam ich w dupie.

— Człowieku! Jak ci nie wstyd, tak gadać? Jesteś polskim żołnierzem, czy nie? Cóż za krzywda ci się stała?

To nie było umówione z wachmistrzem, więc żandarm Matuszak chodził po celi, coś niewyraźnie mrużąc.

— Mnie też, bracie, spotkała kiedyś krzywda — zaczął Dolas, siadając na barłogu — ale się wyjaśniło. Wyobraź sobie, byłem podejrzany o działalność wywrotową.

— Jak mówisz?

— Zwyczajnie. Podejrzewano mnie o działalność wywrotową, bo rozmawiałem w kłozecie, z niejakim Lanckorońskim o teorii ewolucji. Miałem przykrości, ale nikogo z tego powodu nie chciałem wieszać czy zarżynać. A za co cię tu wsadzili?

To też nie było umówione, więc Matuszak znów zaczął spacerować po celi. W pewnym momencie zatrzymał się. — Słuchaj no! A w Hiszpanii byłeś?

— Nie. Ale zawsze o tym marzyłem, nawet zacząłem się uczyć hiszpańskiego.

— A może znałeś kogoś z Hiszpanii? Z tej czerwonej naturalnie.

— A tak, znałem! Sierżanta Hawliczka.

Matuszak nie słuchał dalej. Spieszyło mu się, gdyż wieczorem miał spotkanie z uroczą kobietką. Wachmistrz kazał mu siedzieć w celi tak długo, aż coś wyciągnie z Dolasa.

Spodziewał się, że będzie to twarda sztuka, a ten śpiewa jak z nut!

Matuszak wrzasnął jeszcze parę razy:

— Zamorduję! Zarżnę tęym nożem! — i zaczął się dobijać do drzwi.

— Czego tam? — zapytał wachmistrz uchylając podwoje.

— Chcę do klozetu. Wachmistrz zabrał aresztanta i Dolas więcej go nie zobaczył. Przy wydawaniu kolacji dowiedział się od wachmistrza, że w celi będzie przebywał sam.

— Bardzo panu wachmistrzowi dziękuję, to był jakiś pomyłony facet:

— Okaże się! — mruknął wachmistrz.

Gdy żandarm Matuszak pędził na randkę, a Dolas dusząc się z braku powietrza zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie się musiał męczyć w celi, wachmistrz składał meldunek:

— Panie poruczniku, do wszystkiego się przyznał. Był podejrzany o działalność wywrotową, ale uniewinniono go z braku dowodów. Utrzymywał znajomość z sierżantem Hawliczkiem, który walczył w Hiszpanii.

Porucznik spojrział z zainteresowaniem.

— To ciekawe. Należy odszukać sierżanta Hawliczka i inwigilować go, a ja udam się do prokuratora. Sądzę, że zebraliśmy już dosyć dowodów winy.

Ku oburzeniu porucznika prokurator nie uznał dowodów za wystarczające do wytoczenia sprawy i nakazał przetrzymać Dolasa do powrotu pułkownika z Londynu.

Pułkownikowi wcale jednak nie spieszyło się z powrotem. Miał do załatwienia szereg spraw służbowych, potem chciał odwiedzić znajomych w Londynie i Szkocji, pogadać przy drinku o dawnych, dobrych czasach, pomarzyć o tym, jak to będzie po wojnie, i naturalnie poczynić pewne kroki tu i tam w celu zapewnienia sobie odpowiedniej posady w powojennych latach. A w końcu postarać się o miejsce w samolocie lecącym do Egiptu przez Gibraltar.

Dolas tymczasem cierpliwie okupował aresztańską celę. W areszcie panowały pustki. Czasem zjawiało się dwóch lub trzech żołnierzy, którzy odbębniwszy karę po paru dniach znikali. Tylko Dolas tkwił wiernie na posterunku. W południe, na komendę „zbiórka do spaceru”, wybiegał na korytarz. Potem uroczyście wyprowadzano go na mały dziedziniec, gdzie godzinę spacerował wzdłuż murów. Wieczorem, znów na komendę „zbiórka do apelu”, stawał na korytarzu i głośno śpiewał: „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Parę razy wzywał go na przesłuchanie porucznik, rozpytując się, o co był podejrzany w szkole podchorążych i o sierżanta Hawliczka. Stopniowo porucznika zaczęły ogarniać wątpliwości: „Może on naprawdę jest niewinny? I może naprawdę miał listy polecające do

pułkownika, które zginęły w czasie katastrofy statku?"

W tym wypadku niepotrzebnie naraziłby się pułkownikowi. Postanowił być ostrożny.

Gdy tylko dowiedział się, że pułkownik powrócił z Londynu, natychmiast się u niego zameldował.

— Trudno, abym pamiętał wszystkich, którzy przewinęli się przez belgradzkie poselstwo. Ale niech się tu zjawi, zobaczymy.

Tegoż popołudnia Dolas zamiast na spacer wokół podwórka został załadowany na samochód i pod eskortą porucznika i wachmistrza opuścił areszt. Minęli nędzne zabudowania i wjechali na szerokie, asfaltowe ulice śródmieścia. Samochód zatrzymał się przed elegancką willą. Pułkownik na widok wychudzonego Dolasa w mundurze Legii Cudzoziemskiej wykrzyknął:

— Ależ naturalnie, że pamiętam tego zucha! Mówcie, co się z wami działo? Dolasowi zrobiło się lżej na duszy, zaczął opowiadać:

— Nasz statek „Drawa” został storpedowany przez Włochów na Morzu Śródziemnym. Część załogi i ja uratowaliśmy się na szalupie.

— I spędziliśmy długie dni i noce bez żywności i wody. W nocy doskwierało wam zimno, a w dzień prażyło słońce?

— Tak jest, panie pułkowniku!

— No, no! Mówcie dalej. Słyszysz pan, poruczniku?

— Po paru dniach wyłowili nas francuski statek.

— Byliście już u kresu sił. Francuzi półżywych wynieśli na pokład. A nikt nie zmarł z głodu lub pragnienia?

— Nie, panie pułkowniku. Ale to był dziwny statek.

— Może to był statek włoski i płynął pod fałszywą banderą?

— Nie, panie pułkowniku. To był statek francuski, tylko miał dziwny ładunek.

— Domyślam się! Petainowski statek wiezie szmuglowaną włoską lub niemiecką broń!

— Nie, panie pułkowniku, statek wiozł żołnierzy Legii Cudzoziemskiej do Syrii, jak się później okazało. Ale byli oni w cywilnych ubraniach. Jeden z nich, niejaki Jean Petit, zdezerterował. Żeby się więc zgadzał stan obecnych, mnie zabrali ze sobą, gdyż w czasie katastrofy statku jugosłowiańskiego straciłem wszystkie dokumenty.

— A to dopiero! I co? Pełniliście służbę w Legii?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Fantastyczne! Fantastyczne! Walczyliście z bardami dzikich Arabów. Przeżywaliście oblężenie fortu. Nocne niespodziewane ataki. Głód i piekielne pragnienie. Rozumiem teraz,

dlaczego tak wyglądacie. I jakżeście się wydostali?

— Gdy do Syrii wkroczyli Anglicy i Wolni Francuzi, nasza kompania, a właściwie nie kompania, lecz jej dowódca, kapitan Letoux, nie chciał się poddać. Chciał walczyć z Anglikami.

— No i co? Co dalej? — dopytywał się pułkownik.

— My, to znaczy kompania, zbuntowaliśmy się.

— Fantastyczne! Fantastyczne! Na pewno duszą tego buntu byliście wy! Nic próbujcie zaprzeczać! Skromność jest cechą silnych charakterów. Więc zbuntowaliście się i opowiedzieliście się za Wolnymi Francuzami?

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Fantastyczne! Niebawem! Ale dlaczego, poruczniku, on nie jest jeszcze w brygadzie?

— Panie pułkowniku, musieliśmy sprawdzić jego zeznania. Obowiązuje nas daleko posunięta czujność.

— Rozumiem. Ale w tym przypadku? Popatrzcie mu w oczy. Czyje to jest spojrzenie? No?

— Wywrotowca — powiedział z przekonaniem wachmistrz.

— Wachmistrzu! Czy wyście trochę tego tu... to jasne, otwarte spojrzenie, to typowe spojrzenie bohatera, człowieka prostolinijnego. Prawda, poruczniku?

— Tak jest. Wachmistrz opowiada brednie.

— Proszę więc zaraz odesłać go do brygady. Tam na wagę złota są doświadczeni żołnierze. W dodatku w walkach pustynnych. No i proszę nie zapomnieć o awansie i Krzyżu Walecznych. Ma to już dawno obiecane. — Teraz pułkownik zwrócił się do Dolasa: — Drogi chłopcze, życzę wam wszystkiego najlepszego. Jestem pewien, że jeszcze o was usłyszę. Aha! A jak tam z historią sztuki? Czy nadal się nią zajmujecie?

— Niestety, panie pułkowniku! Nie miałem okazji.

— A, to bardzo dobrze. Wiedziałem, że to minie. Zegnam was.

Rozdział X

w którym Dolas zostaje pucybutem włoskiego pułkownika

Przeszkolenie w ośrodku zapasowym w Latrum było bardzo krótkie, ograniczało się właściwie do zapoznania się z nowymi świetnymi 25-funtowymi działami brytyjskimi, w

które właśnie została wyposażona artyleria Brygady Karpackiej.

Kanonier Dolas, po krótkim pobycie w ośrodku, nie zdążywszy nawet zwiedzić Palestyny, został wysłany do Egiptu. Podróż do Kairu wraz z kilkoma żołnierzami brygady odbyli samochodem przez Pustynię Saudyjską i Suez. W Kairze Dolas wybłągał parę dni urlopu. Być w Egipcie i nie widzieć piramid — to gorsze niż w Rzymie i nie widzieć papieża. Szybko przebiegł liczne sale i galerie muzeum faraonów w Kairze, obejrzał stare miasto i wyjechał do Gizeh.

Stanąwszy przed niebotycznymi piramidami, poczuł się mały jak pyłek. Budowały je setki tysięcy niewolników przez długie dziesiątki lat. W pocie i krwi wciągano w górę wielotonowe bloki i ustawiano jeden na drugim, aby po tysiącach lat ludzie mogli przypatrywać się im z podziwem. Jak bogata i wielka musiała być ta kultura sprzed wieków, skoro dziś jej wytwory zapełniają muzea całego świata. A ileż niezbadanych tajemnic kryje się jeszcze w głębi piramid... Jak wielkie wrażenie musiały robić na ludziach, skoro nawet Napoleon, stojąc u ich stóp, powiedział do swych żołnierzy: „Czterdzieści wieków patrzy na was...”

Jakby na ironię — właśnie egipska wyprawa Napoleona, mająca na celu, podobnie jak inne, podboje nowych terenów, przyniosła rozwiązanie tajemnicy hieroglifów. Przypadkowo znaleziony przez napoleońskiego oficera kamień z Rosetty stał się kluczem do odczytania egipskich papirusów. Starożytny świat odkrył swe skrzętnie od dziesiątków wieków strzeżone tajemnice.

W górze, wysoko leciało parę samolotów. Dolas zadarł głowę. Pomyślał, że to prawdopodobnie maszyny przerzucane ze Złotego Wybrzeża przez cały afrykański ląd dla zasilenia armii Środkowego Wschodu. Westchnął ciężko. Jutro rano musi zameldować się w brygadzie.

Na froncie od dłuższego czasu panował spokój, a nawet zastój. W prawo od polskiej brygady stała dywizja brytyjska — z lewej strony nie było nikogo. Naprzeciw siebie alianci mieli oddziały włoskie, nie przejawiające żadnej aktywności, co było na rękę dowódcy armii, przygotowującemu na tyłach zgrupowanie do rozegrania następnej bitwy.

W dzień obie strony obserwowały swoje stanowiska, ostrzeliwując od czasu do czasu pętające się po przedpolu patrole. Artyleria wysyłała po parę pocisków na drugą stronę, ot tak, aby nie zardzewiały lufy. Poza tym przyglądano się walkom powietrznym. Czasy, gdy w powietrzu panowała Luftwaffe, minęły bezpowrotnie. Na tle bezchmurnego nieba bezustannie krążyły klucze zwinnych i kąśliwych spitfire'ów, nie dopuszczając samolotów Osi poza linie własnej piechoty. Gdy zjawiały się większe nieprzyjacielskie zespoły, z pobliskich lotnisk

startowały, całe dywizjony i po chwili powietrze zapełniało się chmurą walczących myśliwców. Jazgot karabinów maszynowych przeplatał się ze szczekaniem działek pokładowych, niebo przesywały szare smugi. Po krótkiej, gwałtownej utarczce, podczas której trudno było się zorientować, kto z kim walczy, samoloty znikły. W górze widać było białe czasy wolno opadających spadochronów, a na ziemi szczątki płonących samolotów.

Jedyną rozrywką żołnierzy polskiej brygady były organizowane od czasu do czasu wypadki na tyły armii włoskiej. Wykorzystując jej usytuowanie, nieduże oddziały objeżdżały w nocy prawe skrzydło Włochów i zjawiały się niespodziewanie na tyłach. Strzelając do kogo i gdzie się dało — wywoływały panikę, a nieraz ucieczkę całych batalionów. Po paru godzinach oddział wracał, przeważnie bez strat, obładowany zdobyczą: bronią, konserwami i świetnym włoskim winem.

Któregoś dnia podchorąży Rudnicki otrzymał od dowództwa brygady rozkaz dokonania wypadu. Nie było to dla niego nowością, już parokrotnie dowodził takimi akcjami. Zadanie, jakie dziś otrzymał, było jednak poważne. Nie chodziło bowiem wyłącznie o wywołanie w szeregach nieprzyjacielskich paniki i zamętu, lecz o zniszczenie na tyłach włoskiej radiostacji i zdobycie szyfrów, co było bardzo ważne ze względu na zbliżającą się ofensywę.

Podchorąży otrzymał dokładne informacje o położeniu radiostacji i o tym, iż może być broniona przez pluton piechoty. W sprawie doboru ludzi i sposobu wykonania zadania miał wolną rękę. Zastrzeżono jedynie ściśle zachowanie tajemnicy.

Podchorąży szedł wolno piaszczystą drogą. Od pustyni wiał lekki wiatr. Zadanie musiał wykonać dziś, gdyż na jutro meteorolodzy przepowiadali burzę piaskową. „Kogo by tu wziąć?” — zastanawiał się.

Ochotników miał tylu, ilu było żołnierzy w brygadzie.

Minął grupę rozrzuconych w terenie czołgów i doszedł do stanowiska lekkiej baterii. Przy jednym z 25-funtowych dział stał oparty o koło wysoki, szczupły kanonier, przecierający właśnie okulary w złotej oprawce.

„To ten niedawno przysłany do brygady kanonier Dolas — pomyślał podchorąży. — O jego przygodach opowiadano cuda. Ucieczka z niewoli, służba w Legii Cudzoziemskiej... A może by go zabrać? To musi być cwaniak pierwszej wody, a poza tym, służąc w Legii, ma doświadczenie w walkach pustynnych”.

Podchorąży skręcił w stronę działa, przy którym stał Dolas.

— Wy jesteście kanonier Dolas?

— Tak.

— Dziś w nocy organizuję wypad na tyły Włochów. Czy nie chcielibyście wziąć w nim

udziału?

W oczach Dolasa wyczytał zdziwienie i jakby przestach.

— Naturalnie w charakterze ochotnika — dodał Rudnicki. — Dużo o was słyzałem. A ponieważ potrzebuję ludzi doświadczonych w walkach pustynnych, proponuję wam udział w wypadzie.

— Ja doświadczony w walkach pustynnych?

— No, wasza służba w Legii jest najlepszym świadectwem. A poza tym zostaliście przedstawieni do odznaczenia Krzyżem Walecznych i do awansu. Noblesse oblige! Po polsku to znaczy...

— Rozumiem. Znam francuski i trochę włoski.

— To świetnie! Właściwy człowiek na właściwym miejscu! A więc?

— Jeżeli pan podchorąży uważa, że jestem potrzebny — to służę.

— Doskonale! Zbiórka przed dowództwem brygady o godzinie dziewiętnastej trzydzieści.

Oprócz Dolasa do grupy wypadowej Rudnicki dobrał jeszcze 11 strzelców najbardziej doświadczonych w walkach.

Słońce powoli zbliżało się do horyzontu. Podchorąży, stwierdziwszy, że wszyscy są na miejscu, przystąpił do omówienia zadania:

— Celem naszego wypadu jest zniszczenie ważnego obiektu wojskowego na tyłach Włochów. — Dla zachowania tajemnicy nie podał dokładnie, co to za obiekt. Rozłożył mapę. — Znajduje się on tutaj — pokazał na mapie krzyżyk. — Dwoma carrierami dojedziemy do tej oazy — zakresił luk na mapie. — Potem przejdziemy do tego miejsca i tu rozdzielimy się na dwie grupy. Pierwsza będzie pod moim dowództwem, a drugą obejmie kanonier Dolas.

— Ja!

— Tak, wy i dwóch strzelców upozorujecie atak od strony pustyni. Gdy nieprzyjaciel zwiąże się z wami w walce, my uderzymy ze strony stanowisk włoskich. Od tego więc punktu w terenie pójdziecie ze swoją grupką pod kursem dwustu dziewięćdziesięciu stopni, po trzydziestu minutach marszu powiększycie kurs o czterdzieści stopni, to znaczy pójdziecie kursem trzysta trzydzieści... Nowym kursem pójdziecie znów trzydzieści minut i traficie na obiekt, który mamy zniszczyć. Będzie to nieduży budynek. Zadanie musi być wykonane przez zaskoczenie, dlatego posyłam was trasą okrężną, abyście nie zdradzili swej obecności. Na miejscu będziecie około godziny dwudziestej trzeciej. Zajmiecie ostrożnie stanowiska na najbliższej wydmie. Punktualnie o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści otworzycie ogień na budynek. Rzucicie parę granatów, przeskoczycie parę metrów w bok i znów otworzycie

ogień. Jednym słowem macie udawać, że jest was znacznie więcej. Gdy nieprzyjaciel zwiąże się z wami, ja zaatakuję ze swoją grupą! Odwrót na sygnał gwizdkiem na moją komendę. Dolas, czy zrozumieliście? Na was ciąży bardzo ważne zadanie. Liczę na was jako na doświadczonego żołnierza!

— Dobrze — odpowiedział Dolas, zastanawiając się, co z tego może wyniknąć.

— Wobec tego ruszamy — zdecydował podchorąży.

Zajęli miejsca na carrierach. Każdy był uzbrojony w automat i wiązkę granatów. Ponadto dwóch strzelców było zaopatrzonych w materiał wybuchowy do zniszczenia radiostacji. Carrierzy powoli ruszały piaszczystą drogą. Zręcznie manewrując między wydrami, zgrabne terenowe wozy szerokim łukiem objeżdżały prawe skrzydło armii włoskiej. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podchorąży Rudnicki prowadził ich na busolę, zmieniając co pewien czas kurs. Podniecenie z wolna ogarniało cały oddział. Wszyscy myśleli o oczekujących ich przygodach, zadanie było odpowiedzialne, lecz niezbyt niebezpieczne. Dolas zamartwiał się, czy nie nawali. A może lepiej poprosić podchorążego, aby wyznaczył kogoś innego na dowódcę, grupy? Zrobiło mu się wstyd. Nie jest przecież idiotą. Ostatecznie chodził w nocy, posługując się kompasem za młodych lat, gdy był harcerzem. Nie przypuszczał, że mu się to przyda w Afryce.

Parę minut po dziesiątej znaleźli się w niedużej oazie. Carrierzy miały tu pozostać, a potem, po wykonaniu zadania, odwieźć ich z powrotem. Rudnicki jeszcze raz przypomniał zadanie. Wokoło panowała niczym nie zmacona cisza. Na niebie świeciły gwiazdy. Ujęli w dłonie automaty i ruszyli. Po dziesięciu minutach oddział zatrzymał się. — Dolas, tu się rozdzielamy. Bierzcie swoich ludzi i ruszajcie.

— Dobrze.

Dolas ustawił na busoli kurs 290 stopni i powoli zaczął schodzić po stoku wydmy. Po chwili zniknęli w ciemnościach. Maszerowali, sprawdzając co parę minut kurs na fosforyzowanej tarczy.

Minęło tak pół godziny. Nic się wokoło nie działo i aż trudno było sobie wyobrazić, iż w pobliżu przebiega front, że tam w półśnie drzemią tysiące ludzi, którzy gotowi są w każdej chwili rzucić się na siebie, nawzajem się mordując.

Oddział Dolasa zatrzymał się. Dowódca jeszcze raz sprawdził godzinę.

— Zmieniamy kurs — powiedział półgłosem.

Wyjął z kieszeni busolę i powoli przekręcał tarczę. Nagle niedaleko rozległ się suchy trzask. W górę wytrysnęła jasna smuga, która rozkwitła na niebie niczym kwiat i wokoło zrobiło się jasno jak w dzień. Powoli opadając, na spadochronie wisiąca flara. Bez rozkazu

trzej żołnierze padli na pustynny piasek. Czyżby odkryto ich obecność na tyłach wojsk włoskich? Flara powoli wygasła i zapanowała znów ciemność, pozornie jeszcze większa.

— Ruszamy — zdecydował Dolas.

Wstali i ruszyli według nowego kursu. Biedny dowódca przeżywał chwile największej emocji. Czy aby nie przegapi tajemniczego obiektu? Dziwaczne kształty wydm wydawały mu się budynkami, fortami, a nawet włoskimi czołgami. Maszerowali już pół godziny i nie trafili na żaden obiekt. Dolasowi zaczął występować pot na czoło. Jeszcze parę minut. Wreszcie, gdy drapali się na potężną wydmę, zobaczyli, w dolince nieduży budynek, coś w rodzaju baraku.

— Nareszcie!

Ułożyli się na szczycie wydmy, czekając godziny 23 minut 30. Odbezpieczyli automaty i poukładali pod ręką granaty. Dolasowi wydało się, że po drugiej stronie widzi poruszające się w ciemnościach postacie. „To na pewno reszta oddziału” — pomyślał.

Z budynku wyszło dwóch włoskich żołnierzy i skierowało się powoli w stronę stanowisk. Nadal panowała cisza. Dochodziła godzina 23.30 — jeszcze dwie minuty ! Jeszcze jedna! Jeszcze trzydzieści sekund!

— Ognia! — wrzasnął Dolas.

Nacisnął spust automatu i posłał długą serię w stronę budyneczku. To samo zrobili jego podwładni. Potem rzucili granaty, przebiegli parę metrów w prawo i znów otworzył ogień. W tajemniczym budynku podniósł się krzyk i przeraźliwe piski. Jednocześnie z drzwi, a nawet przez okna wyskoczyło paru włoskich, nieco roznegliżowanych żołnierzy. Poprawiając garderobę pędzili przed siebie, nie mając zamiaru stawiać oporu.

Od drugiej strony nikt nie atakował.

„Co mogło się stać? — zastanawiał się Dolas. — Toż ten ważny obiekt miał być zaatakowany z obu stron. Mieliśmy rozkaz zdobyć go i zniszczyć. A może Rudnicki wpadł w zasadzkę? Wtedy gdy wystrzelono flarę?”

W Dolasie zbudził się nagle rycerski duch.

— Musimy zdobyć ten obiekt! Hura! — krzyknął. — Za mną!

Poderwał się i puścił wielkimi susami w dół, zapadając po kostki w piasku. Za nim pędzili jego podkomendni. Strzelając z maszynowych pistoletów, zbliżali się do budyneczku. Jeszcze parę kroków! Nikt nie otwiera ognia. Dopadli drzwi. Silne pchnięcie i są w środku. Znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym hali lub poczekalnię. Pod ścianą stało dwóch starych żołnierzy włoskich z rękoma w górze, jak gdyby oczekując pojawienia się zwycięzców. Z hallu prowadził długi korytarz z drzwiami na lewo i prawo. Dolas wpadł do

korytarza, otworzył pierwsze drzwi. Zobaczył na kanapce mocno roznegliżowaną damę.

— Pardon! — mruknął, cofając się nieco zażenowany.

To samo w następnym pokoju. Znow „pardon” i odwrót na korytarz. W trzecim pomieszczeniu dama była zgoła w stroju Ewy! „Co to jest? — zastanowił się. — Garderoby teatralne? Kabaret?”

Wrócił do hallu. Podeszedł do wystraszonych Włochów.

— Mówcie prawdę — zwrócił się do nich po włosku. — Nie ma tu uzbrojonych żołnierzy?

— No, no, signore!

Jednocześnie na korytarzu zaroilo się. Roznegliżowane damy w różnym wieku i różnej maści biegały we wszystkich kierunkach, wrzeszcząc jak na jarmarku. Dolas poczuł się w roli zwycięzcy. Nie ulegało wątpliwości, iż zbrojnie zajął ten obiekt. On tu jest panem i władcą. A te baby zachowują się jak przekupki, ignorując jego obecność.

— Cisza! — wrzasnął po włosku. — Co to jest, do jasnej cholery? Wojsko czy burdel?

— Si, si! — przytaknął jeden z włoskich wojaków.

— Co si, si?

— To jest polowy dom publiczny.

— Jak mówisz?

— Polowy dom publiczny Korpusu Królewskich Bersalierów.

„Dom publiczny? — zastanawiał się Dolas. — To ma być ważny obiekt wojskowy?”

Ale rozkaz brzmiał wyraźnie: zdobyć obiekt i zniszczyć. Co znaczy wobec tego zniszczyć? Spalić tę budę? A co z pensjonariuszkami? Zabrać je z sobą?

— Oj, dowódco — zauważył jeden ze strzelców — chyba coś napieprzyliśmy. Niemożliwe, aby burdel mógł być ważnym obiektem wojskowym, nawet taki przy królewskich bersalierach.

— Tak myślisz? Ale cóż mogliśmy napieprzyć. Mieliśmy iść pod kursem dwustu dziewięćdziesięciu stopni trzydziestu minut. Tak i było. Potem należało powiększyć kurs o czterdzieści stopni. Dwieście dziewięćdziesiąt plus czterdzieści równa się trzysta trzydzieści.

Dolas wyjął z kieszeni busolę: na tarczy był nastawiony kurs 310 stopni.

„Rozumiem, pomyliłem kurs o dwadzieścia stopni, a stało się to wtedy, gdy na niebie ukazała się flara. Właściwy obiekt znajduje się gdzieś w prawo od naszego kierunku. Co wobec tego robić? Rudnicki czeka tam na nas i klnie, a my w najlepsze urzędujemy w domu publicznym. Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy! Przecież maszerowaliśmy, dłużej niż pół godziny, to powinno zwrócić moją uwagę...”

Strzelcy ironicznie spoglądali na „doświadczonego w walkach pustynnych legionistę. „Dziewczynki” uspokoiły się i zaciekawione wyglądały z pokojów, które Dolas początkowo wziął za garderoby. Włoscy wojacy tkwili dalej pod ścianą, trzymając ręce podniesione do góry. Kazał im je opuścić. Przypomniało mu się zdanie wyczytane w pamiętnikach jakiegoś generała: „Żołnierz zawsze powinien maszerować na odgłos strzałów”.

— Słuchajcie — zdecydował — wyjdźcie przed ten obiekt i zajmijcie stanowiska na wydnie. Podchorąży Rudnicki na pewno zaatakuje właściwy obiekt i wtedy pójdziemy w kierunku strzałów. Musimy się z nim połączyć, bo jak inaczej przedostaniemy się do swoich? Uważajcie, aby nikt nas nie zaskoczył, a ja będę pilnował tego towarzystwa w środku.

Strzelcy, mrugnawszy do siebie porozumiewawczo, opuścili „ważny obiekt wojskowy”. Dolas z pistoletem maszynowym pod pachą majestatycznie spacerował po korytarzu. Zza niedomkniętych drzwi ukradkiem wyglądały dziewczęta ciekawie przypatrując się zwycięzcy. Zatrzymał się przed jedną z nich.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Violetta — odpowiedziała poprawiając rozchylający się ustawicznie szlafrok. Była zupełnie do rzeczy. Wysoka, postawna brunetka, o ładnej karnacji i smukłej szyi. Dolas zerknął ciekawie za obszerny dekolt.

— Co signore colonnello zrobi z nami? — dopytywała się ciekawie.

— Nie jestem pułkownikiem. Nie wiem, co z wami będzie.

— A wy, Anglicy, nie macie takich domów? Niech pan weźmie mnie do siebie. Na pewno jestem ładniejsza od waszych Angielek.

Poprawiła szlafrok tak, aby nie było wątpliwości, że ma znacznie obfitsze kształty niż przeciętna córka Albionu.

— Nie jestem Anglikiem. Jestem Polakiem.

— Polakiem?! — krzyknęła z niekłamaną radością. Uchyliła drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Suzanne! Suzanne! — wołała. — Colonnello jest Polakiem! Słyszysz? Na korytarz wypadła chuda, chyba pięćdziesięcioletnia blondyna w fioletowym szlafroku w kanarkowy deseń i z przerzuconym przez ramię, wyrudziałym lisem. „Czyżby ta potwora też mogła mieć amatora?” — pomyślał Dolas. Blondyna zatrajkotała:

— Santa Madonna! Jakże się cieszę, jakże się cieszę. Przed tą paskudną wojną miałam własny zakład w Genui. Ja naturalnie, nie pracowałam.

— Jaki zakład? — zapytał Dolas.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zdumienia.

— No, taki z dziewczynkami. A jakie miałam dziewczynki! Och, signore. Nikt w całych Włoszech takich nie posiadał. Była Murzynka, Chinka, Eskimoska, Japonka. Naturalnie to dla znawców i amatorów. Zakład zrtano w całej Genui. Co ja mówię? Na całym świecie. Domek u cioci Suzanne przy ulicy Wszystkich Świętych. Do Genui często przybywał polski statek, Signore capitano zawsze odwiedzał ciocię Suzanne. Ach, signore capitano. Nie przypominam sobie jego imienia. Takie było dziwne, ale kapitana nigdy nie zapomnę. Co to był za mężczyzna! A specjalnie to mu przypadła do gustu Violetta. Prawda?

— Tak — potwierdziła Violetta. — Och, co to był za mężczyzna — westchnęła, podnosząc wzrok ku brudnemu sufitowi.

— Pamiętam — trzepała Suzanne — signore capitano wpadł do zakładu, a u Violetty było dwóch amerykańskich marynarzy. I co zrobił capitano? Wyrzucił marynarzy przez okno. Ach, jakżeśmy się uśmieły. Jeden z tych marynarzy to nawet złamał nogę. Potem przybiegli karabinierzy. Signore capitano też ich chciał wyrzucić przez okno. I zrobiłby to, ale myśmy odradziły. Pamiętasz Violetta?

— Tak. A potem capitano uciekł przez podwórko i karabinierzy na próżno go szukali. Aleśmy się uśmieły. Nigdy nie zapomnę.

— Ach, to był mężczyzna. Jak sobie wypił, to pieniędzmi rzucał na prawo i lewo, nie tak, jak ci nasi. A jak więcej jeszcze wypił, to śpiewał. Pamiętam nawet jedną waszą narodową piosenkę. Tak się zaczynała: „Oczy czornyje i prekrasnyje...” No, głosu to capitano nie miał najlepszego. Nasi chłopcy śpiewali ładniej. Ale co to był za mężczyzna!

— Do dziś go pamiętam — westchnęła Violetta.

— A potem przyszła ta okropna wojna. Port opustoszał. Turyści nie opuszczali Genui. Musiałam zlikwidować zakład. Przyszłam z Violetta, moją najlepszą dziewczynką, do tej parszywej budy. I nawet muszę sama pracować. Na co przyszło na stare lata cioci Suzanne z ulicy Wszystkich Świętych, o Santa Madonna!

Ciocia Suzanne rozplakała się rzewnie. Objęła za szyję Dolasa i szlochała na jego piersi.

— Niech pan nas ratuje! Niech pan nas stąd zabierze. Dolas uspokajał ją jak mógł.

— Niech się pani nie martwi. Wojna niedługo się zakończy. Wróci pani do Genui i z powrotem otworzy swój zakład. Na pewno jeszcze ładniejszy.

— Ale za co, za co? Jestem zrujnowana.

W tym momencie na dworze padło parę strzałów i dobiegły ich krzyki i nawoływania. Dolas odepchnął ciocię i rzucił się w stronę hallu. W drzwiach ukazał się tłum wrzeszczących jeden przez drugiego włoskich żołnierzy. Dolas złożył się z pistoletu i nacisnął spust. Nie padł

jednak strzał — magazynek był pusty. Zdobywając „ważny obiekt”, wystrzelał wszystkie naboje i zapomniał uzupełnić magazynek. Tłum Włochów oblepił kanoniera Dolasa. Rozbroili go i wyciągnęli na dwór. Po jego podwładnych nie było śladu.

„Nie mogli mnie ostrzec lub nie uważali za stosowne bronić tego obiektu — pomyślał Dolas. — Tak czy tak, znów jestem w niewoli, tym razem we włoskiej”.

Jeniec w korpusie królewskich bersalierów musiał być rzeczą niecodzienną, gdyż Dolasa obstało kilkuset żołnierzy, którzy wśród okrzyków i nawoływań ciągnęli go w głąb włoskich pozycji.

Po półgodzinnym marszu, w czasie którego eskorta jeszcze bardziej się powiększyła, dotarli do małego miasteczka namiotów. Po znakach czerwonego krzyża Dolas domyślił się, że jest to szpital polowy. Zatrzymano się przed jednym z namiotów, po czym zaczęły się debaty, czy budzić jakiegoś colonella. Ostatecznie uznano, że w tak ważnym momencie można i należy to uczynić. Dolasa wprowadzono do wnętrza namiotu. Na polowym łóżku siedział na pół ubrany starszy, szpakowaty 'mężczyzna o przyjemnej powierzchowności.

— Do diabła, czy to takie ważne, że aż musieliście mnie budzić? — kłął, zapinając mundur.

— Si, si, signore colonnello. Nieprzyjaciel dokonał napadu na polowy dom publiczny. Udało nam się go odbić i wziąć dowódcę do niewoli.

Pułkownik, nieco zdziwiony, przyglądał się Dolasowi poprawiającemu z zażenowaniem okulary. Ostatecznie miano zdobywcy domu publicznego nie przynosi zaszczytu. Ten mile wyglądający pułkownik Bóg wie, co może pomyśleć.

— What is your name and rank? — zapytał Włoch po angielsku.

— Nie jestem Anglikiem, jestem Polakiem — Dolas po raz wtóry tej nocy wyjaśniał swą narodowość. — Znam trochę włoski.

— Polak? To dziwne, hm — mruknął pułkownik. — No, czego tu jeszcze stoicie? — zawołał do żołnierzy. — Sam go przesłucham. Szybko wynosić się! — dodał widząc, że ociągają się.

Żołnierze, acz niechętnie, powoli opuścili namiot.

— Polak? To dziwne — powtórzył pułkownik.

— Tak, to bardzo dziwne — podchwycił Dolas. — Czyż my naprawdę mamy tyle spornych spraw, że musimy toczyć wojnę? I to gdzie? Chyba zupełnie zapomnieliśmy o wspólnych więzach kulturalnych, łączących nasze narody. Zresztą ta obecna wojna... Nieraz o tym myślałem. Niestety, to nie my zaczęliśmy. Były czasy Canaletta, Bacciarellego, Fontany, Marconiego, którzy przybyli do Polski i stali się Polakami. Razem z wami

walczyliśmy o naszą i waszą wolność, Dąbrowski, co szedł z ziemi włoskiej do polskiej. Garibaldi, Nullo. Aż nadeszła druga wojna światowa i oto stoi przed panem polski jeniec, kanonier Dolas. Z wykształcenia doktor historii sztuki.

— Doktor historii sztuki? — powtórzył pułkownik. — Mój ojciec był architektem, a matka malarką. Lekarzem zostałem raczej z przypadku, choć nie żałuję tego. Czy był pan przed wojną we Włoszech?

— Niestety, nie. Ale wybierałem się i w tym celu uczyłem się języka włoskiego. Jeżeli jednak to panu nie robi różnicy, wolałbym mówić po francusku.

— Bardzo proszę. Znam ten język tak samo jak włoski.

Dolas poczuł się dziwnie swojsko w towarzystwie tego starszego pana, który był prawdopodobnie tak samo żołnierzem z przypadku jak i on. Przysunął sobie taboret i zajął miejsce.

— Pan pułkownik pozwoli, że usiądę?

— Ależ naturalnie, bardzo przepraszam, że dotychczas nie poprosiłem o zajęcie miejsca. Może pozwoli pan lampkę wina?

Sięgnął po butelkę cinzano, nalał dwie lampki, stawiając jedną przed Dolasem.

— Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie?

— Słucham.

— Czym się kierował nasz godny przeciwnik, wasz dowódca armii, każąc dokonać napadu na tak „ważny” obiekt wojskowy, jak dom publiczny? Obiekt ten podlega mnie, jako szefowi służby sanitarnej, ale nigdy nie przypuszczałem, że może zainteresować kogoś z tamtej strony frontu.

— Przyznam się panu, iż stało się to przez pomyłkę. Wyznaczono mnie na dowódcę małego oddziału, a zaszczyt ten zawdzięczam niesłusznej sławie bohatera walk pustynnych. Jakiś czas, wskutek nieporozumienia, służyłem w Legii Cudzoziemskiej. Jeżeli mam być szczerzy, pełniłem tam funkcję kucharza kompanijnego i moje doświadczenie bojowe było równe zeru. Niestety, nie miałem odwagi do tego się przyznać i w rezultacie pomyliłem w nocy kurs, stając się zdobywcą polowego burdelu.

Pułkownik roześmiał się wesoło i serdecznie.

— Rzeczywiście to zabawna historia. Z drugiej strony, gdyby pan zdobył inny obiekt, to na pewno moi współkombatanci nie usiłowałiby go odbić. Jeżeli mam być szczerzy, od początku tej kompanii jest to pierwszy obiekt odbity przez bersalierów z rąk nieprzyjaciela. Nie przypuszczałem, że aż tak wysoko go cenią.

— Ale za to pan, jak widzę, nisko ceni swoich bersalierów.

— Proszę pana, Włoch bije się wtedy dobrze, gdy ma o co, A czy obecnie mamy o co się bić? Jakikolwiek przebieg będzie miała ta wojna zawsze ją przegramy. Im prędzej wezmą diabli tego błazna, tym lepiej.

Pułkownik był wyraźnie wzburzony. Nalał znów dwie lampki wina.

— Za pomyślność Polski.

— Dziękuję. Mówi pan dosyć otwarcie. Czy to bezpieczne?

— Chyba nie pobiegnie pan do milicji faszystowskiej z donosem. A co ma pan zamiar robić?

— Przecież jestem w niewoli.

— Chciałem coś panu zaproponować, tylko proszę mnie źle nie zrozumieć. Niech pan, zostanie moim ordynansem. Dolas parsknął śmiechem.

— Naprawdę nie chciałem paria dotknąć — tłumaczył się pułkownik — niech pan zrozumie...

— Ależ ja nie czuję się dotknięty! Tylko już raz wskutek pomyłki, byłem ordynansem pułkownika. Mam, jak pan widzi, odpowiedni staż. Potrafię dobrze wypucować buty, oczyścić mundur, a nawet coś ugotować.

— Ależ ja nie z tą myślą to proponowałem. Sądzę po prostu, że wygodniej będzie dla pana pełnić funkcje ordynansa niż przebywać w obozie jeńców.

— Ja też tak uważam i z wielką chęcią zostanę ordynansem pułkownika...

— Doktora Giuseppe Giovanni — przedstawił się Włoch.

Rozdział XI

w którym Dolas zamienia się w sanitariusza

Dolas otworzył bagażnik małego terenowego fiacika i włożył do środka dobytek pułkownika Giovanniego. Rzeczy nie było dużo: dwie podniszczone walizki i tekturowe pudełko z drobiazgami. Patrząc na Dolasa trudno było w tym wychudzonym, opalonym na brąz dryblasie poznać dawnego historyka sztuki, jedynie okulary w złotej oprawce przypominały nieco znajomą postać. Wątpliwe, czy poznałby go nawet jego serdeczny kompan z podchorążówki, Lanckoroński, gdyby niespodziewanie wyszedł z namiotu.

Naturalnie nie praca u doktora Giovanniego tak zmieniła Dolasa, to była niezbyt męcząca, lecz warunki bytowania na pustyni.

Afrykańskie słońce prażyło bez przerwy, cienia ani na lekarstwo, wodę dozowano w

homeopatycznych dawkach, co wprawdzie upraszczało codzienną toaletę, lecz za to pragnienie prześladowało od rana do wieczora.

Najgorsze jednak były pustynne wiatry, wiejące po parę dni, niosące chmury piaszczystego pyłu wciskającego się do namiotów, pod pościel, za bieliznę, do uszu, we włosy, do wyschniętego gardła. W namiotach w dzień było duszno, w nocy chłodno. W dodatku w namiocie ordynansów panowała ciasnota. Ordynansami włoskich oficerów byli brytyjscy jeńcy VIII armii, zastępujący w pełnieniu tych funkcji Włochów walczących za Benita. Czy Włosi byli z tego zadowoleni, nie wiadomo — jeńcy raczej tak. Z wyjątkiem Dolasa, który czuł się jak Murzyn przeniesiony na Północ, reszta dawno się już zaklimatyzowała. Większość ordynansów stanowili przedstawiciele zamorskich krajów brytyjskiego imperium — doświadczone w licznych kampaniach pustynne wygi.

O ucieczce nie mogło być mowy. Na północy ciągnął się brzeg Morza Śródziemnego, na południu, wschodzie i zachodzie — bezkresne obszary pustynne, urozmaicone jedynie słonymi taflami wyschniętych jezior.

Nieraz Dolas zastanawiał się, jak będzie wyglądał jego powrót do brygady. Na pewno podchorąży Rudnicki na widok Dolasa zawoła:

— Dolas, co wyście nawyrabiali? To wy macie być doświadczonym żołnierzem pustynnym? Umiecie tylko jedno: mylić kursy i zamiast radiostacji zdobywać polowe burdele. Dolas, wy jesteście bajzeltato.

Przezwise „bajzeltato” przylgnie do kanoniera Dolasa. Wejdzie do kantyny i ktoś zawoła „przyszedł bajzeltata!” Nie. Nie odczepi się od tego przezwiska już nigdy.

A moment wyzwolenia zbliżał się wielkimi krokami. Od paru miesięcy armie włosko-niemieckie ponosiły klęskę za klęską, wycofując się na zachód. Czołgi Montgomery'ego objeżdżały skrzydła wojsk Osi, zjawiając się niespodziewanie na tyłach, siejąc panikę i dezorganizując obronę, biorąc do niewoli bataliony i pułki. W ten sposób pułkownik Giovanni stracił prawie cały personel sanitarny.

Dolas zamknął bagażnik i usiadł obok czarnego jak Murzyn kierowcy. Rozgrzane obicie fotela parzyło go w plecy. Poprawił okulary i hełm tropikalny, w który zaopatrzył go pułkownik Giovanni.

— Nie wiesz, dokąd mamy jechać? — zapytał kierowca.

— Pułkownik mówił, że do Sfaksu.

— Tam to już ostatecznie chyba diabli wezmą ten cały burdel. Jak myślisz?

— Pewnie tak — mruknął jeniec wojenny Dolas.

Właściwie kanonier Dolas jeńcem był tylko z nazwy. Nikt go bowiem nie pilnował i

nikt się nim poza doktorem Giovannim nie interesował. Dawno już mógłby się zbuntować, przestać pucować buty i nosić z kasyna obiady. Jeżeli tego nie zrobił, to stało się to po części z wrodzonego Dolasowi poczucia obowiązku, a po części z sympatii dla starszego, miłego w obejściu Włocha.

Pułkownik wyszedł z namiotu. On też się zmienił w ciągu tych paru miesięcy. Przybyło mu siwych włosów i zmarszczek na twarzy. Stał przy samochodzie, nasłuchując niezbyt dalekiego dudnienia artylerii. Potem popatrzył na najbliższą wydnię, jakby w obawie, czy nie wyjdą zza niej pancerne wozy VIII Brytyjskiej Armii.

Zajął miejsce na tylnym siedzeniu, polecając Dolasowi usiąść obok siebie. Wyjechali na szosę. Pułkownik usiłował zbierać resztki rozpierchłych na wszystkie strony świata sanitariuszy i lekarzy.

Po godzinie kazał kierowcy zatrzymać się. Wyszli obaj z Dolasem na szosę. W prawo i lewo ciągnęły się skaliste pola, porośnięte ubogą kaktusową roślinnością.

Giovanni rozejrzał się wokoło, zatrzymując się przy skraju szosy. Robił wrażenie człowieka, który coś chce powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć.

— Zaproponowałem panu w swoim czasie objęcie u mnie stanowiska ordynansa. Chciałem w ten sposób ulżyć panu. Teraz jednak nie widzę sensu, aby pan dalej przebywał we włoskiej niewoli, skoro połowa armii włoskiej znajduje się w niewoli angielskiej.

Znów się nad czymś zastanowił.

— Pan jest chyba ostatnim jeńcem alianckim — ciągnął po chwilowej przerwie — chyba nie zależy panu na tym, aby z honorami, jako jedyne go jeńca z tej kampanii, odesłano go do Włoch?

— Raczej nie.

— No, więc niech pan zaczeka w tych zaroślach na brytyjskie czołgi. Powinny tu być dziś wieczorem, najpóźniej jutro rano.

Dolas nie zdążył odpowiedzieć, gdyż nad szosą ukazały się angielskie samoloty.

Leciały lotem koszącym, prażąc z broni pokładowej po resztkach maszerującej piechoty, po samochodach ciężarowych przetasowanych z pojedynczymi działami. Ryk silników mieszał się z ujadaniem karabinów i szczekaniem działek. Wszystko, co żyto i mogło się poruszać — rozbiegło się w prawo i lewo. Nikt z ziemi nie strzelał. Zresztą chyba nie było z czego. Pułkownik odskoczył od samochodu i po-biegł w pole, a Dolas szybko wlaź pod samochód. Usłyszał przejmujący ryk silników, suche trzaski i jak gdyby uderzenia niezliczonych kamieni o nawierzchnię szosy. Samoloty angielskie zniknęły na widnokręgu. Dolas wyczołgał się spod pojazdu. Na piasku leżał wystraszony, ale zdrow i cały szofer, a

obok niego jęczący pułkownik. Miał przestrzelone obie nogi — lewą łydkę pociskiem karabinowym, a prawe udo pociskiem z działka. Wnieśli go z szoferem do samochodu.

— Niech pan ucieka — jęczał ranny — proszę mnie zostawić. Dam sobie radę. Dolas wiedział, że jeżeli zostawi pułkownika z szoferem, to ten za parę minut ucieknie. Na to bowiem tylko czekał. A wtedy pułkownik nigdy nie ujrzy rodzimej Florencji.

— Nie, nie zostawię pana samego. Odwiozę do najbliższego szpitala. A czy wrócę do swoich dzień później czy wcześniej — to nie zadecyduje o losach wojny.

— Ruszaj! — zawołał do kierowcy.

Szofer niechętnie, rozglądając się po niebie, zapuścił silnik i włączył sprzęgło. Przepychając się pomiędzy rozbitymi kolumnami i objeżdżając leje po bombach, dobrnęli do niedużej arabskiej mieściny. Przedstawiała ona żałosny widok. Prawie połowa glinianych budynczków zamieniła się w gruzy. Uliczki zapełniał bezładny tłum żołnierzy. Niemieccy żandarmi usiłowali zaprowadzić jakiś porządek. Szofer na próżno rozpytywał się o szpital polowy. Nikt o takim nie słyszał. Dojechali do portu. Przedstawiał się on rozpaczliwie. Właśnie niedawno zakończył się nalot lankasterów. Z wody wystawały kominy i resztki masztów. W poprzek głównego wejścia leżał wrak włoskiego niszczyciela. Po nadbrzeżach pętali się żołnierze oczekujący chyba cudu, gdyż w sposób ziemski z portu wydostać się nie było można.

Na uliczce wiodącej do portu Dolas spotkał jednego z lekarzy ze szpitala pułkownika Giovanniego. Dowiedział się, że nie ma tu czego szukać. Lekarz podróżował w sanitarce, miał przy sobie trochę narzędzi i środków opatrunkowych. Podjął się wykonać prowizoryczny opatrunek. Wyjechali za obręb portu, zatrzymując się przed meczetem. Wynieśli rannego i ustawili nosze w podcieniu dziedzińca świątyni. Lekarz grzebał w ranach. Pułkownik cicho jęczał, wypytując o stan swoich nóg, a Dolas rozglądał się ciekawie. W meczecie i na dziedzińcu panowała cisza i pustka. Z glinianych, wypalonych afrykańskim słońcem murów dobiegały krzyki ogarniętych paniką żołnierzy, klaksony i warkot silników samochodowych. W podcieniu było jakby nieco chłodniej. Pośrodku dziedzińca stała nieczynna fontanna. Wieżyczka minaretu była uszkodzona artyleryjskim pociskiem. Dolas chciał wejść do środka świątyni, ale w drzwiach zastąpił mu drogę wysoki Arab. Coś tłumaczył i prosił. Zrozumiał, że nie chce, aby wchodził do wnętrza. Cofnął się na dziedziniec. Ostre promienie słoneczne oświetlały mury i dachy, podkreślając głębokimi cieniami bogactwo fragmentów architektonicznych. Lekarz już kończył opatrunek.

— Z łydką wszystko w porządku — skonstatował odciągawszy na bok Dolasa. — Gorzej natomiast z udem. Rana jest zanieczyszczona, w razie komplikacji grozi amputacja lub

zakażenie ogólne.

Postanowili przewieźć pułkownika sanitarką do Tunisu. Może tam będzie szpital z prawdziwego zdarzenia. Na miejsce dobrnęli po parogodzinnej jeździe zapchaną szosą, którą szły beładne, pomieszane oddziały. Jedni ciągnęli do Tunisu uważając, że tam uda im się załadować na jakiś statek i przepłynąć do Włoch, inni uważali to za niepotrzebne ryzyko i pędzili przed siebie, w głąb pustyni, aby tam czekać na przesunięcie się frontu.

W Tunisie był tylko szpital niemiecki. Pułkownik ani słuchać nie chciał o korzystaniu z niemieckiej opieki.

— Wolę umrzeć — upierał się.

Pojechali do portu. Z daleka zobaczyli biały włoski statek sanitarny. Jeżeli Giovanni się nań dostanie — będzie uratowany.

W sanitarce obok noszy wisiał biały lekarski kitel. Dolas niewiele myśląc założył go na siebie i niosąc nosze wraz z szoferem skierowali się w stronę statku. Drogę zastąpił im niemiecki patrol żandarmerii polowej.

— Ausweissen bitte!

— Ausweissen! - ryknął Dolas. — Wir tragen unseren schwer verwundeten Oberst. Sind Sie blind?

— Verzeihen Sie! — usprawiedliwiał się żandarm. — Nie wiedziałem.

Minęli patrol i doszli do statku. Przez specjalne szerokie drzwi w burcie wnoszono rannych. Dolas obawiał się, że będzie tu miał kłopoty, ale oficer stojący na nadbrzeżu, rzuciwszy okiem na rannego, zawołał:

— Ależ to profesor Giovanni! Co mu jest?

— Ranny w obie nogi.

— Zanieście go na trzeci oddział. Piąty pokład.

Znaleźli się we wnętrzu statku. Panował tu ruch i zamieszanie nie przypominające pływającego szpitala. Klucząc po różnych korytarzach, dobrnęli do windy i znaleźli się na piątym pokładzie.

— Postawcie mnie na korytarzu — odezwał się Giovanni — dam już sobie radę. Postawili nosze.

— Biegnij do sanitarki — rozkazał szoferowi Dolas. — Ja zaraz zejść.

Szofer znikł jak kamfora. Pułkownik miał gorączkę. Oczy mu błyszczały.

— Dziękuję — szepnął — bardzo dziękuję. Nigdy panu tego nie zapomnę. Gdyby nie pan, zostałbym na pustyni. Niech się pan spieszy.

Rozległ się gwizd syreny.

— I niech pan o mnie nie zapomni po wojnie. Niech pan koniecznie odwiedzi nas we Florencji. Wszyscy mnie tam znają.

— Dziękuję. Będę pamiętał.

Uściskał dłoń rannego. Giovanni był dla niego przyjacielem, a nie wrogiem. Jeszcze raz rzucił na niego okiem i skierował się do wyjścia. Zszedł na dół, ale drzwi w burcie były już zamknięte. Postanowił pójść na górny pokład i trapek wy-dostać się na brzeg. Zastał tam włoskiego oficera. Marynarze zabierali się do zdejmowania trapek.

— A wy dokąd? — zawołał oficer, widząc Dolasa usiłującego dostać się na trap. Dolas chciał wyjaśnić, ale oficer wrzasnął:

— Sanitariusz ucieka ze statku! Boisz się podróży, ty tchórze. Bardziej ci odpowiada brytyjska niewola. Marsz do pracy — dodał, widząc że Dolas chce coś wyjaśnić.

Nasz wojak nie zrezygnował jednak z ucieczki. Błąkał się po korytarzach, próbując zejść na dolny pokład, aby stamtąd zeskoczyć na nadbrzeże. Stale jednak spotykał swego prześladowcę. Był na każdym pokładzie, przy każdym trapek, Mnożył się w sposób iście cudowny.

— Jeszcze raz cię zobaczę — wrzasnął — to kulę w łeb wpakuję. „Że też ja akurat, i to na pokładzie statku sanitarnego, musiałem spotkać tak bojowego Włocha" — rozmyślał Dolas.

Udał się na najwyższy pokład. Holownik odciągnął, już statek od brzegu na odległość kilkudziesięciu metrów. Musiał pogodzić się z losem: płynął do Włoch. „Santa Sofia", taką bowiem nazwę nosił włoski statek szpitalny, przy pomocy holownika powoli opuszczała tunezyjski port. Na nadbrzeżach stały niezliczone dумы żołnierzy włoskich z rozbitych oddziałów. Pomiędzy nimi kręcili się Niemcy, Parę włoskich transportowców było dosłownie oblężonych przez żołnierzy. Na wysuniętym w morze molu stała niemiecka bateria przeciwlotnicza. Redę patrolowały dwa dozorcówce. Holownik pożegnał „Świętą Zofię" i zawrócił do portu, Biały statek sanitarny pełną mocą swych maszyn ruszył na północ. Zapadał zmrok. Dolas postanowił wybrać się na poszukiwanie doktora Giovanniego. Znalazł korytarz, na którym zostawił nosze z rannym pułkownikiem, ale już go tam nie było. Zabiegany i przemęczony personel sanitarny nie umiał dać żadnej odpowiedzi. Dolas wrócił na górny pokład. Statek z zapalonymi światłami przemierzał wody Morza Śródziemnego. Znużenie ogarnęło naszego bohatera. Znalazł na pokładzie leżak; rozłożył go i wyciągnął się na nim wygodnie. Zastanawiał się, gdzie go rzucą wojenne losy. Stoppedowania nie obawiał się. Ostatecznie alianci na pewno uszanują statek sanitarny, wyraźnie oznaczony znakami Czerwonego Krzyża. Ale co będzie robił we Włoszech? Wcześniej czy później wyda się, że

jest jeńcem wojennym, i pójdzie do obozu. Wcale mu się to nie uśmiechało. „Koniecznie muszę znaleźć Giovanniego, może wyratuje mnie z opresji” — z tą myślą zasnął.

Obudziło go silne szarpnięcie. Zerwał się z leżaka. W pierwszej chwili nie mógł zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje. Gdy przypomniał sobie o wczorajszych perypetiach, rzucił się w stronę burty. „«Santa Sofia» tonie, ratuj się” — pomyślał.

Poczuł jednak, że ktoś go trzyma za ramię.

— Który oddział? — dopytywał natręt.

— Trzeci — powiedział Dolas, aby się odczepić.

— Trzeci. Najbardziej zawałony pracą. A pan sanitariusz w najlepsze wysypia się na pokładzie! Czy to statek sanitarny, czy wycieczkowy, do stu diabłów! Marsz do pracy. Czego się jeszcze gapisz? Gdzie? Gdzie? Nie wiesz, gdzie się znajduje trzeci oddział? Tu.

Wepchnął Dolasa na długi korytarz. Podłoga była zastawiona noszami z rannymi, między którymi przesuwali się lekarze i sanitariusze. Opiekun Dolasa doprowadził go do jakichś drzwi.

— No, do pracy i nie leń się, skoro masz szczęście służyć na sanitarnym statku zamiast nadstawiać łeb na froncie.

Pomieszczenie, w którym znalazł się Dolas, było prawdopodobnie salą opatrunkową. Na trzech stołach leżeli ranni. Pochyleni nad nimi lekarze dokonywali zabiegów. Panowała tu ciężka atmosfera, przesycona wonią eteru i krwi. Doktor historii sztuki nie znosił widoku krwi, nie mógł patrzeć nawet na mordowane przez Rozalię kury. A tu wokoło krew i rany. Lekarze w okrwawionych fartuchach przypominali raczej rzeźników niż chirurgów. Dolasowi zrobiło się niedobrze. Ktoś go popchnął w stronę jednego ze stołów.

— Kocher i gazę — rozkazał lekarz. — Na co czekasz? Nie widzisz, jak rana krwawi?

Na metalowym stoliku leżał stos, błyszczących narzędzi. Wybrał jedno z nich, które mogło być kocherem, starając się nie patrzeć na krwawiącą ranę.

— Ty świni! — usłyszał głos chirurga. — Ty brudasie! Jak śmiesz takimi łapami podawać narzędzia? Szefie! Kogo daliście mi do pomocy? Ta świnią gnój chyba przebierała.

Osobnik zatytułowany „szefem” wyciągnął Dolasa na korytarz.

— Ty brudasie skończony. Jak możesz z takimi rękami pokazywać się w sali opatrunkowej. I to się nazywa dyplomowany sanitariusz! — wściekał się, wskazując na obszywki kitla, który Dolas przypadkowo na siebie włożył.

Nie mógł wyjaśnić, kim jest, gdyż groziło mu to zamknięciem w obozie po przybyciu do Włoch. Stał więc wyprostowany, słuchając pokornie wymysłów nie znanego mu bliżej szefa.

— Skądże się tu wziął, człowieku? Pewnie z frontu?

— Tak — odpowiedział Dolas, bo wreszcie coś powiedzieć musiał.

— Od razu się domyśliłem. Takich brudasów na „Santa Sofia” nie ma i nigdy nie było. A wy tam, na froncie, to w ogóle nie uważacie na higienę. Byle tylko uciekać. Dość tego. Marsz do roboty! Zostaniesz salowym, jeżeli do innej pracy się nie nadajesz.

„Santa Sofia”, największy statek sanitarny włoskiej floty, podążała w kierunku wybrzeży Półwyspu Apenińskiego, a na jego pokładzie Dolas sprzątał sale, po-dawał kaczki, wynosił baseny i szorował ubikacje. Pułkownik Giovanni zniknął jak kamfora. Na próżno Dolas szukał go we wszystkich salach. Parę razy nad statkiem pokreśliły się angielskie samoloty, ale zauważywszy znaki Czerwonego Krzyża — odlatywały. Po czterech dniach podróży przyplłynęli do Neapolu. Mieli tu wylądować rannych i powrócić do Tunisu. Gdy statek wchodził na redę, niebo zaroiło się, od czterosilnikowych bombowców amerykańskich. Zaczęło się bombardowanie portu. Potężne wybuchy bomb wyrzucały w górę masy wody. Dymy zasłoniły widok na Wezuwiusz.

Kapitan zdecydował zawrócić na pełne morze. Zostawili za rufą dymy eksplozji. Artyleria włoska bezskutecznie usiłowała zestrzelić lecące na dużej wysokości bombowce.

Dolas z górnego pokładu obserwował osnutą dymami zatokę. Jakże inaczej wyobrażał sobie wizytę w Neapolu! W duchu pochwalał decyzję kapitana. - Mało brakowało, a spełniłoby się przysłowie: „Zobaczyć Neapol i umrzeć”. Westchnąwszy głęboko zabrał się do przerwanych obowiązków. Idąc przez korytarz z basenem wypełnionym po brzegi, usłyszał niespodziewanie okrzyk: — Doktorze Dolas, co pan tu robi?

Zdziwiony, gdyż dawno go tak nikt nie tytułował, odwrócił się i spostrzegł na fotelu pułkownika Giovanniego.

— Pełnię, panie doktorze, funkcję salowego. A poza tym szukam pana, aby dzięki pańskim znajomościom uzyskać zwolnienie z tej pracy, z powodu braku kwalifikacji.

— To się zaraz załatwi. Sądziłem, iż pan od dawna przebywa w swojej brygadzie. Naturalnie w aureoli zwycięzcy.

— Z aureolą to trochę gorzej — odpowiedział Dolas — stawiając na podłodze basen — spotkałem na „Santa Sofia” wyjątkowo bojowego oficera, który sprzeciwił Nie memu powrotowi na afrykański ląd i zagnał do pracy. A jak się pan czuje, drogi doktorze?

Dowiedział się, że rany pułkownika goją się dobrze i nie zaszły żadne komplikacje. Nie stało to jednak na przeszkodzie powierzeniu jeszcze tego samego popołudnia Dolasowi funkcji osobistego sanitariusza profesora Giovanniego. Jednocześnie wyjaśniła się przyczyna tajemniczego zniknięcia pułkownika. Z powodu przepełnienia statku profesora Giovanniego

ułożono w kabinie naczelnego lekarza. Dolas dowiedział się, iż doktor jest znanym i cenionym we Włoszech chirurgiem i uczonym. Trochę tego splendoru spłynęło na osobistego sanitariusza, który zaczął pędzić na „Santa Sofia” błogi żywot. Miła sjesta nie trwała jednak długo. Po 48 godzinach statek bez przygód zawinął do portu w Livorno. Rozpoczęto wyładunek rannych. Pułkownik nie chciał słuchać o skierowaniu do szpitala.

— Rany mi się zabiły — dowodził — nie widzę powodu, abym miał zajmować miejsce potrzebne innym. Dajcie mi sanitarkę i odeślijcie do Florencji. Sam wykuruję się w domu.

Po południu z Livorno wyjechał samochód sanitarny. Przy szoferze siedział kanonier Dolas, ciekawie rozglądając się po okolicy, a na noszach leżał profesor Giovanni. U wezłowania stało małe tekturowe pudło, wewnątrz znajdował się ręcznik, kawałek mydła i szczotka do zębów. To był cały majątek eks-szefa sanitarnego włoskiej armii, ocalony z afrykańskiej wyprawy. Z wyprawy, której celem był podbój środkowego Wschodu i zdobycie przez Niemców i Włochów panowania nad muzułmańskim światem.

Tego samego dnia komunikaty wojenne obu stron podały wiadomość o kapitulacji w Afryce ostatnich oddziałów wojskowych państw Osi.

Rozdział XII

w którym Dolas poznaje Florencję

Wrześniowe słońce odbijało się w niebieskich nurtach rzeki Arno. Od soczystego błękitu nieba odcinały się białą wysokie florenckie dzwonnice. Doktor historii sztuki Dolas, wyszedłszy z pałacu Pittich, usiadł na ławce po drugiej stronie placu, przyglądając się budowli. Surowe proste ściany, wykonane z łamanego kamienia, upodabniały gmach do koszar lub starego fortu. Właściwie nie było w nim nic pięknego poza idealną proporcją bryły i regularnym układem okien. Mimo woli przychodziło Dolasowi na myśl, że surowy, chłodny wygląd pałacu chroni skarby jego wnętrza przed niepożądanym intruzem lub kohortami najeźdźców, od wieków przemierzających Toskanię.

Elegancki mężczyzna w szarym letnim garniturze w niczym nie przypominał obdartusa opuszczającego parę miesięcy temu pokład sanitarnego statku w Livorno.

Przybywszy do willi profesora, rozglądał się w poszukiwaniu pokoju służbowego lub miejsca w kuchni. Szybko został wyśmiany.

— Niech pan raz na zawsze zapomni, że był moim ordynansem i jeńcem. Pan jest moim

gościem.

Zamieszkał w dawnej pracowni ojca doktora Giovanniego, w pracowni architekta, pełnej obrazów, sztychów, książek. Profesor robił wszystko co mógł, aby przybysz znad Wisły dobrze poznał historię Florencji, jej zabytki i ludzi. Dzięki znajomościom profesora, Dolas nawiązał odpowiednie kontakty i za parę dni miał rozpocząć pracę w jednym z naukowych instytutów.

Istniały wszelkie podstawy, by sądzić, że resztę dni wojennej zawieruchy spędzi w mieście Brunelleschiego, Donatella, Michała Anioła. Że co wieczór będzie mógł zajmować miejsce na kamieniu, na którym podobno siadywał Dante, i jak on będzie podziwiać katedrę Santa Maria del Fiore, dzieło genialnego architekta Giotto. Na razie wstał z ławki i ruszył w stronę rzeki. O trzeciej umówił się z profesorem na uniwersytecie.

„Tak — rozmyślał — ostatnie wypadki polityczne wskazują, że Włochy niedługo wycofają się z wojennej awantury. Wtedy spokojnie będę mógł zapomnieć o wojnie”.

Doszedł do rzeki. Mostem Vecchio przespacerował się na drugą stronę. Zagłębił się w podcieniu pałacu Uffizi. Jezdnia była pusta. W cieniu, chroniąc się przed słońcem, spacerowało kilka młodych par. Wąski dziedziniec, obramowany kolumnadą podcieni, zamykała sylweta pałacu, ze strzelającą w oliwkowe niebo smukłą wieżą. Dolas zatrzymał się obok ulicznego sprzedawcy lodów. Kupił dużą porcję, miały nieszczęśliwy smak, ale gasiły pragnienie. Od czasu afrykańskiej kampanii Dolas stale odczuwał pragnienie.

Jedząc lody doszedł do placu. Środkiem przejechał czarny mercedes z niemieckimi znakami. Tego widoku Dolas nie lubił. Przeciął na ukos plac. Tu po obydwu stronach ulicy stały dziewiętnastowieczne czynszowe kamienice. Z epoki renesansu przeniósł się do współczesności. Po jezdni sunęły samochody, a wystawy sklepowe, choć niezbyt bogate, nęciły przechodniów. Dolas zatrzymał się przed witryną księgarską, przyglądając się tytułom. Nic nowego nie zobaczył. Spojrzał na zegarek, dochodziła trzecia. Przyspieszył kroku. Mali, umorusani gazeciarze wykrzykiwali nazwy gazet. Przechodnie przystawali na chodnikach, komentując z ożywieniem wiadomości.

„Pewnie znów podwyżka cen lub ograniczenie przydziałów” — pomyślał Dolas.

Na placu Świętego Marka panował ożywiony ruch. Dolas wszedł bocznym wejściem do gmachu uniwersytetu. Profesora Giovanniego i znajomych zastał w gabinecie.

— No i co pan o tym powie, drogi doktorze? — powitał go Giovanni.

— O czym?

— Nasz drogi gość, jak zawsze, żyje na innym świecie — uśmiechnął się Giovanni. —

Skapitulował rząd Badoglio.

— Świetnie! To koniec wojny!

— Nie dla wszystkich. Alianci są dopiero na południu Półwyspu. A tu rządzą się jak szare gęsi nasi sąsiedzi zza Alp.

Tak było. Od dłuższego już czasu pojawiało się we Florencji i okolicy coraz więcej niemieckich wojsk. Zachowanie Niemców było butne i aroganckie. Zupełnie nie przypominało zachowania sojuszników.

— Tak! To niewesoło... — westchnął Dolas.

W tym momencie wbiegł do gabinetu jeden z asystentów.

— Przyjechali Niemcy, pytają o pana profesora! — zawołał od progu. Za jego plecami ukazały się niemieckie mundury i osobnik w cywilnym ubraniu.

— Który z panów jest profesorem Giovannim?

Cywil przetłumaczył pytanie na włoski. Profesor uniósł się z fotela. Nie-mieć zmierzył go od stóp do głów.

— Bitte Ausweissen — zwrócił się do pozostałych.

Po kolei pokazywali dokumenty. Dolas posiadał pisemko wyrobione przez profesora w komendzie policji, stwierdzające, że jest pracownikiem wojskowej administracji. Z tym świstkiem chodził po mieście i okolicy. Podał go teraz Niemcowi.

— Panowie pozwolą do komendy — zdecydował Niemiec, zabierając z sobą Giovanniego i Dolasa.

Przed gmachem uniwersytetu stał czarny mercedes. Zajęli miejsca. Krętymi, bocznymi uliczkami wjechali w aleję Giacomo Matteottiego. Samochód zwiększył szybkość. Pędzili szeroką aleją, mijając inne pojazdy, ustępujące na boki. Zatrzymali się przed niemiecką komendą. Na maszcie powiewała flaga wojenna Trzeciej Rzeszy. Wartownik w hełmie stuknął kopytami, sprezentował broń i wpuścił ich do środka. Udali się na drugie piętro.

Giovanni zniknął za drzwiami, a Dolasa wprowadzono po chwili do niedużego gabinetu. Za biurkiem siedział niemiecki major.

— Name? — zapytał Niemiec. — Pan major pyta...

— Dziękuję, rozumiem po niemiecku.

— Ach so! — dał znak tłumaczowi, że może odejść. — A skąd pan zna niemiecki?

— Urodziłem się w Katowicach. Byłem ponadto parokrotnie w Niemczech.

— Ach so! — zdziwił się Niemiec po raz wtóry. — A więc jest pan Ślązakiem? — zapytał z naciskiem.

Dolas urodził się na Śląsku, tak samo jak jego ojciec i dziad, nie widział więc powodu, aby odpowiedzieć negatywnie.

— Tak! Jestem Ślązakiem.

Niemiec pisał coś w zeszytcie. Przerwał na chwilę i bacznie przyglądał się swemu vis à vis.

— A jakim sposobem znalazł się pan we włoskiej armii?

Dolas nie mógł powiedzieć prawdy, gdyż znając pedantyczność Niemców nie wątpił, iż wyszukają jego „dossier” i powędruje do więzienia za swoje „przestępstwa” z 1941 roku. Coś jednak musiał powiedzieć, wymyślił więc na poczekaniu taką oto historyjkę:

— W ścisłym słowa znaczeniu służby w armii włoskiej nie pełniłem, jestem z zawodu historykiem sztuki. Gdy wybuchła wojna, przebywałem we Włoszech. Po pewnym czasie zaproponowano mi pracę w administracji. Zgodziłem się i zostałem tłumaczem w szpitalu pułkownika Giovanniego. Jakiś czas byłem w Afryce, a po powrocie z Afryki we Florencji.

— A więc praca pana była dobrowolna? Powiedzmy, ochotnicza?

— Tak. I we Florencji zastało mnie zawieszenie broni.

— Wskutek haniebnej kapitulacji Badoglio — wtrącił Niemiec — nastąpiła zasadnicza zmiana stosunków pomiędzy Rzeszą a Włochami. Chyba pan to rozumie?

— Naturalnie.

— Jako człowiek inteligentny zdaje pan sobie sprawę, że obecnie inaczej musimy traktować naszych byłych sojuszników. Zresztą o tym sojuszniku dużo można by powiedzieć. Wskutek pęknięcia frontu włoskiego pod Stalingradem doszło do klęski. To samo stało, się w bitwie pod El Alamain. Chyba to jasne dla pana?

Dolas zdziwił się, dlaczego ten Niemiec o tym mówi. Ostatecznie to wszystko można było przeczytać w gazecie. Nie miał jednak zamiaru polemizować i przytaknął.

— No, tak — stwierdził Niemiec — spodziewałem się tej godnej odpowiedzi. Postawił na zaświadczenie Dolasa wielką pieczęć, coś napisał i wręczając ją właścicielowi dodał:

— Niech pan wraca do domu. Za parę dni poproszę pana na dalszą rozmowę.

Dolas podziękował, dodając w duchu, iż wolałby, aby nie doszło do następnego spotkania. Opuścił komendę i powoli wracał do willi profesora. Był przygnębiony wszystkim, co się stało. Dolce far niente we Florencji kończył się w sposób zgoła nieprzewidziany. Nie wiedząc kiedy, znalazł się na placu Świętego Krzyża. Brzydko przerobiona w XIX wieku fasada kościoła Św. Krzyża zawsze go denerwowała. Nie pasowała, do finezyjnej architektury florenckiej. Tak jak nie pasowali do tego miejsca butni Prusacy rozjeżdżający samochodami, fotografujący się na tle kościołów, pałaców i pomników.

Przyspieszywszy kroku skręcił w stronę bulwaru i przeszedł na drugi brzeg rzeki. W mieszkaniu zastał liczne grono znajomych Giovanniego, pocieszali zapłakaną profesorową.

Dolas opowiedział o swoich perypetiach w komendzie. Dopytywano się o profesora. Niestety, nie mógł udzielić o nim żadnych konkretnych informacji.

Powody aresztowania Giovanmego były oczywiste: zbyt jawnie wypowiadał się przeciwko Niemcom. Niektórzy przypuszczali jednak, że skończy się na areszcie domowym.

— Nazwisko profesora jest znane w całej Europie. Niemcy nie mogą sobie za dużo pozwolić w stosunku do niego.

Dolas miał jednak inne mniemanie o hitlerowcach, dobrze wiedział, że z nikim i niczym się nie liczą. Po dwóch dniach zajeżdżał przed willę znany mu mercedes. Major zapraszał go na następną „rozmowę”. Z ciężkim sercem zajmował Dolas miejsce w samochodzie. Zdawał sobie sprawę, że równie dobrze może po tej wizycie wrócić do willi profesora, jak i otrzymać skierowanie do obozu koncentracyjnego.

— Gut morgen, lieber Doktor! — przywitał go wylewnie znajomy major. — Postanowiliśmy wysłać pana do ośrodka kondycyjno-wypoczynkowego pod Berlinem. A potem, gdy nabierze pan sił i zapału skieruje się pana na miejsce godne Ślązaka.

Dolas zastanawiał się, czym jest w istocie ów ośrodek kondycyjno-wypoczynkowy i gdzie jest miejsce godne prawdziwego Ślązaka. Głośno jednak zadał pytanie:

— Kiedy mam jechać?

— Zaraz. Poleci pan samolotem. Za godzinę startuje do Berlina samolot transportowy. Zamówiłem dla pana miejsce.

Dolas przestraszył się nie na żarty.

— Samolotem? Ależ ja nie wiem, Jak zniosę podróż. Te różne dziury powietrzne...

— Herr Doktor! Cóż pan wygaduje? Na pewno podróż odbędzie się pomyślnie. Na lotnisko odwiezie pana Herr Leutnant — wskazał na tkwiącego przy drzwiach porucznika. — Żegnam. Może się jeszcze zobaczymy.

Tym samym mercedesem wyjechali za miasto, w stronę lotniska. Po dwudziestu minutach minęli bramę. Na polu startowym i koło hangarów stało parę meserszmitów i około dwudziestu samolotów transportowych Ju-52 z czarnymi krzyżami na płatach i kadłubach. Podjechali do samolotu odlatującego do Berlina. Oficer oddał Dolasa pod opiekę pilota, który nieufnie popatrzył na pasażera. Samochód odjechał w stronę miasta. Dolas założył kombinezon ze spadochronem i zajął miejsce na metalowej ławeczce.

— W razie czego pociągnie pan za tę czerwoną rączkę przy drzwiach, a gdy się otworzą, wyskoczy pan, policzy 121, 122, 123 i pociągnie za ten uchwyt przy spadochronie. Jasne?

— Jasne — odpowiedział, choć nie miał pojęcia, co ma znaczyć „w razie czego”.

Drzwi się zamknęły, a pilot zabrał się do zapuszczania silników. Zaskoczył jeden, potem drugi i trzeci. Nierówny ich rytm wstrząsnął całym kadłubem.

„Dlaczego nie lecimy? Na co oni czekają?” — rozmyślał Dolas.

Po paru minutach jeden z silników zaczął ryczeć, jakby chciał urwać się ze skrzydła. Błaznany kadłub wibrował. Dolas czuł się jak w klatce. W końcu silnik zamilkł, zaczął koncertować następny i ta sama historia powtórzyła się z trzecim.

„Chyba silniki są popsute, skoro tak się z nimi bawią”.

Nagle zobaczył, że jeden z mechaników na ziemi daje znak chorągiewką i samolot powoli zaczął się toczyć po ziemi. Podskakując na nierównościach, dokołowali na skraj lotniska. Teraz zaryczały wszystkie trzy silniki, samolot pędził po murawie. Nabierał coraz większej szybkości, aż nagle nasz pasażer zorientował się, iż są już w powietrzu. Miał uczucie, że ziemia ucieka w dół. Przelatywali nad miastem. Pod samolotem przesunęła się błyszcząca taśma rzeki Arno, strzelające w niebo wieże kościołów i pałaców, bloki domów, zielone plamy ogrodów i boisk. Stopniowo wszystko to zniknęło. Samolot nabierał wysokości. Ziemia stawała się coraz bardziej podobna do mapy. Płynęli w cichym i spokojnym powietrzu.

Po godzinie z prawej strony ukazało się wybrzeże Adriatyku. Postrzępiona linia oddzielała błękitne wody od szarego lądu. Przelecieli nad Wenecją. Kanały, laguny i sieć uliczek tworzyły jedyny w swoim rodzaju widok. Minęli żyzną dolinę rzeki i samolot zaczął się znów piąć w górę, bo na północy piętrzył się już wysoki, groźny masyw Alp. Lecieli tuż nad ośnieżonymi szczytami, nieomal muskając je skrzydłami. Gdy szczyty zostawały w tyle, otwierały się głębokie doliny i przełęcz z biegnącymi w dole liniami kolejowymi, szosami i przytulonymi do zboczy osiedlami. Po chwili znów skały strzelały w górę, prawie że zaczepiając o podwozie samolotu. Dolecieli nad terytorium III Rzeszy. Słoneczna pogoda zaczęła się psuć. Czyste dotąd niebo zaciągnęło się chmurami, coraz częściej maszyna zapadała się w szarobiałą watę, aż wreszcie została całkowicie przez nią wessana.

W kabinie zrobiło się ciemno, wilgotno i nieprzyjemnie. Dolas miał wrażenie, że samolot tkwi nieruchomo w mlecznej otulinie. Jedynie jednostajnie i równo pracujące silniki świadczyły, że coś się dzieje w tej masie żelaza, zawieszzonej parę tysięcy metrów nad ziemią. Lecieli już ponad dwie godziny. Dolas rozglądał się bezmyślnie po kabinie. Przyglądał się drzemiącym pasażerom i silnikowi w prawym skrzydle. Zauważył, że od pewnego czasu silnik przerywa swój równomierny rytm, przestaje działać lub obroty jego wzmagają się gwałtownie. Po chwili spod osłony silnika wypłynęła smuga czarnego smaru i ukazał się dym.

„Czyżby pilot tego nie widział” — zaniepokoił się Dolas.

Pilot spostrzegł, że z prawym silnikiem jest coś nie w porządku. Nie było jednak żadnej tragedii. Mieli wysokość ponad 3000 m, minęli już górskie tereny, zbliżali się nad obszar Brandenburgii. Dwa pozostałe silniki pracowały bez zarzutu. Pilot kazał mechanikowi pokładowemu dać pełny gaz, włączył poprawkę, zmniejszył obroty. Silnik nieco się uspokoił. Po chwili jednak zaczął wyrzucać olej. Nie było wątpliwości, iż pękł przewód olejowy.

„Przejdę do kabiny pasażerskiej i zobaczę, jak to stamtąd wygląda” — zdecydował mechanik.

Otworzył drzwi z mocno zatroskaną miną.

„Ani chybi nastąpiło to «w razie czego»” — pomyślał Dolas.

Rzucił jeszcze raz okiem na silnik. Zdawało mu się, że spod osłony wydobywa się gęsty dym i płomienie. Zerwał się z ławeczki, podbiegł do drzwi i pociągnął za czerwoną rączkę. Drzwi rozsunęły się. Pęd zimnego wilgotnego powietrza wdarł się do kabiny. Dolas skoczył bez namysłu w rozpościerający się przed nim biało-szary całun.

— Halt! Halt! — wrzasnął mechanik widząc, że pasażerowie w panice zrywają się z ławeczek. — Zająć miejsca. Nic się nie stało poza tym, że wyskoczył jeden idiota!

Udało mu się zapanować nad sytuacją i zamknąć drzwi. Po chwili wrócił do kabiny załogi.

— Co tam się stało? — zapytał pilot.

— Wyskoczył ze spadochronem jeden idiota. — Który?

— Ten z Abwehry we Florencji.

— Donnerwetter! — zaklął pilot.

Czuł wstręt do gestapo, policji, Abwehry, SD oraz innych instytucji, zajmujących się „bezpieczeństwem” obywateli III Rzeszy. Animoszja ta wywodziła się jeszcze sprzed wojny, gdy jako pilot Luftwaffe przymusowo lądował pod Hamburgiem, mając na pokładzie wyższego oficera gestapo. Nic się nikomu nie stało, ale jego przez parę miesięcy włączono po różnych urzędach, podejrzewając o sabotaż.

— Przez tego kretyna będziemy mieli masę nieprzyjemności. Natychmiast zawiadomić o tym Berlin. Weź namiar i określ położenie samolotu — nakazał radiotelegraficznie.

Spodziewał się, że Abwehra natychmiast uruchomi cały aparat w celu odnalezienia Dolasa, uważał go bowiem za pracownika tej instytucji.

Dolas tymczasem spadał jak kamień w dół. Czuł potęgający się pęd powietrza, było nieomal namacalne. Liczył spokojnie: „Raz, dwa, trzy, cztery...”, gdy doliczył do 18 — chmury nagle się urwały. Do ziemi było podejrzanie blisko. „Niemożliwe, abym zdążył doliczyć do stu dwudziestu trzech... — pomyślał ciągnąc za uchwyt.

Poczuł silne szarpnięcie. Pęd ustał. Dolas wisiał nad ziemią pod białą czaszą spadochronu. Tuż pod nim znajdował się jakiś duży ogród czy też park. Pomiędzy drzewami stały duże, białe, kryte dachówką bloki. Obok przebiegała szosa, prowadząca do niewielkiej miejscowości z wysoką wieżą kościelną. Nie miał czasu na dalsze rozglądanie się i podziwianie widoków. Opadał z dużą szybkością, był coraz bliżej ziemi. Nagle ujrzał pod sobą rozłożystą koronę drzewa. Po chwili nogi zaplątały mu się między gałęziami. Czasza spadochronu uwięzła między konarami — zawisł metr nad ziemią.

„Jak się z tego wydostać?” — rozmyślał szamocząc się z szelkami spadochronu.

Poczuł, że ktoś mu pomaga. Po chwili stanął na ziemi. Przed nim znajdowała się grupka mężczyzn odzianych w dziwaczne stroje, na pół więzienne, na pół szpitalne.

— O panie, czyś przybył do nas z niebios? — zapytał jeden z nich.

— Prawie — odpowiedział — w każdym bądź razie z chmur.

— Panie, czekamy na ciebie dwa tysiące lat.

— Ile? Kim wy jesteście?

— Apostołami. Jest nas dwunastu. Ja jestem święty Piotr, to święty Paweł, Jan, a to Łukasz — przedstawiał kolejno swoich towarzyszy „święty Piotr”. — Pod tym drzewem dwa tysiące lat temu miałem widzenie, że tu zejdziesz do nas Syn boży i odbędzie z nami ostatnią wieczerzę.

Dolas przyjrzał się „apostołom”. Ich fizjonomie i stroje nie budziły wątpliwości.

— Gdybyś się nie zjawił, nie moglibyśmy odbyć ostatniej wieczerzy i cały Nowy Testament okazałby się do kitu — zauważył logicznie jeden z apostołów.

— Włóż, panie, ten oto strój — rzekł święty Piotr, podając mu prześcieradło. — Zjemy ostatnią wieczerzę.

„A potem będą chcieli mnie ukrzyżować — pomyślał Dolas — aby zgodziło się z pismem świętym. Ładna historia! Z wariatami trzeba postępować łagodnie. Nie złościć, nie sprzeciwiać się, a w razie czego będę im tłumaczył, że brak nam jeszcze dwóch łotrów”.

Okrył się prześcieradłem i usiadł na ławce pod lipą.

Doktor Heidemann pełnił od lat funkcję dyrektora tak zwanego Szpitala Specjalnego. Był to właściwie szpital dla psychicznie chorych — jeden z niewielu, jaki ocalał w Trzeciej Rzeszy po słynnym zarządzeniu o likwidacji psychicznie chorych, jako ludzi absolutnie nieprzydatnych dla niemieckiej gospodarki.

Szpital ten utrzymywano wyłącznie ze względu na eksperymenty przeprowadzane na pacjentach, wszystko to się działo naturalnie dla dobra nauki wielko-niemieckiej Rzeszy.

Dyrektor, załatwiwszy jak co dzień bieżące sprawy, zasiadł w fotelu, oddając się

lekturze. Byle jakoś odwalić te dwie godziny do trzeciej, gonić do domu, a potem na ryby. W pewnej chwili zadzwonił telefon.

— Halo? — zapytał, podnosząc niechętnie słuchawkę.

Prezydium Policji z pobliskiego miasta dopytywało się, czy na terenie jego szpitala nie wylądował spadochroniarz. Doktor oburzył się. Skądże znowu! On jest tu dyrektorem, wie o wszystkim, co się dzieje na terenie Zakładu.

— To niemożliwe — oświadczył odkładając słuchawkę i zabrał się ponownie do lektury.

Nie dane mu było jednak dalej czytać, bo znów odezwał się aparat telefoniczny. Tym razem mówił ordynator V oddziału.

— Panie dyrektorze — meldował lekarz — na moim oddziale znalazł się jeden pacjent za dużo. Wie pan, w tej grupie dwunastu apostołów. Podobno to jest sam Chrystus, który zstąpił z nieba.

Grupa dwunastu apostołów była dobrze znana dyrektorowi. Spokojni, nieszkodliwi maniacy, wysiadujący od rana do wieczora pod rozłożystą lipą i oczekujący pojawienia się Chrystusa dla odbycia ostatniej wieczerzy.

— To pan aż do mnie telefonuje w tej sprawie? Niech pan stwierdzi, z jakiego oddziału uciekł i każe go tam odesłać. Wściekły rzucił słuchawkę.

— Tym młodym lekarzom nic się nie chce pracować — mruknął zabierając się po raz drugi do przerwanej lektury.

W tym czasie ordynator V oddziału, ściągnąwszy do siebie Dolasa, zaczął z nim łagodną pogawędkę.

— Niech pan siada, proszę. Przybył więc pan tu z chmur, z nieba?

— Tak, ale w żaden nadprzyrodzony sposób. Po prostu wyskoczyłem na spadochronie z samolotu.

— Ach, tak? — mruknął lekarz, patrząc znacząco na pielęgniarkę, który odkrył obecność „Chrystusa” pomiędzy apostołami.

— A jak się pan nazywa?

— Adolf Dolas.

Lekarz znów spojrzał na pielęgniarkę. Tamtem zrozumiał — wyszedł, aby dowiedzieć się, na którym oddziale przebywa Adolf Dolas.

— Panie doktorze, ja naprawdę nie jestem psychicznie chory.

— Ależ ktoś by tak twierdził? — oburzył się lekarz. — Niech pan jeszcze coś opowie o sobie.

Dolas bał się mówić zbyt wiele, zmieszał się więc nieco, co nie uszło uwagi lekarza.

— Leciałem samolotem z Włoch...

„Z Włoch — pomyślał lekarz. — Pewnie zaraz powie, że był w świętym mieście. Może to sam święty Piotr?”

— A przedtem gdzie pan był, jeśli można wiedzieć?

— Poprzednio przebywałem w Egipcie, Palestynie, Syrii. „Wszystko się zgadza” — pomyślał ordynator.

— A czym pan jest z zawodu? — zapytał.

— Doktorem historii sztuki.

„Ciekawy objaw schizofrenii. Z jakiego on może być oddziału?” Tymczasem dyrektorowi znów przerwano lekturę. Telefonowano z Prezydium Policji. Organa bezpieczeństwa III Rzeszy miały tak dużo pracowników i współpracowników, że w ciągu godziny udało się bez żadnej wątpliwości ustalić, iż na terenie szpitala wylądował spadochroniarz. Mówił teraz sam komisarz.

— Herr Direktor! Na pewno u pana przebywa spadochroniarz.

— Wykluczone, mamy tylko Chrystusa.

— Kogo? — spytał zdziwiony policjant.

— Chrystusa. Przyplątał się nie wiadomo skąd.

— Herr Direktor! — głos komisarza stał się groźny. — Pan sobie żarty stroi, a tu chodzi o poważną sprawę. Dwie godziny temu wyskoczył z samolotu wysoki pracownik Abwehry i my go szukamy. Radzę panu sprawdzić personalia tego „Chrystusa”, bo może z panem być źle.

Dyrektor zbladł.

— Jawohl, jawohl! Zaraz to zrobię. Heil Hitler!

Wyskoczył z gabinetu i pobiegł na V oddział. Po drodze spostrzegł dwóch pielęgniarzy niosących zwinięty spadochron. Nie miał już teraz wątpliwości. W gabinecie ordynatora zastał Dolasa, opowiadającego o Florencji.

— Szanowny panie! — zawołał od progu. — Czy to pan leciał samolotem z Włoch?

— Właśnie o tym opowiadam.

— Najmocniej pana przepraszam za fatalną pomyłkę. Najmocniej przepraszam. Co pan robi w tym błazeńskim przebraniu? Doktorze, dlaczego pan na to pozwolił?

— Przecież pan doktor sam kazał...

— Nic panu nie kazałem, rozumie pan? Proszę na chwilę wyjść ze mną na korytarz.

— Coś pan narobił! — rugał lekarza półgłosem. — Pan wie, kto to jest? To wysoki

urzędnik Abwehry. A pan błaznuje i wmawia w niego, że jest umyślowo chory. Niech pan zaraz zatelefonuje na policję, że znaleźliśmy go.

Lekarz zbladł i wróciwszy do gabinetu zaczął przeproszać Dolasa.

— Ależ nic mi się nie stało — uśmiechnął się Dolas. — Nikt mnie nie obraził.

— To bardzo dobrze, bardzo dobrze — mamrotał dyrektor.

Wyprowadził Dolasa z gabinetu, chciał pokazać cały szpital. Mówił, że pacjenci są świetnie traktowani, nikomu nie dzieje się krzywda. A jaka kuchnia, jakie jedzenie! Naturalnie są różni złośliwi, ale jak to zawsze na świecie.

Zdumiony historyk sztuki kroczył obok dyrektora, nie mogąc pojąć, o co chodzi. Gdy dochodzili do bramy, podjeżdżał właśnie samochód z Prezydium Policji. Oficer, gęsto się tłumacząc, zaprosił Dolasa do wnętrza. Ruszyli w stronę Berlina.

Rozdział XIII

w którym Dolas trafia do specjalnego obozu

— Tu miałem rozkaz pana dostarczyć — oświadczył policjant, gdy samochód zatrzymał się przed bramą.

Za drucianą siatką, pomiędzy drzewami, stały małe domki oraz parę większych pawilonów. Całość istotnie sprawiała wrażenie sportowego ośrodka, znajdującego się na odległym przedmieściu Berlina. Przy wejściu Dolas spotkał niemłodego już oficera Wehrmachtu.

— To pan miał tę przygodę ze spadochronem?

— Tak.

— Proszę do środka. Tam jest jadalnia — wskazał w stronę jednego z pawilonów — a mieszkać pan będzie w domu pod numerem dwudziestym szóstym, pokój pięć.

— Dziękuję — odpowiedział Dolas, kierując się w stronę budynku oznaczonego numerem 26.

Postanowił najpierw zorientować się, gdzie znajduje się, a potem coś zjeść.

W pokoju nr 5 zastał trzech starszych mężczyzn. Dwóch siedziało przy stole, a trzeci leżał na łóżku. Dolas przedstawił się. Obecni mruknęli niezrozumiale jakieś nazwiska, a jeden z nich wyraźnie dodał: baron.

— Czy pan jest Rosjaninem? — zapytał tytułujący się baronem.

— Nie, Polakiem.

— Bardzo mi miło — powiedział baron, przechodząc na niemiecki. — Znam wasz kraj, służyłem w Iwangorodzie.

— Przepraszam, gdzie pan baron służył?

— W Iwangorodzie. Wyście tę twierdzę nazwali Dęblin. Leży w Prywislanskim Kraju.

— Zdaje się, panie baronie, że Iwanogorod i Prywislanskij Kraj zniknęły z mapy.

— Ale nie na zawsze. Nie łudźcie się! Gdy na tron wróci car Wszechrosji, wy, Polacy, musicie przejść pod jego władzę. Car Rosji jest królem polskim, jedynym legalnym waszym władcą, ustanowionym na kongresie wiedeńskim. „Bredzi w gorączce albo jest pijany” — pomyślał Dolas. Baron zaś mówił dalej:

— Nie wiadomo jeszcze, kto będzie carem, Mikołaj III czy Aleksander IV, i nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Jedno jest pewne, dni panowania komunistów są policzone.

Dolas zdumiony przyglądał się entuzjaście domu Romanowów. Zastanawiał się, gdzie właściwie się znajduje? Czyżby to była filia szpitala wariatów?

Postanowił pójść na kolację. Gdy opuszczał pokój, mężczyzna leżący na łóżku wstał i wyszedł za nim.

— Przepraszam pana za wariactwa tych starych ramoli. Wciąż bajdurzą o monarchii w Rosji.

— A przy okazji gędzą o Prywislanskim Kraju.

— To w ich stylu. Nie wiedzą, że świat idzie naprzód. Niech pan ich nie słucha. Ja jestem rewolucjonistą-republikaninem.

— Czyżby pan brał udział w rewolucji październikowej?

— Ale skądże! W lutowej. My Polakom daliśmy autonomię. Z tego stanowiska nie wycofamy się.

— Pan zapomina, że potem uzyskaliśmy niepodległość.

— Dzięki komunistom, uzurpatorom, którzy wbrew woli ludu objęli władzę i rządzą do dziś. Ale dni ich są policzone. Do władzy dojdziemy my, republikanie, a wtedy...

Dolas nie słuchał, co będzie dalej, i zostawiwszy rozgadanego rewolucjonistę-republikanina, ruszył w stronę jadalni. Przed wejściem spotkał osobnika w polskim mundurze oficerskim.

— Czy pan jest Polakiem? — zapytał.

— Jestem polskim oficerem, z pochodzenia Rosjaninem. Nazywam się Szugajew. A kim pan jest?

— Polakiem.

— Polakiem? — zdziwił się tamten. — Cóż pan tu porabia?

— Nie wiem. Nie wiem, gdzie jestem i nie wiem, po co tu jestem.

— Zaraz panu wyjaśnię. Skąd pan tu przybył?

— Bezpośrednio ze szpitala wariatów.

Szugajew spojrzał podejrzliwie na swego rozmówcę. Dolas podchwycił to spojrzenie.

— Nie. Nie byłem pacjentem. Nawet nie znajdowałem się n? obserwacji. Tu opowiedział w skrócie przygody ostatnich miesięcy.

— Teraz rozumiem. Nasi opiekunowie uważają pana, jako Ślązaka, za Niemca.

— Ależ to mi zupełnie nie odpowiada!

— Wątpię, czy będą pytali pana o zdanie. Ubiorą pana w mundur i wcielą do Wehrmachtu. Musi pan wiedzieć, że znajdujemy się w ośrodku ideologiczno-szkoleniowym kolaborantów względnie kandydatów na kolaborantów. Tutejsze

towarzystwo dzieli się na dwie grupy: kolaborantów prawdziwych, marzących, aby po skończeniu kursu pójść do Wehrmachtu lub hitlerowskiej administracji oraz kolaborantów z przypadku, robiących wszystko, aby wykręcić się z bigosu, w który wpakowali ich hitlerowcy. Ja zaliczam się do grupy drugiej. Jestem Rosjaninem mającym obywatelstwo polskie, więc szkopy uważają, że powinienem im pomagać na wschodnim froncie.

— Przepraszam, czy pan zalicza się do monarchistów, czy do republikanów? Szugajew roześmiał się.

— Ani do jednych, ani do drugich. Widzę, że pan spotkał się już z tymi ramolami.

— Niestety, nawet z nimi mieszkam. Obawiam się, że zwariuję. Odniosłem wrażenie, jakbym się znalazł po raz drugi w szpitalu wariatów.

— Niech pan się przenieś do naszego pokoju, pod czwarty, w tym samym domu. U nas też jest wolne łóżko. Oprócz mnie mieszka dwóch facetów, jeden porządny, a drugi volksdeutsch.

Dolas chętnie skorzystał z propozycji. Zjadł kolację i przespacerował się po ogrodzie. Co rusz to napotykał oficerów w mundurach polskich, francuskich, serbskich, greckich, najwięcej jednak kręciło się osobników w cywilnych ubraniach.

Nie wrócił już do pokoju nr 5, skierował się pod „czwórkę”. Zastał tam jednego z mieszkańców. Był to niski, grubawy mężczyzna w polskim mundurze bez dystynkcji.

— Pan jest Polakiem czy Niemcem? — zapytał Dolas pamiętając, co mu opowiadał Szugajew.

— Jestem człowiekiem bez narodowości.

— Nie rozumiem.

— Jeżeli pana to interesuje, opowiem. To bardzo pouczająca historia. Czasem jeden

nierozważny krok może mieć fatalne następstwa.

— Chętnie posłucham.

— Pochodzę z Pomorza. Mój ojciec był Polakiem, a matka Niemką. Nazywam się Gancke. To jest bardzo wygodne nazwisko! Napiszesz przez „c” i masz „echte polnische Name”, napiszesz przez „tz” i jesteś „ur Deutsch”. Przed tamtą wojną pisało się przez „tz”. W dziewięćset szesnastym roku zostałem wysłany na front zachodni, a w dziewięćset siedemnastym dostałem się do francuskiej niewoli. Pewnego dnia do obozu przybył dziwnie ubrany oficer. Komendant zarządził zbiórkę. „Polacy, wystąp!” — padła komenda. Ja naturalnie wystąpiłem, a razem ze mną jeszcze kilku. Wtedy ten dziwnie ubrany oficer powiedział, że jest Polakiem, i namawiał nas na wstąpienie do polskiej armii. Wstąpiłem, bo z Niemcami było już krucho. Naturalnie pisałem się przez „c”. W dziewięćset dziewiętnastym wróciłem z armią generała Hallera do Polski, a potem osiadłem w rodzinnym mieście. Ojciec mój miał sklep spożywczy, który ja potem przejąłem. Handel szedł dobrze. Polacy kupowali, jakże tu bowiem nie popierać zasłużonego kombatanta. Kupowali i Niemcy, bo z matką można było pogadać po niemiecku i ponarzekać na Polaków. Dzięki temu przed wojną miałem własny dom, od frontu sklep z trzema szybami wystawowymi, a w podwórzu wytwórnię kiszek. Ożeniłem się z Trudą, która miała matkę Polkę, a ojca Niemca. W żadną politykę się nie bawiłem. Nawet do bractwa kurkowego nie należałem. Gdy wybuchła druga wojna, w czasie kampanii dostałem się do niewoli. I znów stało się tak, jak w dziewięćset siedemnastym, tym razem padła komenda: „Niemcy, wystąp!” Pisałem się wtedy przez „tz”, więc wystąpiłem. Truda też podpisała volksliste. Siedziałem w oflagu czekając, aż coś się wyjaśni. Byłem naturalnie w kompanii volksdeutschow, podobnie jak ja czekających na zwolnienie. Truda pochwaliła moją decyzję. „Dzięki temu może uda się nam uratować interes” — pisała. Po dwóch miesiącach Truda przyjechała do oflagu z niemieckim hauptmanem. „Pan kapitan mieszka u nas i opiekuje się mną” — wyjaśniła. Ja się bardzo ucieszyłem, że kobieta ma opiekuna, niemieckiego oficera. W rozmowie hauptman powiedział: „Panie Gantzke, lepiej by było, aby pan interes przepisał na żonę. Łatwiej mi będzie wyciągnąć pana z niewoli”. Zrobiłem tak, jak kapitan poradził. Przyjechał notariusz i przepisałem cały interes wraz z domem i wytwórnią kiszek na Trudę. Po paru miesiącach Truda pisze, że ma trudności z wyciągnięciem mnie z obozu i utrzymaniem interesu. „Každy mi przygaduje, że mam męża w polskim obozie. Pan hauptman radzi, abyśmy wzięli rozwód. Naturalnie na niby... ”Skoro hauptman tak radzi, to ja się zgodziłem. Truda napisała, że teraz łatwo wyciągnie mnie z obozu. Minęło ze dwa miesiące i pisze do mnie pan hauptman: „Bardzo nieładnie pan zrobił rozchodząc się z żoną w czasie wojny. Zostawił pan na lodzie

samotną kobietę. Musiałem się nią zaopiekować i ożeniłem się". Domyśliłem się, że też na niby. I tak napisałem do Trudy. A ta mi odpisuje: „Ty stary ośle. Nic tu na niby. A w ogóle to mam przez ciebie tylko nieprzyjemności, bo ze względu na twoją przeszłość nie chcą cię zwolnić z niewoli. Nie pisz więcej do mnie i nie denerwuj, bo jestem w ciąży". Ogarnęła mnie niepewność. Było to osiem miesięcy od wybuchu wojny. Truda nie napisała, w którym jest miesiącu, i nie wiedziałem, czy po piętnastu latach bezdzietnego małżeństwa Pan Bóg pobłogosławił, czy też pan hauptman nadużył mego zaufania. Z oflagu wszystkich volksdeutschow już dawno zwolnili, tylko ja jeden zostałem. Gdy rano przychodził na apel lageroffizier, to nawet do mnie nie podchodził — z daleka było widać jednego volksdeutscha, nie trzeba było liczyć. Nie miałem więc nawet do kogo gęby otworzyć, bo Polacy ze mną nie rozmawiali. Przeciwnie, gdzie się dało — bili po mordzie, wyrzucali na korytarz, zamykali w klozecie itp. Jednym słowem ja, Niemiec, na niemieckiej ziemi, czułem się gorzej niż Żyd w getcie. Miałem tego już dość. Poszedłem do komendanta obozu, wyłożyłem kawę na ławę, a pan oberst powiedział tak:

„Raz pan nas już zdradził, chyba nie skorzystamy z pańskich usług. Najlepiej będzie, jeśli pan z powrotem stanie się Polakiem". Udałem się więc do polskiego generała i powiedziałem: „Panie generale, ja już nie chcę być Volksdeutschem, chcę być Polakiem. Gancke przez „c". Generał pokręcił głową: „Dziękuję, ale nie skorzystamy z pańskiej oferty". I tak zostałem bez narodowości: ani Polak, ani Niemiec, po prostu kupiec! Ale co za kupiec bez sklepu! A wszystko przez jeden nierozważny krok! Gdybym nie przepisał na Trudę interesu, domu i wytwórni kiszek, na pewno byłbym Polakiem lub Niemcem. No cóż, człowiek się uczy przez całe życie.

— Ma pan rację! — potwierdził Dolas układając się do snu.

Dzień miał pracowity: podróż samolotem z Florencji, skok ze spadochronu i cała ta ludzka menażeria. Można oszaleć!

Trzeciego mieszkańca pokoju Dolas poznał dopiero nazajutrz rano. Był to prawie dwumetrowy dryblas, noszący imię Paulka.

— Te gibańce chcą ze mnie zrobić volksdeutscha. Niedoczekanie ich, jestem Polakiem — stwierdził z wściekłością, waląc pięścią w stół.

— A może ma pan Niemców w rodzinie?

— Naturalnie! Ojciec jest Niemcem, matka Rosjanką, starszy brat Niemcem, a siostra Rosjanką.

— A pan Polakiem? — zapytał Dolas nieco zdziwiony.

— A tak, Polakiem. I codziennie mówię o tym Furgolowi.

— A któż to jest Furgol?

— Oberleutnant, Ślązak z pochodzenia, sprawujący opiekę nad Kaszubami, Ślązakami i Góralami.

Dolas postanowił wobec tego udać się jako Ślązak do Furgola i zaprotestować przeciwko traktowaniu go jako Niemca.

Na razie jednak poszli na boisko.

Dzień powszedni zaczynał się gimnastyką ze śpiewem: „Wenn wir weden Soldaten, wir werden marschieren...”

Po śniadaniu były wykłady z teorii i historii narodowego socjalizmu Wielkich Niemiec oraz czytanie zbiorowe *Mein Kampf*. Popołudnie było przeznaczone na uprawianie sportów oraz oglądanie w miejscowym kinie propagandowych filmów. Dla słabo mówiących po niemiecku odbywały się specjalne kolokwia.

Zaraz po pierwszym wykładzie Dolas udał się do Furgola.

— Chciałem wyjaśnić — zaczął — iż dostałem się tu przez pomyłkę. Jestem Polakiem.

— Przecież sami stwierdziliście, że jesteście Ślązakiem.

— Zgadza się. Jestem Ślązakiem, bo urodziłem się na Śląsku, ale Ślązacy są przecież Polakami.

Furgol ujął Dolasa pod ramię, udali się na mały spacer.

— Słuchaj no, pieronie — zaczął łamaną gwarą śląską — zaraz ci to wszystko wyjaśnię. Polska propaganda pisała, że Ślązaki to Poloki. Ale to nieprawda! Ja ci to, pieronie, gadam. Ja, Ślązak Furgol z Bytomia. Ślązoki to Niemce!

— A jednak mówi pan po polsku.

— Nie po polsku, a po śląsku! Ale to nieważne. Możesz mówić nawet i po polsku, byle serce i dusza była u ciebie, pieronie, niemiecka — jak u mnie.

— Nie przekonał mnie pan. A poza tym mam duszę i serce polskie.

— To ci ino teraz tak się wydaje, pieronie jeden. Ja tyż tak myślałem, aż Führer mnie oświecił. I z tobą tak będzie. Pochodzisz na wykłady, przekonasz się, co to jest narodowy socjalizm, zobaczysz w kinie zwycięstwa Niemiec, to sam sobie powiesz, żeś jest Niemcem.

— Bardzo wątpię.

— Zobaczysz, że tak będzie. Włóżysz mundur niemieckiego żołnierza i pójdiesz na front bić wrogów, — I poklepawszy go po ramieniu, Furgol odszedł. Po obiedzie Dolas powtórzył tę rozmowę Szugajewowi.

— Mówiłem panu, że tak będzie. Bez pytania nałożą mundur i wyekspedują na front.

— Ale co mam robić? Nie mogę przecież bić się za Hitlera.

— Nikt nie każe się panu bić. Każdy front ma to do siebie, że można przejść na drugą stronę, jeśli się ma oczywiście trochę sprytu.

— Dlaczegoż pan wobec tego nie chce iść na front?

— Ja nie mogę. Jestem Rosjaninem, więc mógłbym wstąpić do armii niemieckiej tylko na ochotnika. A tego nie zrobię, bo gdy/by mnie Rosjanie wzięli do niewoli, to z miejsca rozstrzelaliby jako zdrajcę. Panu natomiast nikt nie będzie proponować, po prostu wcielą do wojska, uważając że jako Niemiec ma pan obowiązek walczyć za Hitlera. Wszelkie dyskusje z Furgolem czy innymi łobuzami są bezprzedmiotowe.

Dolas przez parę dni zastanawiał się nad słowami Szugajewa. Ostatecznie doszedł do wniosku, iż ma on rację.

„Nie ma rady. Nie będę stawał okoniem. Jeżeli wyślą mnie na front, to przy pierwszej okazji poddam się i idę do niewoli. Nie będzie to trudne, bo armia niemiecka jest w odwrocie na wszystkich frontach. Lepiej nawet harować na Syberii niż walczyć za Hitlera!”

Dolasowi nieraz przychodziło do głowy pytanie, dlaczego ten ośrodek zorganizowano w pobliżu Berlina. Cóż bowiem z tego, że po południu w kinie oglądali wspaniałe zwycięstwa niemieckie w Polsce, Norwegii, Francji, na Bałkanach i w zachodniej Rosji, skoro w noty zjawiały się alianckie samoloty i bombardując stolicę Rzeszy psuły cały efekt propagandy.

Kandydaci na kolaboracjonistów pędzili wówczas do schronów, a rano zjawiali się szklarze, by wstawiać szyby. Nad miastem unosił się dym pożarów i dochodziły wiadomości o skutkach bombardowania. Często zresztą sami je oglądali. „Wychowawcy” bowiem, korzystając z bliskości Berlina, wozili ich od czasu do czasu do miasta, pokazując liczne budowle i pomniki obrazujące chwałę i wysoką kulturę Niemiec. Architektura, malarstwo i rzeźba narodowo-socjalistycznych Niemiec były dla Dolasa zupełnie obce. Z przyjemnością natomiast pojechał do Poczdamu i Sans-Souci, Był tu kiedyś przed wojną. Oba pałace, wzniesione przez Prusaka Knobelsdorffa, wzorowały się na francuskim baroku. Daleko im było naturalnie do Wersalu czy Fontainebleau. Nic dziwnego. Skąd miał czerpać natchnienie twórca, skoro w tym czasie wokół ćwiczyły w bezmyślnej musztrze bataliony pruskiej gwardii? Bourbonowie, Habsburgowie i inne panujące rody uważały Hohenzollerów za pariasów, za nędznych brandenburskich elektorów, którzy prawem kaduka sięgnęli po królewską koronę.

Każdy malarz, rzeźbiarz czy architekt wolał być jednym z wielu artystów na cesarskim lub prawdziwym królewskim dworze, niż pierwszym przy tronie pruskich dorobkiewiczów, którzy sztuką interesowali się tylko przez snobizm.

Tak myślał Dolas, gdy stał oparty o ławkę ogrodową. Pałac Sans-Souci na tle

pożółkłych drzew wyglądał przepięknie. Dolas doznał wrażenia, że oto za chwilę u wylotu alei pojawi się kareta, zaprzęzona w czwórkę koni i wysiądą z niej mężczyźni we frakach, w białych perukach i damy w krynolinach.

— To jest piękne! — usłyszał za sobą.

— Tak — powiedział odwracając się.

Za nim stał Furgol. Grubas w żołdackim mundurze, o tępej twarzy Prusaka.

— No widzisz, pieronie. A ty nie chcesz być Niemcem!

— Co to ma do rzeczy? — odpowiedział wzruszając ramionami.

Nie miał zamiaru dyskutować, odszedł więc w głąb parku.

Szkolenie ideologiczne w ośrodku zakończyło się w końcu listopada. Gdy Szugajewa zapytano, czy chce pracować w niemieckiej administracji na wschodzie, odpowiedział:

— Owszem, ale w miejscu mego urodzenia.

— Chętnie spełnimy to drobne życzenie. Gdzie się pan urodził?

— We Władystoku.

— Ależ my jeszcze nie zajęliśmy Władystoku! — odpowiedział zdumiony Niemiec.

— To ja poczekam, aż zajmiecie.

Uznano to za odpowiedź negatywną i odesłano go do oflagu. Ganckego natomiast, jako nadającego się do służby w Wehrmachcie, mianowano urzędnikiem wojskowym. Był z tego niesłychanie dumny, zaczął pisać się przez „tz” i zapomniał polskiego języka.

Dolasa i Paulkę, zgodnie z przewidywaniami Szugajewa, przeznaczono do służby liniowej w artylerii przeciwpancernej. Wraz z liczną grupą volksdeutschow, paru Ślązakami, Kaszubami i przedstawicielami „Gorallenvolku” wyjechali do pułku zapasowego meklemburskiej dywizji piechoty.

Pułk stacjonował w niewielkim miasteczku koło Szczecina. Nowe białe bloki koszarowe stały na skraju miasta. Tworzyły one duży czworobok z placem ćwiczeń pośrodku. Nad budynkiem dowództwa widniała wykuta w piaskowcu hitlerowska wrona ze swastyką w pazurach.

Zgodnie z tradycją obowiązującą we wszystkich armiach świata, nowo przybyłych powitał feldfobel.

— Przybyliście tu, aby walczyć za Führera, narodowy socjalizm i Vaterland. Wiem, że byliście poprzednio w różnych innych armiach. Ale tamto było Scheiss.

Prawdziwe wojsko, godne nowej Europy, zobaczycie tu. Pamiętajcie, że w narodowosocjalistycznej armii panuje żelazna dyscyplina. Kto jej się nie podporządkuje, to dostanie taką szkołę, że mu się woda zagotuje w tyłku.

„Że też w każdej armii — rozmyślał Dolas — muszą zawsze dobierać się do części ciała zwanych pośladkami. W Szkole Podchorążych nogi miały wrastać w tyłek, a tu ma się gotować woda. Dlaczego? Porucznik Nowacki, gdy był zły, to wrzeszczał: «Nie zawracajcie mi dupy!» Dlaczego dupy, a nie wątroby lub łydki?"

— Ty świński ogonie! — usłyszał ryk feldfebla. — Nie rozumiesz po niemiecku? Po jakiemu do ciebie mówić?

Kanonier Dolas dopiero teraz spostrzegł, że cały oddział leży plackiem na ziemi, tylko on jeden stoi niczym wartownik na posterunku. Padł na ziemię.

— Powstań! — wrzasnął feldfebel. — Padnij! Powstań!

— Abteilung marsch! Abteilung singen!

— Ein, zwei, drei... — zaczął Paulka.

„Wenn wir werden Soldaten, wir werden marschieren" — rozległo się na dziedzińcu koszar.

Rozdział XIV

w którym Dolas zostaje bohaterem Ostfrontu

Odjeżdżających na front żegnał sam Kreisleiter. Mówił o bliskim niemieckim zwycięstwie i klęskach, jakie ponoszą Rosjanie na wszystkich frontach. Dziewczyny z Bund Deutscher Mädel rozdawały paczuszki z papierosami, a pętaki z Hitlerjugend wygrywały na piszczałkach.

Żołnierze, kandydaci na bohaterów lub nieboszczyków, obojętnie przyglądali się temu widowisku. Tylko Paulka, wychyliwszy się przez okno, wrzeszczał:

— Sieg heil! Wir fahren gegen England! Sieg heil!

Wszyscy wiedzieli, że wczoraj Paulka przyniósł do koszar butelkę wódki i dziś rano spił się jak świnia. Gdy wytrzeźwieje, będzie kłął i wymyślał.

Dyżurny dał sygnał do odjazdu i pociąg powoli ruszył przy dźwiękach marsza *Wacht am Rhein*. Trasa wiodła na zachód od Berlina, a potem przez Śląsk na wschód. Na stacjach węzłowych doczepiano nowe wagony, tak że gdy w nocy przybyli na Śląsk, pociąg spęczniał, był prawie dwa razy dłuższy niż przy wyjeździe. Komendant transportu zapowiedział całonocny postój, miano wydawać gorącą kolację. Zjawiły się również dziewczyny z podarkami. Ledwie jednak zaczęto wydawać zupę — zaryczały syreny.

— Alarm!

W popłochu uciekano do schronu. Był za mały, aby pomieścić tylu ludzi. Kto nie zdołał ukryć się w schronie, pędził przez tory w pole, byle dalej od stacji. Dochodził już pomruk potężnych silników lotniczych. Białe smugi reflektorów macały czarne niebo. Warkot stawał się coraz bardziej natrętny. W górę trysnęły przeciwlotnicze pociski. Przejmujący świst padających bomb zmiesza) się z suchymi wystrzałami artylerii. Do koncertu włączyły się wybuchy bomb padających na stację, na pobliską fabrykę, na pola i ulice. W górę leciały kawałki szyn, podkłady kolejowe, waliły się w gruzy mury fabryki. Z nieba sypały się jak grad odłamki pocisków przeciwlotniczych, wiszące na spadochronach flary zamieniały ciemną noc w jasny dzień. Nagle wszystko ucichło: samoloty odlatywały. W świetle pożarów i dopalających się flar można było zobaczyć w całej przerażającej grozie skutki nalotu. Pociąg prawie nie istniał. Wagony zamieniły się w stosy żelastwa, powyginanych prętów i porozrywanych płatów blachy. Dworzec był żałosnym rumowiskiem. W ruinach fabryki szalał pożar. Z żołnierzy jadących na front nie można było połowy się doliczyć. Część zginęła od bomb, część rannych odwieziono do szpitali, wielu rozbiegło się i dopiero rano zaczęli się zgłaszać. O dalszej jeździe na razie nie było mowy. Niedobitki skierowano do koszar, usiłując zaprowadzić jaki taki porządek.

Po paru dniach sklecono nowy transport i po cichu, bez pożegnalnych uroczystości, bez przemówień i śpiewów wyruszyli na front.

W tym czasie meklemburska dywizja piechoty, stojąc w odwodzie, leczyła rany zadane jej w niedawnej bitwie.

Wiosna 1944 roku była kapryśna. Raz chwycił siarczysty mróz, to znów przychodziła niespodziewanie odwilż. Wokoło rozciągała się niemal pustynna, spustoszona doszczętnie okolica. Spalone wsie i miasta nie mogły zapewnić wojsku żadnych kwater. Żołnierze sypiali w prymitywnych ziemiankach lub w lasach. Radzieckie lotnictwo nie dawało ani chwili wytchnienia, w nocy nękały ich napady partyzanckich oddziałów. Jediną rozrywką, jeśli można to było tak nazwać, były wypadki do miasteczka, w którym kwaterowało dowództwo dywizji.

Z miasteczka niewiele co zostało: parę na pół zniszczonych domów, zajętych na kwatery dowództwa i oficerskie kasyno. W cerkwi urządzono szpital, a w drewnianej, prowizorycznej szopie — teatr. Ordynarne, roznegliżowane „artystki” w na pół pornograficznych numerach usiłowały zagrzać żołnierzy do dalszej walki w imię narodowego socjalizmu.

Bardziej wymagający mieli do dyspozycji drugą szopę, w której był dom publiczny. Dolas nie reflektował ani na jedną, ani na drugą rozrywkę, Paulka natomiast postanowił

zakosztować rozkoszy życia na tyłach frontu i wybrał się pewnego popołudnia do miasteczka. Wróciwszy późnym wieczorem, złożył dokładną relację Dolasowi:

— Ten cały teatr to tylko wysadzić w powietrze. A burdel! Co za brud, smród! Taki smród, jakby kisili tam kapustę i ogórki. Lepiej żeby się coś działo na froncie, bo inaczej zeżrą nas wszy i robactwo. A jak się zaczniesz — pochylił się nad Dolasem — to ja, bracie, noga!

„Jeszcze jeden amator ucieczki” — pomyślał Dolas.

„Dziać się” zaczęło po paru dniach.

Ktoś przyniósł wiadomość, że Rosjanie przerwali front i wkrótce zmotoryzowana kolumna, wsparta czołgami, uderzyła w środek ich ugrupowania. Po godzinie strzelanina wzmogła się. Piechota w alarmowym tempie grupowała się na starej szosie, zniszczonej przez gąsienice czołgów. Ukazały się pierwsze rozbite oddziały i wozy z rannymi. Padły chrapliwe niemieckie komendy i batalion, rozwinąwszy się w prawo i lewo od drogi, ruszył do przeciwataku. Działka przeciwpancerne posuwały się w pierwszej linii. Tuż za nędznym laskiem dostali się w ogień radzieckiej artylerii. Na wzgórzu broniły się rozpaczliwie resztki drugiego batalionu.

Skokami dopadli pierwszej linii. Z pobliskiej, prawie całkowicie zniszczonej wsi rosyjska piechota, wsparta czołgami, rozpoczęła nowe natarcie.

— Działka przeciwpancerne na stanowiska! — krzyczał dowódca batalionu. Podjechali samochodem i pod ogniem zabrali się do odprzodkowania. Szło to bardzo niezdarnie.

— Szybciej, szybciej! — ponaglał major.

Dolas zajął swoje stanowisko celowniczego, skrył się za pancerną tarczą, obserwując przez lunetkę celownika przedpole.

— Achtung! Achtung! — wrzeszczał dowódca baterii. — Panzerwagen!

Przez lunetkę zobaczył sunące cielsko czołgu. Naprowadził krzyż nieco wyżej od wieżyczki i nacisnął spust. Targnęło działkiem i pocisk śmignął wysoko nad czołgiem.

— Za wysoko! Za wysoko! — ryczał działonowy.

Obniżył krzyż, ale jednocześnie przesunął go nieco w lewo. Znów pocisk minął sunący czołg.

— Jak strzelasz, ty świński ogonie?

Kanonier Dolas zobaczył przez lunetkę, że u jednego z czołgów niknie lufa działka.

„Obraca wieżyczkę i celuje we mnie” — pomyślał.

W tej samej sekundzie ukazał się błysk, pocisk gwizdnął nad działkiem i wyrznął tuż za stanowiskiem. „Teraz da poprawkę i będzie kaput!” Znów błysk i wybuch pocisku przed

samym wylotem lufy. Stalowa tarcza uchroniła celowniczego, ale odłamki położyły trupem działonowego i amunicyjnego. Lufa działka wygięła się żałośnie.

„Nie mam co dalej tu siedzieć” — pomyślał Dolas.

Porwał schmeisera, przebiegł parę metrów i wskoczył do dużego leja. Położył się na dnie i wygarnął w powietrze cały magazynek. Potem rzucił schmeisera i ostrożnie wyjrzał z leja. Zobaczył tuż przed sobą sylwetki radzieckich piechurów. Jeszcze chwila, a ruszą do szturm. Na pewno Niemcy nie wytrzymają uderzenia. Gdy go dopadną, to nim zdąży podnieść ręce, przebiją go bagnetem. Wcale nie miał na to ochoty. Tuż obok leja stał wrak niemieckiego czołgu z rozprutym bokiem. Niewiele się zastanawiając, wlaźł do środka. „Tu przeczekam przesunięcie pierwszej linii, a potem poddam się!”

Siedział pomiędzy kawałkami blach pancernych, resztek silnika i zniszczonego działka, czekając na rozwój wypadków. Wydawało mu się, że odgłosy walki milkną. Tak, to nie było złudzenie. Na pobojowisku zapanowała cisza. Nagła i dziwna. Wyjrzał ostrożnie ze swojej kryjówki. Na polu nikogo nie było, ani Niemców, ani Rosjan.

„Co to znaczy?” — zastanawiał się kanonier Dolas.

Nie wiedział, że w czasie gdy ich pułk wykonywał przeciwuderzenie, inny pułk dywizji uderzył w nieprzyjacielskie skrzydło i radziecki dowódca wydał rozkaz szybkiego odwrotu. Niemcy zaś, osłabieni przeciwnatarciem, również musieli się wycofać. Tak więc Dolas, niedoszły jeniec tkwił samotnie w rozbitym czołgu. Słońce już zachodziło i jego ostatnie promienie odbijały się w srebrzystej blasze cudem ocalałej cerkiewki.

„Nie będę po nocy szukał czerwonoarmiejców — pomyślał Dolas. — Jutro i tak muszą się tu zjawić”.

W czołgu spędził noc. Rano jednak nikt się nie pokazał, w dalszym ciągu panowała cisza. Od czasu do czasu przelatywały radzieckie samoloty szturmowe, wyszukując celów dla swych działek i bomb. Dolas zaczął się denerwować.

„Jeżeli Niemcy przyjdą przed Rosjanami, gotowi rozwalić mnie za dezercję...”

Był zmarznięty i głodny. Zaczął wałęsać się po pobojowisku, zasłanym niemieckimi trupami. Znalazł dowódcę baterii, działonowego i Paulkę. Żał mu się zrobiło Paulki, syna Niemca i Rosjanki, człowieka o polskim sercu i polskiej duszy, który na rosyjskiej ziemi zginął, za znenawidzonego Führera.

Paulka był znanym żarłokiem, Dolas pomyślał więc, że może przy nim znajdzie coś do jedzenia. Istotnie, w jego chlebaka była puszka konserw. Uradowany wrócił do swej kryjówki. Wyciągnął bagnet i przebił cienką blachę — ukazała się smakowita wieprzowina. Bagnetem wyciągał kęski, racząc się niczym król. W trakcie tej uczyty usłyszał jakieś głosy na

zewnątrz wraku.

„Nareszcie moja służba u pana Adolfa skończona!" Wyskoczył z czołgu trzymając w ręku bagnet umazany konserwą.

Przy wraku stał oparty o gąsienicę dowódca jego batalionu, obserwując przez lornetkę spaloną wioskę z ocalałą cerkiewką. Polem posuwała się tyraliera niemieckiej piechoty.

— Was machen Sie hier? — zapytał major.

A spojrzawszy na bagnet tkwiący w dłoni Dolasa, na porzucony schmeiser na dnie leja, rozsypane wokoło łuski i wreszcie na rozbite działko przeciwpancerne, dodał:

— To wy tu tkwicie od wczoraj?

— Jawohl, Herr Major — powiedział niepewnie.

— Żołnierze! — zawołał major. — Macie przed sobą bohatera! Ten oto kanonier do ostatka walczył przeciwko radzieckim czołgom. Gdy rozbito działko, strzelał ze schmeisera, gdy zabrakło amunicji, walczył bagnetem. On jedyny z całego batalionu, nie opuścił do końca stanowiska.

Kanonier Dolas przyglądał się majorowi z niedowierzaniem w oczach. Piechurzy mijali w milczeniu bohatera.

— Wolałbym zobaczyć dobrą dziwkę! — mruknął jeden z nich.

— Idźcie teraz na tyły odpocząć, a ja zawiadomię o wszystkim dowódcę pułku — powiedział major..

Po pół godzinie batalion bez walki zajął opuszczoną wieś. Tegoż dnia komunikat OKW podał między innymi: „Na wschodzie nasze oddziały planowo skracają front. Meklemburska dywizja piechoty odparła liczne natarcia nieprzyjaciela i przeciwatakiem zdobyła po ciężkiej walce ważny węzeł drogowy". A korespondent

wojenny „Völkischer Beobachter" napisał: „Dzielność i odwaga niemieckich żołnierzy jest znana na całym świecie. To, co się stało wczoraj na odcinku meklemburskiej dywizji, przeszło wszelkie granice. Trzeci batalion tej dywizji powstrzymał natarcie całego pancernego korpusu. Jeden z kanonierów po utracie działa przeciwpancernego z nożem i kluczem francuskim rzucił się na wrogi czołg. Odkręcił kluczem pancerną płytę i wdarł się do środka uśmiercając nożem załogę, w skład której wchodził między innymi sowiecki generał i wysoki komisarz polityczny. Na widok tego heroicznego czynu wróg rzucił się do ucieczki, zostawiając na polu 126 zabitych. Wódz i naczelny dowódca Niemieckich Sił Zbrojnych odznaczył bohaterskiego kanoniera Żelaznym Krzyżem I klasy".

— Uroczystość dekorowania odbyła się z wielką pompą. Generał, dowódca dywizji, przypiął Dolasowi Żelazny Krzyż, potem awansował do stopnia gefrajtra i wygłosił długie i

kwieciste przemówienie, zakończone okrzykiem „Sieg heil!” Batalion trzykrotnie powtórzył:

— Heil! heil! heil!

Nowo kreowany bohater przeszedł przed frontem oddziałów prezentujących broń. Wolałby się zapaść pod ziemię. Niestety, było to niemożliwe.

Uroczystość przerwały sowieckie samoloty szturmowe, które rozpędziły batalion na cztery strony świata.

Na tym nie skończyły się jednak udręki gefrajtra Dolasa. Nazajutrz wezwał go do siebie dowódca pułku.

— Dzielny żołnierzu! — przemówił pułkownik. — Od naszego Führera otrzymaliście Żelazny Krzyż, od dowódcy dywizji — awans na gefrajtra, a ode mnie dostaniecie tydzień urlopu.

Dolas struchlał. „Jakże ja się pokażę w Katowicach? — pomyślał. — Co powie mój ojciec na widok syna w niemieckim mundurze z Żelaznym Krzyżem? Co powiedzą znajomi?”

— Herr Oberst! — zameldował możliwie służbowo gefrajter Dolas. — Bardzo dziękuję za urlop, wolałbym jednak zostać na froncie.

— To jest odpowiedź godna prawdziwego żołnierza. Rozumiem was. Gdy ja w roku dziewięćset siedemnastym otrzymałem nad Sommą ten oto Żelazny Krzyż — pułkownik dotknął krzyża z pierwszej wojny światowej — tak samo odpowiedziałem memu dowódcy. Bo chciałem zostać na froncie i walczyć do ostatecznego zwycięstwa. Wtedy mój dowódca powiedział „nie”. Musicie pojechać na urlop. Czy wiecie, dlaczego on tak powiedział?

— Nie.

— Wy otrzymaliście krzyż i awans, a pomyśleliście o rodzinie? Pomyśleliście, że całą familię z tego tytułu spotkał zaszczyt? Że wasz dziadek, babka...

— Nie mam dziadków.

— To szkoda. Ale rodzice żyją?

— Tak.

— A wasz ojciec był na froncie w czternastym roku?

— Był.

— I też może otrzymał Żelazny Krzyż?

— Nie, nie otrzymał.

„Gdzież by go miał otrzymać? We francuskiej niewoli?” — pomyślał Dolas.

— Ale na pewno chciał. Tym bardziej będzie mu przyjemnie, że jego syn został odznaczony Żelaznym Krzyżem. Będzie dumny, gdy wyjdzie z wami na ulicę i wszyscy znajomi będą się za wami oglądać. Nie pomyśleliście o tym? Musicie jechać na urlop.

— Jawohl — odpowiedział służbiście Dolas.

Wykonał w tył zwrot i opuścił kwaterę dowódcy pułku, omal nie przewracając się na drewnianym progu chałupy.

Rozdział XV

w którym Dolas dostaje się w ręce partyzantów

Na niedużej przyfrontowej stacyjce stała spora grupka urlopowiczów oczekujących na pociąg. Najważniejsze czynności: odwszawianie i obdarowywanie paczkami, mieli już poza sobą. Czynność pierwsza miała zapobiec przenoszeniu się robactwa do wielko-niemieckiej Rzeszy, druga zaś miała świadczyć o dobrobycie panującym na froncie.

Wśród urlopowiczów przeważali rekonwalescenci oraz łaziki, którzy urlopy otrzymali dzięki koneksjom w dowództwie.

Gefrajter Dolas, spacerujący po peronie z paczką pod pachą, budził ogólne zainteresowanie.

— Dostał Krzyż, to i urlop mu zafundowali — wyjaśnił jeden z połamańców. *t* Nadjechał pociąg. Urlopowicze sprawnie pozajmowali miejsca. Po dość długim postoju pociąg ruszył na zachód.

Żołnierzom rozwiązywały się języki. Jedni narzekali na bombardowania, inni na wojnę w ogóle. Dolas zajął miejsce w kącie i zamartwiał się, jak się pokaże na ulicy rodzinnego miasta w niemieckim mundurze.

W przedziale było duszno i ciemno od tytoniowego dymu. Po paru godzinach szybkiej jazdy wjechali na okupowane polskie tereny. Mijali liczne transporty jadące na front. Stacje wypełnione były żołnierzami. Zapadła noc. Czterech piechurów grało w karty, reszta drzemała. Dolas siedział przy drzwiach.

„Jeżeli pies urodził się w stajni — rozmyślał — nikt nie każe mu być koniem i chodzić w zaprzęgu, natomiast ja, ponieważ urodziłem się na Śląsku, muszę być Niemcem. Bo tak się przywidziało paru głupcom! W dodatku robią ze mnie bohatera. A może by tak zdjąć ten Krzyż i wyrzucić przez okno?”

Postanowił przespacerować się po korytarzu pulmana. Wstał i w tym momencie poczuł wstrząs tak gwałtowny, że przewrócił się na grających w karty. Poczuł, że wagon sunie po nierównościach podskakując, jak gdyby dostał czkawki. Jeszcze jedno przyhamowanie i pulman zaczął się przewracać. Towarzyszyły temu głucho detonacje, dobiegające od strony

parowozu.

„Katastrofa” — przeszło przez myśl Dolasowi.

Nie miał czasu dalej się zastanawiać, gdyż wagon przyjął zgoła fantastyczną pozycję, a pasażerowie leżeli skotłowani na ścianie. Na głowy i plecy posypały się paczki z darami, plecaki i broń. Wśród krzyków i jęków Dolas usiłował wygramolić się na wierzch ludzkiej piramidy. Gdy mu się to udało, wyczołgał się na korytarz. Przez wybitą szybę wysunął głowę na zewnątrz. Wagon leżał na boku, przed nim wyrosła góra spiętrzonych wagonów, przykrywająca parowóz, z którego z głośnym sykiem uchodziły obłoki pary. Z lasu przy torze dochodziło ujadanie karabinów maszynowych. Dolas wyskoczył przez okno na tor i skierował się w stronę tylnych wagonów. Strzelanina wzmagająca się. Paru oficerów usiłowało zorganizować obronę. Z nie wykolejonych wagonów ostrzeliwano się. Tak! To nie była zwykła katastrofa, to partyzanci wysadzili ich pociąg. „W lesie są nasi, więc nie ma na co czekać...”

Zbiegł z niewysokiego nasypu do rowu. Na skarpie układali się niemieccy piechurzy, prażąc w stronę lasu.

„Tędy nie przedostaną się. Albo wykończą mnie Niemcy za próbę ucieczki, albo nasi — wzięwszy za wroga”.

Przeczołgał się z powrotem na tor. Jakiś oficer wystrzelił raketę. Zrobiło się jasno, ale to pomogło tylko partyzantom, którzy ukryci w lesie walili teraz do Niemców jak do kaczek. Dolas przywarł do ściany przewróconego wagonu. W środku ktoś wzywał pomocy. Gdy rakietę zgasła, pobiegł w stronę ostatniego wagonu. Tu natknął się na jakiegoś majora.

— Dlaczego się szwendasz? Gdzie masz karabin? I to ma być grefajter odznaczony Żelaznym Krzyżem!

Nagle major zamilkł, zachwiał się i padł na tor. Dolas przeskoczył trupa i puścił się biegiem. Z obu stron częstowano się coraz gęstszym ogniem.

Ubiegłszy około stu metrów usłyszał wołanie:

— Halt! Hände hoch!

„Czyżby tu byli Niemcy?”

Nie. Był to oddział partyzancki ubezpieczający akcję.

— Na ziemię — rozkazał jeden z partyzantów po stwierdzeniu, że jeniec nie posiada broni.

Dolas położył się posłusznie na wilgotnej trawie. Strzelanina potęgowała się. Zewsząd dobiegały wrzaski Niemców. Nagle powietrze przeszyły gwizdy.

— Koniec akcji — powiedział ktoś. — Odwrót.

— A co zrobić z tym facetem?

— Zabierzcie mnie z sobą — zaproponował Dolas.

— Skąd umiesz po polsku?

— Jestem Polakiem.

— Polakiem? W niemieckim mundurze? I w dodatku z Żelaznym Krzyżem? No, wstawaj!

Dolas podniósł się, poprawił okulary.

— Po co go ciągnąć?

— Nie gadać! Może się przydać!

Ruszyli. Nieduża grupa partyzantów, a wśród nich gefrajter, czyli kanonier Dolas. Przebiegli niewielkie karczowisko i znaleźli się w lesie. Szybko maszerowali leśną przesieką.

— Prędkiej! prędkiej! — przynaglał dowódca.

Zatrzymali się nasłuchując. Odgłosy walki dawno już umilkły. Partyzanci odetchnęli.

— Można zapalić?

— Poczekajcie.

Wydostali się na polanę. Z przeciwnej strony zbliżał się spory oddział. Dolas usłyszał, że ktoś pyta o Juhasa.

— Jest! Jakie straty? — padło w ciemności pytanie.

— U nas nic. A u was?

— Mamy. Dwóch rannych. Zaginął Stach, obawiam się, czy nie oberwał w czasie strzelaniny. A cóż to za facet w nocniku?

— Wzięliśmy jeńca. Uciekł z transportu i wpadł nam w ręce. Twierdzi, że jest Polakiem...

— Tak — wtrącił się Dolas — jestem Polakiem. Do Wehrmachtu dostałem się przypadkiem.

— Nie gadaj za dużo, bo dostaniesz w ryja. Potem się będziesz tłumaczył. Dolas nie chciał dostać w ryja, więc zamilkł czekając, co będzie dalej. Ostatecznie chyba pozwolą mu wszystko wyjaśnić.

— Gdzie jest Kruk?

— Poszedł z patrolem przez Adamowo. Dołączy do nas za godzinę. No, to ruszajmy. A ty nie próbuj uciekać, bo popamiętasz!

— Ja naprawdę...

— Powiedziałem, stul pysk!

Maszerowali szerokim leśnym traktem. Partyzanci półszepem omawiali wyniki akcji.

Dolas wywnioskował, że byli zadowoleni. Parę razy zatrzymali się. Wokół panowała cisza. Wyszli z lasu i skręcili na polną drogę. Zrobiło się szaro. Mijali jakąś wieś. Dobiegało ich ujadanie psów. Potem znów skręcili i maszerowali przez las. Znaleźli się w jakiejś podmokłej dolinie. Słońce zaczynało wschodzić, podniosła się gęsta poranna mgła. Leśnymi ostępami dobrnęli do dużej polany i tu zarządzono postój. Mgła nieco zrzędła i Dolas wreszcie mógł się przyjrzeć partyzantom. Byli młodzi, przeważnie w wieku około 20 lat różnie ubrani. Niektórzy mieli polskie mundury i polowe rogatywki, inni pasy wojskowe i opaski na rękawach, kilku nosiło niemieckie sorty mundurowe. Uzbrojeni natomiast byli dobrze i jednolicie. Każdy posiadał karabin lub pistolet maszynowy uzbrojenie uzupełniały granaty.

„Gdyby starszy ogniomistrz Kaczmarczyk ze Szkoły Podchorążych zobaczył taki oddział wojskowy, to na pewno by zemdłał. Boże Świąty! Żołnierze w cywilnych łachach. Żaden z nich nie pręży się przed dowódcą, a możliwe, że nie umieją nawet układać kostek i słać przepisowo łóżka, tak aby koce miały kanty ostre jak brzytwa”.

Usiadł pod drzewem, przyglądając się polanie. Było to prawdziwe leśne obozowisko: kilka ziemianek, kuchnie, wozy taborowe, konie. Nie brakowało nawet lekarza opatrującego właśnie rannych. W kuchni wydawano śniadanie — smakowity krupnik na mięsie. Jeniec otrzymał należną mu porcję. Kilku partyzantów, zaciekawionych widokiem niemieckiego żołnierza, podeszło, przyglądając mu się z bliska.

— Jak myślisz, dowódca każe go powiesić czy rozstrzelać? — zadał jeden z nich rzeczowe pytanie.

— Myślę, że powinien rozstrzelać, zawsze to jednak żołnierz.

— Ale zdrajca! Szkoda amunicji. Za dużo jej mamy?

— Pewnie. Wziąć gościa za dupę i powiesić na najbliższej sośnie. Choćby na tej, pod którą siedzi.

— Przestańcie gadać głupstwa — wtrącił partyzant w futrzanej czapie. — Będzie tak, jak zadecyduje dowódca. Jeżeli szkop jest niewinny, nic mu się nie stanie. Dowódca sam go przesłucha i poweźmie decyzję.

Dolasowi zrobiło się nieco lżej. Dowódca zjawił się w oddzielę dopiero po południu. Jenca nie kazał ani powiesić, ani rozstrzelać. Przeciwnie, bardzo się ucieszył na widok Dolasa. Owym dowódcą okazał się bowiem Lanckoroński. Wbrew ponurym przewidywaniom! wysiłkom kapitana Lasockiego skończył podchorążówkę, odbył kampanię wrześniową i szczęśliwie uniknął niewoli. Niewiele to jednak pomogło. Z powodu „niaryjskiego” pochodzenia musiał się ukrywać, aż wreszcie uciekł do lasu. Od roku w stopniu porucznika, pod pseudonimem „Kruk”, dowodził leśnym oddziałem.

— I co zamierzasz teraz robić? — zapytał Dolasa, gdy ten złożył obszerne sprawozdanie ze swych przygód od momentu, gdy się rozstali w bramie podchorążówki.

— Zostaję u was. Cóż mam robić? Wojna trwa.

Nad wieczorem gefrajter przedzierzgnął się w nową skórę. Z dawnego Dolasa pozostały tylko na nosie okulary w złotej oprawce.

Mundur grefrajtra Wehrmachtu wraz z Żelaznym Krzyżem zakopano starannie pod sosną.

Rozdział XVI

w którym partyzant Wrona spisuje się „na medal”

Lipcowa noc była parna i ciepła. W pobliskim bajorze rechotały żaby. Dolas leżał w rowie obok Lanckorońskiego. Miał za sobą cztery miesiące twardej służby w partyzantce. Czuł się tu jednak nadspodziewanie dobrze. Atmosfera lasu i pewna romantyka tułaczego życia pociągały go. Brał udział w akcjach bojowych i — o dziwo! — żadnej nie nawalił. Wszyscy byli z niego zadowoleni, przydzielenia Dolasa do wspólnej akcji nie uważano za dopust boży. Nieraz zastanawiał się, dlaczego nastąpiła taka zmiana? Jak to się stało? Szybko znalazł na to odpowiedź: wokoło czuł życzliwą, koleżeńską atmosferę. Nikt nie zgłaszał pod jego adresem ustawicznych pretensji, że ma w sobie więcej z króla Stasia niż z Napoleona. Może więcej tu było takich?

Jednocześnie przekonał się, że Lanckoroński to urodzony dowódca, obdarzony sprytem i inteligencją. Sporym oddziałem partyzanckim dowodził w sposób istic mistrzowski. Potrafił uderzać w Niemców mocno i niespodziewanie. Nie wdawał się w bitwy i zawile operacje. Zaskakiwał wroga tam, gdzie się tego najmniej spodziewano. W krótkich zdecydowanych akcjach zadawał mu straty i znikał. Nieraz oddział, tropiony przez Niemców, dosłownie rozplątywał się w terenie, aby po paru dniach znów zebrać się i być gotowym do dalszej akcji.

Tej nocy oddział Kruka ubezpieczał rejon zrzutów. Minęła już godzina lub dwie, jak zajęli swe stanowiska.

Od wschodu dobiegało słabe brzęczenie. Znali je dobrze. Nadlatywały kukuruźniki. Oddział zapalił światła. Samoloty z przymkniętymi silnikami nadlatywały nad wytyczony teren, zrzucając drogocenny ładunek — broń, amunicję, leki. Wokoło panowała cisza. Nie wiadomo, czy Niemcy nic nie widzieli czy też woleli nie wiedzieć. Ostatni samolot zrzucił ładunek, okrążył teren na małej wysokości i terkocząc silnikiem — odleciał.

Wygaszano ogniska. Oddział Kruka jeszcze przez godzinę osłaniał zrzutowisko od strony miasteczka, w którym kwaterował hitlerowski garnizon, po czym dowódca zarządził zbiórkę. Dzisiejszej nocy mieli wykonać jeszcze jedno zadanie.

— Trzeba zlikwidować posterunek granatowej policji w Adamowie — objaśnił Kruk. — Policjanci zbyt gorliwie wysługują się Niemcom. Nie wolno nam jednak urządzać samosądów, wymiarem sprawiedliwości zajmą się po wojnie władze polskie. My mamy zniszczyć akta posterunku, a policjantów ukarać po ojcowsku: rozebrać do gaci i wygnać do miasta. Naturalnie Jeżeli nie będą się bronili. W przeciwnym wypadku sami na siebie wydadzą wyrok. Nie możemy się z nimi za długo bawić. Powinno wystarczyć jedno zdecydowane uderzenie.

Zostawiwszy dla osłony akcji od wschodu wydzielony oddział pod dowództwem Juhasa, reszta partyzantów Kruka pomaszerowała w stronę Adamowa.

Do wsi dotarli, gdy niebo na wschodzie zaczynało się już rozjaśniać. Na skraju Adamowa Kruk znów zostawił trzech partyzantów pod dowództwem Wrony vel Dolasa z zadaniem utrzymywania łączności z oddziałem Juhasa i obserwacji kierunku wschodniego. Kruk mógł sobie pozwolić na tego rodzaju rozdrabnianie sił, przewagę bowiem, i to dość znaczną, mieli partyzanci. Poza tym nie liczone się z możliwością stawiania oporu przez policjantów.

Oddział zniknął między zabudowaniami, a Wrona, rozłożywszy się pod drzewem, oczekiwał na rozwój wypadków. Zaczynało szarzeć. W najbliższym obejściu otworzyły się drzwi i ukazał się starszy wiekiem mężczyzna. Przyjrzał się uważnie partyzantom Wrony. Nie było wątpliwości, że orientuje się, kim są.

— Niepotrzebnie się tu pętacie — powiedział podchodząc. We wsi są Niemcy.

— Gdzie? Ilu ich jest?

— Na posterunku policji. Około dziesięciu, przyjechali wczoraj wieczorem samochodem pancernym.

Wiadomość ta zaskoczyła partyzantów. Obecności Niemców nikt nie przewidywał. Może to być przykrą niespodzianką dla atakujących. W dodatku ten samochód pancerny! Dolas pojął, że należy natychmiast podjąć jakąś decyzję. Samo zawiadomienie Kruka nie wystarczy.

— Felek, goń do Kruka i powiedz mu o Niemcach. Może ich nie zauważyc i zaatakować posterunek. A ja pędzę do Juhasa i ściągnę go do Adamowa. Powtórz to Krukowi. Niech on dalej decyduje. Ojciec, macie konia? — zwrócił się do gospodarza.

— Ano mam starą kobyłę.

— To dawajcie ją. Piorunem!

Po kilku minutach pędził na oklep w stronę oddziału Juhasa. Siedział na koniu zgarbiony, z odstającymi kolanami, ze śmiesznie zadartymi piętami, jednym słowem, jak przysłowiowa oferma. Teraz nie było to jednak ważne. Już dziesięć minut pędził dorożkarskim galopem, zaraz powinien spotkać oddział. Na drodze jednakże nikogo nie było. Pojechał do jaru. W lewo biegła wąska, kręta droga, paręset metrów dalej znajdował się stary, drewniany młyn wodny. Zwolnił nieco postanawiając skrócić w stronę młyna. Zawsze zaopatrywali się tam w mąkę, może młynarz widział Juhasa? Gdy miał skrócić, z wysokiego brzegu jaru padło kilka strzałów. Kule gwizdnęły mu koło uszu. „Czyżby tam byli Niemcy? Gdzie wobec tego jest Juhas?”

Po drugiej stronie zobaczył postacie w zielonych mundurach. Znów ktoś strzelił w jego kierunku. To nie mogli być jednak Niemcy. Jednocześnie usłyszał głośny gwizd dobiegający ze strony młyna. Odwrócił się, poznał Jasnego z grupy Juhasa. Tajemnicze postacie na drugim brzegu wycofały się w stronę lasu.

— Co wy tu robicie? I gdzie jest reszta oddziału? — zapytał Dolas.

— Mniej więcej pół godziny temu, gdy zajmowaliśmy stanowiska na brzegu jaru, zjawił się jakiś partyzant rzekomo z oddziału Dzika. Dzik zauważył niemiecką kompanię piechoty, maszerującą z Grzybowa do Adamowa. Nie ulegało wątpliwości, że gdy wejdą do wsi, to niespodziewanie zaatakują Kruka. Juhas, niewiele się zastanawiając, ruszył z całym oddziałem w stronę traktu Adamowo--Grzybowo, aby odciągnąć uwagę Niemców. A ja miałem zawiadomić o tym Kruka. Poszedłem do młynarza, aby pożyczyć od niego rower. A tu jak na złość nie ma ani młynarza, ani roweru. W dodatku ostrzeliwują nas z tamtego brzegu. Sam nie wiem, co robić.

Jakby w odpowiedzi z kierunku Adamowa rozległa się gwałtowna strzelanina. A więc Kruk zaatakował posterunek policji! Dolas pojął powagę sytuacji. Kruk przekonany, że lada moment zjawi się Juhas, śmiało atakuje Niemców, coraz bardziej wiążąc się w walce. Jeżeli Dolas nawet pogalopuje teraz za oddziałem Juhasa, to w Adamowie zjawi się on nie wcześniej, jak za godzinę. Kto wie co może się stać w ciągu tego czasu. Z drugiej strony jaru znów padło kilka strzałów. Czyżby i tam byli Niemcy? Groziło to zupełnym rozbiciem oddziału.

Dolas wgramolił się na kobyłę, objechał młyn, stawy, potem groblę i mostkiem przedostał się na drugi brzeg. Wąską, kręta drogą wyjechał na pole. W odległości około pół kilometra maszerował równoległe do jaru spory oddział partyzancki. Dolas pogalopował w tamtą stronę, machając z daleka rękami. Podjechawszy poznał, że to oddział Dzika. Dowódca

był na miejscu. Dolas objaśnił mu całą sytuację. Dzik natychmiast wydał rozkaz marszu na Adamowo.

Tajemniczy strzelcy z wysokiego brzegu jaru zniknęli jak kamień w wodzie. Dzik zabrał po drodze Jasnego z jego ludźmi, po czym ruszyli szybko w stronę Adamowa.

Oddział Kruka tymczasem maszerował piaszczystym traktem, wiodącym przez środek długiej, rozciągniętej wsi. Potem skręcił w lewo i wąską drogą polną biegnącą jarem, obszedł wieś z zachodu. Droga prowadziła do sporego rynku w centrum wsi. Na wprost stał kościół, z prawej strony znajdowała się gmina i kilka sklepów, po lewej spory drewniany budynek, w którym się mieścił posterunek policji. Posterunek otoczony był płotem z kolczastego drutu, okna piwniczne były przerobione na strzelnice. Z tyłu znajdowało się podwórze z zabudowaniami gospodarczymi, a pomiędzy nimi mały drewniany schron z cekaemem. Za podwórzem rozciągało się gładkie, równe pole, a w odległości około 200 metrów biegł mur cmentarza. Z informacji uzyskanych przez wywiad wynikało, że granatowi policjanci najbardziej obawiali się napaści od strony cmentarza. Kruk był więc zdecydowany uderzyć na nich od strony rynku. Nie dochodząc do rynku Kruk zatrzymał oddział. Partyzanci ukryli się między zabudowaniami. Przed uderzeniem Kruk postanowił przeprowadzić jeszcze dodatkowe rozpoznanie. Wtedy to dogonił go Feluś meldując o obecności Niemców.

— Tegom się nie spodziewałam... — mruknął Kruk. — Felek — powiedział po chwili namysłu — przedostaniesz się od tyłu na cmentarz. Stamtąd staraj się rozpoznać, co się dzieje na podwórze. Najważniejsze: gdzie się znajduje samochód pancerny i jaki to typ.

— Tak jest — odpowiedział Feluś znikając między zabudowaniami.

Felek był w cywilu kierowcą samochodowym, a w czasie kampanii wrześniowej służył na froncie w broni pancernej. Słusznie więc uchodził w oddziale za specja od spraw motoryzacyjnych. Wrócił po dwudziestu minutach, meldując, że samochód pancerny stoi na podwórze. Jest to wóz starego typu, używany wyłącznie przez policję. Na posterunku i w sąsiednich zabudowaniach panuje cisza.

Robiło się już jasno. Nie można było dłużej czekać. Kruk zdecydował się uderzyć od strony rynku. Liczył, że Niemcy wyjadą pancerką przed posterunek, a wówczas wycofa się na drogę, którą tu przybył. Możliwe, że pancerką ruszy za nimi. Wtedy na wąskiej drodze biegnącej jarem zorganizuje zasadzkę, niszcząc wóz pancerny granatami. Jeżeli Niemcy nie wjadą na drogę — zrezygnuje z dalszej walki i wycofa się. Chyba że w tym czasie nadciągnie reszta oddziału i uderzy na posterunek od strony cmentarza. Felusia wysłał z powrotem na skraj wsi, polecając skierować grupę Juhasa na cmentarz.

Odczekał jeszcze dziesięć minut, sprawdził przygotowanie oddziału i zaznajomiwszy

partyzantów z nową sytuacją bojową, wydał rozkaz przystąpienia do akcji.

Partyzanci sprawnie, bezszelestnie przesuwali się wzdłuż zabudowań. Wszyscy byli doświadczonymi żołnierzami. Każdy z nich miał na swym koncie niejedną bojową akcję. Wysadzali w powietrze wojskowe transporty, niszczyli drogi i mosty, atakowali mniejsze oddziały Wehrmachtu i policji, dawali nauczkę kolaborantom, ochraniali ludność przed okrucieństwami hitlerowców. W oddziale Kruka byli żołnierze z kampanii wrześniowej i zupełnie młodzi chłopcy, byli zbiegowie z obozów jenieckich i kilku partyzantów radzieckich. Wszystkich cechowała żądza walki z okupantem. Wiadomość, że na posterunku są Niemcy, zelektryzowała ich. A więc przeciwnikami ich będą nie tylko pogardzani granatowi policjanci, ale i znienawidzeni hitlerowscy żandarmi. Oddział dotarł do ostatnich zabudowań. Od posterunku dzieliło ich nie więcej jak 50 metrów.

Kruk oparł pistolet maszynowy o płot, złożył się i nacisnął spust. Krótka seria przecięła ciszę lipcowego świtu. Było to hasłem do otwarcia ognia. Partyzanci bili po ścianach, po dachach i w okna budynku.

— Przerwij ogień! — padła komenda.

Gdyby nie wiadomość o pancerce, ruszyliby teraz do szturm, usiłowałiby gwałtownym uderzeniem, wspartym ogniem pistoletów i granatów, zmusić policjantów do uległości. Na posterunku panowała chwilowo cisza, po czym zaterkotał cekaem. Widzieli w jednym z piwnicznych okienek krótkie, migotliwe błyski. Wycofali się za węgły budynków. Nieprzyjacielski cekaem umilkł, a zza budynku powoli wysunął się samochód pancerny. Minął bramę i zatrzymał się, jakby szukając celu dla swych cekaemów.

— Odwrót! odwrót! — poszło po linii partyzantów.

Sprawnie i szybko, niczym najlepiej wyszkolona piechota, wycofywali się na drogę, którą przyszli. Nie uszło to uwagi załogi pancernki. Wóz ruszył powoli do przodu, zajazgotwały cekaemy. Pluły setkami pocisków, bijąc w domy, ogrody, a nawet w wieżę kościelną. Partyzanci byli już na wąskiej drodze wiejskiej. Pancernka dojechała do środka rynku i znów się zatrzymała. Dalej hitlerowcy nie mieli zamiaru jechać. Czuli wyraźny respekt przed „polskimi bandytami”, którymi rzekomo pogardzali. Tyły pancernki ubezpieczał cekaem z posterunku, oddający od czasu do czasu długą serię. Kruk z kilkoma partyzantami dotarł do wylotu drogi. Krótkimi seriami zza węgła domu ostrzelali samochód. Nic z tego, pancernka ani drgnęła. Cofnęli się więc z całym oddziałem w głąb wsi.

— Nie udało się! — zaklął Kruk. — Ale dlaczego nie ma jeszcze Juhasa?,

Spojrzał na zegarek. Już ponad 40 minut cackają się z Niemcami. Najwyższy czas albo zakończyć akcję, albo wycofać się. Przeciągająca się walka może spowodować nadejście

niemieckich posiłków.

W tym momencie na tyłach posterunku rozległa się gwałtowna i zjadła strzelanina: Juhas zaatakował Niemców od strony cmentarza. Nareszcie!

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznym tempem. Niemcy doszli prawdopodobnie do wniosku, że atak od strony rynku był pozorowany, a główne uderzenie nastąpiło od strony cmentarza. Wokół posterunku pojawiły się sylwetki w hitlerowskich hełmach. Rozległy się chrapliwe niemieckie komendy. Pancerka, ostrzeliwując się, cofała się w stronę posterunku, prawdopodobnie po to, aby ogniem cekaemów wesprzeć kamratów atakowanych od strony cmentarza. Tymczasem partyzanci Dzika, ukryci w kartoflisku, prażyli ogniem automatów budynki gospodarcze znajdujące się na podwórzu. Skutek był zgołą nieprzewidziany: zapaliła się kopa wysuszonego siana, a od niej strzechy budynków gospodarczych. Poranny wiaterek sprzyjał partyzanckiej akcji. Wśród kłębow dymu i buchających w niebo płomieni, prażeni ogniem partyzanckich automatów i karabinów, Niemcy i granatowi policjanci, pod osłoną nieustannie strzelającej pancerki, rozpoczęli odwrót.

Ludzie Dzika opanowali posterunek, a Kruk obsadził rynek, strzelając do wycofujących się hitlerowców.

Wydawało się, że zadanie zostanie wykonane tylko częściowo, że ulegnie zniszczeniu posterunek, ale granatowi policjanci i ich opiekunowie ujdą cało. Szczęście jednakże tego dnia nie opuszczało partyzantów. Przy wyjeździe z Adamowa zarwał się pod pancerka mostek na trakcie. Reszty dokonały granaty. Po niespełna pół godzinie akcja była zakończona. Oddział Schutzpolizei wraz z samochodem pancernym został całkowicie zniszczony, a granatowi policjanci poddali się.

Dopiero wówczas Kruk dowiedział się, że z pomocą przyszedł mu oddział Dzika. Na razie jednak nie było czasu na dociekanie, co i jak się stało. Był natomiast najwyższy czas, by rozpocząć odwrót. Lada moment z miasteczka mogły nadciągnąć liczniejsze oddziały hitlerowców.

Noc i następny dzień spędzili partyzanci w lesie, a wieczorem zakwaterowali się w pobliskiej wiosce. Ludność, jak zawsze, witała ich serdecznie i gościnnie.

Kruk zarządził odprawę dowódców plutonów.

— Zbliży się front — zaczął — a z nim wyzwolenie. Z armią radziecką maszerują regularne polskie dywizje. Może już są na ziemiach polskich. W związku z tym i nasze zadania ulegają zmianie. Obecnie głównym celem będzie uniemożliwić Niemcom przeprowadzenie w czasie odwrotu zniszczeń. Potem musimy przeczekać, póki się front nie przesunie, i połączyć się z Wojskiem Polskim, a dalej już jako żołnierze regularnej armii

pójdziemy na zachód.

— Do Berlina? — zapytał jeden z dowódców plutonu.

— Może nawet do Berlina! Kto wie! Proszę to powtórzyć żołnierzom, aby zdawali sobie sprawę z obecnej sytuacji. Niezależnie od tego musimy być przygotowani, że w momencie przesuwania się frontu różne elementy, tak jak dwa dni temu, będą usiłowały się zamieszać i łapać ryby w mętnej wodzie. Musimy się temu przeciwstawić z całą siłą. To też trzeba żołnierzom powiedzieć.

Na zakończenie Kruk podał ostatnie wiadomości wojskowe i polityczne.

Rozdział XVII

w którym Dolas otrzymuje do wykonania ważną misję

Nazajutrz oddział przesunął się w pobliże miasteczka. Zakwaterowano się częściowo w wiosce, a częściowo w lesie. Po południu wrócił z miasteczka patrol. Niemcy już uciekli. Nie ma żadnej władzy okupacyjnej. Powstawały natomiast tymczasowe władze polskie. Na ratuszu powiewała biało-czerwona flaga. Partyzantów ogarnął szal radości. Lada chwila spodziewano się wkroczenia wojsk radzieckich i polskich.

Wieczorem Dolas został wezwany przez dowódcę do jego kwatery w leśniczówce.

Słońce zaszło już za widnokrąg. Ze wschodu dolatywało dalekie dudnienie artylerii. Dolas minął groblę i skręcił w stronę widocznych z dala zabudowań. W pokoju leśniczego zastał Kruka, dwóch nie znanych mu partyzantów oraz pułkownika Wojska Polskiego w polowym mundurze i oficera radzieckiego. Zdziwiony przyglądał się niecodziennym gościom. Nad wieczorem rozeszła się wiadomość o lądowaniu radzieckiego samolotu. Sądził, że to plotka, ale obecność obu oficerów wskazywała na prawdziwość tej wieści.

— To jest towarzysz Wrona — przedstawił Kruk. Obecni w milczeniu uścisnęli Dolasowi rękę.

— Siadaj, wyjaśnię, o co chodzi.

Dolas zajął miejsce na taborecie przy stole. Podpułkownik poczęstował go papierosem, przyglądając mu się uważnie.

— Dziękuję, nie palę,

— Pojedziesz — zaczął Kruk — do Warszawy, a właściwie do jednej z podwarszawskich miejscowości, z bardzo ważnym pismem. Zgłosisz się do warsztatu blacharskiego przy ulicy Kościelnej 3. Zapytasz o pana Romana, a gdy powiedzą ci, że pan Roman jest

chory, przeprosisz i wyjdiesz. Zjawisz się na drugi dzień. Gdy usłyszysz pytanie, o którego pana Romana chodzi, powiesz, że o tego, który przed wojną pracował w Gdyni. Wtedy poproszą cię do mieszkania i usłyszysz pytanie: „Czy pan jest kuzynem pani Noskowej?” „Nie — odpowiesz. — Jestem kuzynem pana Noska”. Po tych ceregielach będziesz mógł już śmiało rozmawiać. A teraz powtórz to wszystko, bo naturalnie nic zapisywać nie możesz, musisz to wykuć na pamięć.

Egzamin wypadł pomyślnie i Dolas dowiedział się innych szczegółów.

— Czy wrócisz do oddziału, nie wiem. Raczej nie. Należy bowiem liczyć się, że w tym czasie front się przesunie i my będziemy po drugiej stronie. W tym wypadku gdzieś się zadekujesz a po wyzwoleniu zgłosisz się do najbliższej komendy wojskowej.

— Chciałem jeszcze dodać — wtrącił podpułkownik — że wczoraj został oswobodzony Lublin i powstała tam pierwsza nasza władza: Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

Dolas był bardzo przejęty tym co usłyszał, ale zastanawiał się, dlaczego Lanckoroński wyznaczył właśnie jego do tak poważnej funkcji. Już raz tak było, że powierzono mu wykonanie ważnego zadania w Afryce. I co się stało? Lepiej nie mówić. Ale Lanckoroński zna jego przygody w Afryce, jeżeli pomimo to wyznaczył go na ten wyjazd, to musiał mieć jakieś swoje powody.

— Chyba on w takim stroju nie pojedzie — wtrącił oficer radziecki.

— Naturalnie! Toż od niego na kilometr pachnie lasem. Sprawę ubrania i dowodów osobistych załatwimy jutro. Na razie wracaj do siebie i przemyśl gruntownie to oczekujące cię zadanie. Zadanie niesłychanie ważne!

Nazajutrz Dolas, siedząc pod wiatrakami, po raz setny zastanawiał się nad otrzymanym poleceniem. Pojechać; oddać raport — to niby bardzo proste. Nietrudne też może być dotarcie do Warszawy. Ale jak wrócić do oddziału? To nie było takie proste.

Na miedzy ukazał się Kruk, podszedł do Dolasa i rozłożył się na trawie. Chwilę panowało milczenie, potem dowódca sięgnął do kieszeni i wyciągnął tubkę pasty do zębów.

— To masz oddać panu Romanowi. Chyba nie potrzebuję ci wyjaśniać że jej zawartość w żadnym wypadku nie może się dostać w ręce Niemców. Wystarałem się dla ciebie o kennkartę. Na razie tubkę zostawiam u siebie. Oddam ci ją w chwili wyjazdu.

— A co z ubraniem?

— Myślałem o tym. We wsi nikt nie posiada odpowiedniego. Pójdiesz do tak zwanego pałacu — tego dworku po drugiej stronie rzeczki. Chyba znajdziesz tam coś. Naturalnie zapłacisz panu dziedzicowi. — Kruk wyciągnął z kieszeni plik góralski. — Aby nie było podejrzeń, pójdą z tobą Feluś, Jasny i Rudy, by przy okazji zarekwirować nieco furaju.

Wyciągnął papierosa, zapalił, zaciągnął się.

— No, jak tam? Przemyślałeś zadanie?

— Tak. Ale przyznam się, że nie bardzo rozumiem, dlaczego właśnie mnie wyznaczasz do tej misji?

— Spodziewałem się tego pytania. Mógłbym po prostu odpowiedzieć, że jesteś jedynym żołnierzem w oddziale, który dobrze zna Warszawę. Poza tym znasz język niemiecki. Ale to nie byłaby odpowiedź wyczerpująca.

— A jaka byłaby wyczerpująca? — zapytał Dolas.

— Musimy wrócić do naszej pierwszej rozmowy, gdy spotkałem cię w lesie. Dość długo relacjonowałeś swoje przygody, a mnie brała cholera.

— Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem.

— Właśnie dlatego, że nic nie zrobiłeś. Wyrzucili cię z podchorążówki Ostatecznie każdemu może się to zdarzyć. Trafiasz do pułku, robią tam z ciebie analfabetę i pucybuta. A ty nic. Najmniejszym słowem nie protestujesz. Dlaczego? Nie jesteś przecież matołkowatym Szwejkem. Nie przejawiasz żadnej inicjatywy. Dajesz się unosić prądowi. Dalsze wypadki są konsekwencją tego stanowiska, przy niebywałym szczęściu, którego nie potrafisz wykorzystać. Bo jednak jesteś szczęściarz. Mogłeś zginąć w czasie natarcia czołgów na waszą baterię. Nie zginąłeś. Dostałeś się do niewoli w czasie kampanii wrześniowej, tak jak kilkaset tysięcy polskich żołnierzy. Tysiące z nich usiłowało uciekać. Bardzo niewielu to się udało. I to przy jakich trudach, przy jakim ryzyku! A ty? Nie uciekałeś, a wydostałeś się przypadkowo. Mogłeś utonąć w Morzu Śródziemnym. Nie utonąłeś — znalazłeś się w Legii Cudzoziemskiej. Też przez przypadek. Znow nic nie robisz, aby się z niej wydostać. A wydostajesz się bez najmniejszego udziału ze swojej strony. Bo konsekwentnie płyniesz z prądem. Zostajesz wyznaczony do wypadu na tyły armii włoskiej — wiesz, że nie masz doświadczenia. Nie mówisz tego. Bo się wstydzisz i wolisz dalej płynąć. Dalszą konsekwencją jest włoska niewola. Powiedzmy, że istotnie nie mogłeś opuścić włoskiego statku sanitarnego i lądujesz we Florencji. Tam hitlerowcy aresztują twego opiekuna doktora Giovanniego. A mnie brała cholera, gdy to opowiadałeś. Bo zastanów się: na co ty czekałeś we Florencji? Toż ty jeden z całego grona jego przyjaciół nie miałeś wątpliwości, że gestapo mu nie daruje. No i tobie też. Miałeś przecież okazję uciekać, ukryć się, diabli wiedzą co zresztą, byle nie czekać biernie na rozwój wypadków. Ty naturalnie czekałeś. Bo masz szczęście. Zamiast do kacetu — co ci się należało zgodnie z hitlerowskim prawodawstwem — trafiasz na front wschodni. Tego było za dużo nawet dla ciebie — tratwy posłusznie dryfującej z prądem. Stajesz okoniem, buntujesz się. Ale energii starcza ci wyłącznie na złe

celowanie do radzieckiego czołgu. Potem znów usiłujesz unosić się z prądem. Czekasz, aż przyjdą Rosjanie. A dlaczego nie idziesz do nich? Nie przyszło ci to do głowy, że w wojnie manewrowej fronty przesuwają się w przód i w tył? Tak się też stało i tym razem. Przyszli hitlerowcy. I gdybym ja pewnego dnia o pewnej godzinie nie zdecydował się zorganizować zamachu na niemiecki pociąg — zajechałbyś w glorii bohatera do Katowic i na pewno nie kiwnąwszy palcem wróciłbyś na Ostfront. A więc przypadek. Trafiasz do mego oddziału. Prawdę mówiąc, nie miałeś wyboru. Chciałem ci wtedy w obozie to wszystko powiedzieć, w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Postanowiłem cię obserwować. Przez cztery miesiące byłeś sumiennym żołnierzem, skrupulatnie wypełniającym swoje obowiązki.

Nic ponadto. Dopiero kilka dni temu pokazałeś, co naprawdę potrafisz. W najbardziej krytycznym momencie nie dałeś się unieść prądowi. Wykazałeś maksimum odwagi, energii i inicjatywy. Uratowałeś sytuację i umożliwiłeś wykonanie zadania. Należą ci się najwyższe słowa uznania, no i ten od dawna obiecywany Krzyż Walecznych.

Lackoroński przerwał tę przydługą tyradę. Zgasił papierosa. Ale widać było, że ma coś jeszcze do powiedzenia. Dolas bezmyślnie kreślił patykiem na piasku esy-floresy.

— Nie uważasz chyba — odezwał się Lanckoroński po chwili milczenia — że po wojnie wrócą do Polski Sławoje Składkowscy. Nowa Polska będzie inna. Ale tę nową Polskę trzeba będzie wywalczyć. Ona z prądem nie przyplynie. Przyszłość należy do ludzi wychodzących naprzeciw wypadkom, naprzeciw historii, a nie biernie poddającym się wypadkom. Jestem przekonany, że wykazana przez ciebie inicjatywa nie jest sporadycznym zrywem. Wierzę, iż nastąpił w tobie przełom. Zrozumiałeś, że w życiu nie można mieć biernej postawy. I dlatego, gdy dwa dni temu dowódca zgrupowania zapytał, czy mam w oddziale odpowiedniego człowieka do wykonania tego zadania, odpowiedziałem, że mam, mając ciebie na myśli. Gdybyś w czasie akcji na Adamowo nie wykazał inicjatywy i energii, odpowiedziałbym, że nie mam. Zadanie jest trudne. Ale teraz wiem, że wykażesz maksimum inicjatywy i energii, aby je wykonać, że w decydujących momentach nie będziesz usiłował płynąć z prądem. To jest ta wyczerpująca odpowiedź. Zrozumiałeś, w czym rzecz?

— Tak.

— To dobrze. Daj grabę! Wracając do twego wyjazdu. Na godzinę dziewiątą zamówiłem podwodę, która cię odwiezie na stację kolejową. Musisz się jednak liczyć, że nie będą już chodziły pociągi lub że nie będziesz mógł dostać się do wagonu. W tym wypadku pojedziesz dalej końmi, może do samej Warszawy.

— Nielicha wycieczka — mruknął Dolas. — A teraz zbieraj ludzi i ruszaj do pałacu.

Dolas objaśnił z kolei Felka, Jasnego i Rudego o zamierzonej wyprawie. Zaopatrzywszy

się w amunicję i wóz taborowy ruszyli do miasteczka. Panował tu dziwny nastrój. Tłumy mieszkańców bez celu przelewały się po brudnych, zaśmieconych uliczkach. Wszyscy na coś oczekiwali. Część sklepów była zamknięta. Na rynku spotkali grupę partyzantów z oddziału Dzika. Podzielili się wiadomościami. Dowódca oddziału poinformował ich, że w pobliżu kręci się oddział NSZ. W mieście nie pokazują się, gdyż się pewnie boją, ale w polu mogą ich zaatakować.

— Niech spróbują — mruknął Feluś.

Wąską uliczką udali się w stronę pałacu. Minęli bożnicę, zamienioną na skład zboża, potem parę domostw, most na anemicznej rzeczce i wyjechali na polną drogę. Do majątku było nie więcej jak pół kilometra. Pomiędzy zabudowaniami kręcili się robotnicy. Ze stodoły dobiegł odgłos pracującej młockarni. Zapytali o dziedzica.

— Pewnie jest w pałacu.

Pałac, a właściwie duży dwór znajdował się w ogrodzie. Przed podjazdem w cieniu drzew stała bryczka, konie skubały trawę. Dolas zostawił partyzantów na ganku, a sam zniknął we dworze. W hallu usłyszał głośną rozmowę, dobiegającą z sąsiedniego pokoju. Stanął w drzwiach. Przy stole siedziało czterech mężczyzn. Na widok uzbrojonego partyzanta jeden z nich wstał i zbliżył się do Dolasa.

— Czym mogę służyć? — zapytał bez entuzjazmu.

— Czy pan jest właścicielem tego majątku?

— Tak.

— Chciałem z panem porozmawiać.

— Proszę do gabinetu.

— Sąsiedzie! To my już odjeżdżamy — odezwał się jeden z gości. Wstali i pożegnawszy się wyszli na ganek. Właściciel majątku zaprosił Dolasa do gabinetu. Siadłszy w głębokim wygodnym fotelu Dolas wyjaśnił cel wizyty.

— Za furaz i żywność płacimy gotówką.

— To drobnostka. Proszę udać się do spichlerza.

Dolas wydał polecenie Felkowi zaopatrzenia się w żywność.

— A do pana mam jeszcze jedną sprawę.

Wrócili do gabinetu. Na ścianach wisiało parę dobrych płócien. Ajważowskiego *Bursa na morzu*, akwarelki Fałata i płótno nieznanego artysty. Pochylił się przyglądając się obrazowi.

— To Żukowski — wyjaśnił gospodarz. — Rosjanin przebywający obecnie w Warszawie, lubię jego pejzaże, choć nie dorównują tamtym. A tu mam Axentowicza.

Wskazał ręką na dwa pastele. Obok obrazu przedstawiającego kobietę o dużych

piwnych oczach stała na półce porcelanowa waza, pokryta pękami róż. Uchwyty tworzyły dwa fantazyjne amorki.

— Gdzie pan to zdobył?

— To kupił mój ojciec przed pierwszą wojną w Niemczech.

— Znam te wazy. Wyrabiała je jedna z fabryk w Saksonii na specjalne zlecenie Hohenzollernów. Gdy Wiluś chciał kogoś wyróżnić, dawał w prezencie taką wazę z własnym portretem w tym oto miejscu. Ale to nie jest dzieło sztuki. Trochę nie pasuje do tych płócien.

— Ma pan zupełną słuszność, ale od biedy może stać przy Żukowskim. A skąd pan się na tym tak dobrze zna?

— To mój zawód. Jestem historykiem sztuki.

— Ach, tak! Pan kończył historię sztuki w Moskwie czy w Leningradzie.

— Nie, w Krakowie. Dlaczego miałbym odbywać studia za granicą?

— W Krakowie? — zdziwił się gospodarz. — Nie spodziewałem się. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

— Pan, zdaje się, miał do mnie jakiś specjalny interes?

— Istotnie. Chciałem od pana kupić ubranie. Porządny letni garnitur. Pan jest mniej więcej mojej tuszy i wzrostu. Płacę gotówką, bo to dla celów służbowych.

— Pokażę panu, co posiadam. Chodźmy na górę.

Wrócili do hallu, a potem drewnianymi, trzeszczącymi schodami weszli na pierwsze piętro. Tam też było coś jakby hall. Pośrodku stał stół, wokół którego spacerowało dwóch modlących się zakonników. Dolas przyglądał się im ciekawie. Gospodarz uchylił jakieś drzwi i zaprosił go do środka. Otworzył szafę pełną ubrań.

— Proszę niech pan wybiera.

— Przepraszam za niedyskretne pytanie. Czy pan ma u siebie klasztor?

— Nie. Przygarnąłem kilku zakonników. Niemcy wypędzili ich z klasztoru i biedacy nie mają gdzie się podziać.

Dolas wybrał jasnoszare ubranie. Przymierzył marynarkę, leżała jak ulał.

— Ile panu płacę?

— Głupstwo. Nie ma o czym mówić. Odda mi je pan przy okazji.

— Nie wiem, czy będę miał okazję.

— To pan nie odda. Muszę panu dodać koszulę, krawat, może buty?

— Dziękuję, buty jakie takie posiadam.

Gospodarz wyciągnął z szafy koszulę, potem krawat, zdjął z szafy niedużą walizkę, otał z kurzu i zaczął pakować ubranie.

— Dam już panu cały komplet. W podróży może się przydać — dodał, jak gdyby domyślając się wszystkiego. Z walizką wrócili do hallu.

— Skoro pan jest historykiem sztuki, chciałbym panu pokazać jeszcze jedną rzecz. Proszę do tego pokoju.

Dolas położył na stole walizkę i zaciekawiony przestąpił próg. Znaleźli się w dużym, jasnym pokoju, z oknami wychodzącymi na podwórze folwarczne. Pośrodku i pod ścianami stały szeregi gablot. Pod szkłem zobaczył jakieś dziwne przyrządy. Nie bardzo mógł się zorientować, co to jest.

— Mój ojciec — objaśnił gospodarz — był z zawodu prawnikiem, a z zamiłowania astronomem. Pasjonował się zbieraniem zegarów słonecznych. To, co pan widzi, to są zegary słoneczne. Zbierał je przez całe życie.

Dolas pochylił się nad pierwszą z brzegu gablotą. Ogarnęło go zdumienie. Nigdy nie przypuszczał, aby tak prosty przyrząd jak zegar słoneczny posiadał tyle odmian i rodzajów. Były to modele dużych zegarów słonecznych, spotykanych w barokowych ogrodach i na murach kościołów, a także dziesiątki małych zegarków kieszonkowych, połączonych z sakiewkami lub tabakierkami. Wykonane były z kości słoniowej, ze srebra lub inkrustowanego drzewa. Ozdabiały je miniatury dam z odkrytymi biustami i panów w perukach. Każdy z tych zegarów był dziełem sztuki

— Ależ to majątek! — zachwycił się Dolas, przechodząc od gabloty do gabloty. — Istne muzeum.

— Mój ojciec, jak mówiłem, z wykształcenia był prawnikiem, ale z zamiłowań kolekcjonerem. Aby mieć spokój osiadł w tej resztówce, w tym domu zwanym szumnie pałacem. Dla podtrzymania tradycji uprawiam ten kawałek ziemi, choć z zawodu jestem też prawnikiem. Przed wojną prowadziłem w miasteczku coś w rodzaju biura porad prawnych. W czasie okupacji zlikwidowałem wszystko i zająłem się wyłącznie rolą. Nieduże to, jak pan widzi.

Dolas rzucił okiem przez okno na podwórze. Jego trzej współtowarzysze zakończyli właśnie ładowanie wozu stojącego przed spichlerzem. Obok spichrza była obora, a dalej brama i droga wiodąca w pole. Popatrzył na drogę i nagle zrobiło mu się zimno: ciągnęła tędy kolumna niemieckich samochodów. Wyskoczył z pokoju, wpadł do hallu, chwycił pod pachę pistolet maszynowy, w drugą rękę walizkę z ubraniami i pędem rzucił się schodami w dół. Wybiegł do ogrodu, po chwili był na podwórzu. Ktoś już ostrzegł partyzantów, bo biegli do bramy. Położyli się w rowie i puścili serię w stronę Niemców. Samochody stanęły. Wyskoczyło z nich kilku żołnierzy, ostrzeliwując się z karabinów. Dolas w lot się zorientował, że

Niemców jest mało i są słabo uzbrojeni.

— Atakujemy ich! — zawołał.

Wybiegli na pole i prażąc w stronę samochodów, posuwali się skokami. Wozy z głośnym warkotem usiłowały zawrócić na wąskiej drodze. Gdy dopadli pierwszego samochodu, sześć pozostałych zawróciło, uciekając na złamanie karku. Na pożegnanie posłali im parę długich serii. W rowie leżał ranny żołnierz niemiecki, kierowca stał obok wozu z podniesionymi rękami. Rozbroili go i kazali opuścić ręce.

— Nicht schiessen! — mamrotał wystraszony żołdak.

— Tak? Nicht schiessen! Ty skurwielu! A coś ty robił z naszymi? Dolas zajrzał do samochodu — był wyładowany skrzyniami.

— Co wy wieziecie? — zapytał po niemiecku.

— To są rzeczy z kasyna oficerskiego. W nocy zgubiliśmy dywizję, w dzień bez przerwy atakowało nas lotnictwo, skręciliśmy w bok i zajechaliśmy tutaj.

— Co z nimi zrobimy?

Niemiec widząc, że partyzanci naradzają się, znów zaczął skomleć:

— Nicht schiessen, gute Leute!

— Nie jesteśmy mordercami jak wy! Nie zabijamy jeńców.

— Ale na pamiątkę musi coś dostać — powiedział Jasny. Damy mu dwadzieścia na gołą dupę i niech się wynosi.

Targ w targ, biorąc pod uwagę wiek jeńca i stwierdzony w książeczce żołdu fakt, że dopiero niedawno przybył z Francji na front wschodni, postanowili wlepić mu pięć na goły tyłek. Feluś, z zawodu kierowca, koniecznie chciał zabrać samochód. Niestety, miał przestreloną chłodnicę i jedną oponę.

— Po co ci w partyzantce samochód? — dopytywał się Jasny. — Zawsze w partyzantce nie będziemy, a czymś do Berlina zajechać trzeba.

— Do Berlina pojedziesz nowym wozem, a nie takim gratem — zażartował

Dolas. — A ty ściągnaj spodnie — zwrócił się po niemiecku do pokornie stojącego szkopa.

— Nie bój się! Dostaniesz tylko pięć batów na goły tyłek. Na pamiątkę nieproszonego pobytu w Polsce. A na drugi raz siedź w domu zamiast uprawiać turystykę.

— Jawohl! — Niemiec szybko ściągnął spodnie i karnie wypiął pośladki. Feluś wymierzył mu razy, licząc głośno:

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć! A teraz zabieraj rannego i uciekaj, pókiśmy dobrzy.

— Jawohl! — odpowiedział Niemiec, porządkując garderobę i pocierając obolały tyłek.

Podpalili samochód i ruszyli w stronę folwarku. Na podwórzu spotkali oddział Dzika, zwabiony strzelaniną. Wsiedli na wóz i stępa ruszyli w stronę miasteczka.

Kruk był zadowolony z akcji. Uśmieł się z egzekucji.

— Tamci i tak daleko nie ujdą — powiedział Dolas jakby usprawiedliwiając się.

— Najważniejsze, że masz ubranie. Ö to przecież chodziło.

— Czy mam się już przebrać?

— Na razie jeszcze nie. W nocy ruszymy na akcję i w związku z tym przesuniemy się jeszcze kilka kilometrów.

Oddział był gotowy do wymarszu. Szli czwórkami, ze śpiewem, niemal jak na garnizonowych ćwiczeniach. Jasny przygrywał na organkach, kolumnę zamykały wozy taborowe. Wyglądali imponująco. Prawdziwe wojsko niepodległej republiki partyzanckiej! Przemaszzerowali przez miasteczko i zaszyli się w lasy na zachodnim brzegu rzeki.

Zatrzymali się nad wieczorem. Kruk wezwał do siebie Dolasa.

— Szukuj się do drogi. Za godzinę będzie podwoda. Zostawiamy tu tabory i dzielimy się na trzy grupy. Broń zostaw w taborach.

Przeszli na koniec kolumny. Żołnierze zabierali się do kolacji, niektórzy przeglądali broń, inni odpoczywali przed czekającymi ich trudami nocnej walki. Dolas zdjął starą, zniszczoną marynarkę, owinął w nią automat i złożył na wozie.

— Pokaż ten garniturek! — powiedział Kruk.

Dolas zdjął z wozu walizkę. Wydała mu się nieco inna. Otworzył i zgłupiał.

— Co to jest? — zapytał zdziwiony Kruk, wyciągając z walizki habit. — To ma być garniturek? Nie rozumiem.

— Za to ja rozumiem — jęknął Dolas. — We dworze mieszkało kilku zakonników. Pewnie przez pomyłkę zabrałem walizkę jednego z nich.

— No i co teraz zrobimy? Oj, Dolas, Dolas!

Na dnie walizki leżał brewiarz i jakaś legitymacja. Kruk otworzył ją. Legitymacja była wydana przez kurię biskupią. Zakonnik na zdjęciu miał niewinną, łagodną twarz, na nosie okulary.

— Ciekaw jestem, jakbyś wyglądał w habitcie... Dolas wciągnął habit i przepasał się białym sznurem.

— Świetnie! Wyglądasz jak prawdziwy zakonnik!

Wokoło zebrał się tłum zaciekawionych partyzantów, Dolas zaczął ściągać habit.

— Po co to robisz? — zapytał Kruk.

— Jak to po co? Czy uważasz że marn...

— Naturalnie! Strój zakonny jest tak samo dobry, jak każdy inny, a w pewnych okolicznościach może okazać się lepszy. Zresztą nie ma wyboru, do jutra czekać nie możesz. Tu mam tubkę, o której już mówiliśmy — dodał szeptem dyskretnie wciskając mu do ręki tubkę pasty do zębów.

„Trudno! — pomyślał Dolas. — Byłem już ordynansem, sanitariuszem, kucharzem, bohaterem frontowym; mogę być i zakonnikiem!”

Żołnierze podkpiwali, a Kruk ochrzcił Dolasa „ojcem Dionizym” — takie bowiem nosił właściciel habitu.

— Ojciec Dionizy na kolację! — zawołał Jasny.

Dolas spakował niezbędne w podróży drobiazgi, tubkę pasty do zębów umieścił na dnie walizki i udał się, na ostatnią może, partyzancką kolację. Zjadł tłustą zupę na mięsie i pożegnał się z najbliższymi towarzyszami. Było mu markotno, zżył się z nimi w ciągu tych kilku miesięcy. Czy się jeszcze zobaczą? Kruk ujął go pod ramię, skierowali się w stronę przesieki. Pod rozłożystym dębem stała podwoda zaprzężona w dwa rosłe konie.

— Macie tu swego pasażera — powiedział Kruk do kogoś niewidocznego w ciemnościach.

Przed Dolasem Wyrosła barczysta postać.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Toż to ksiądz!

Dolas poczuł, że ktoś go łapie za rękę i całuje z namaszczeniem.

— Co wy robicie? — zawołał z przestraczem.

— Ja nie wiedziałem, że to ksiądz będzie jechał. Pan dowódca nic nie mówił. Wziąłbym lepszy koc.

— Nic nie szkodzi — powiedział Kruk. — To zresztą nie jest ksiądz, a zakonnik, ojciec Dionizy. Wiecie, że zakonnicy są przyzwyczajeni do niewygód.

„Ojciec Dionizy” zajął miejsce na wozie. Woźnica troskliwie otulał go kocem.

— No, jedziemy!

Lanckoroński mocno uściskał mu dłoń.

— Do zobaczenia!

Rozdział XVIII

w którym Dolas podróżuje do Warszawy

Noc była ciepła. Konie rażno kłusowały po leśnej drodze. Do najbliższej stacji było 10

kilometrów, ale postanowili nadłożyć trochę drogi, aby uniknąć spotkania z Niemcami.

O świcie zatrzymali się na krótki postój. Dolas przyglądał się woźnicy, krzątającemu się przy koniach. Był to starszy mężczyzna. Nie pytany zaczął opowiadać o sobie i rodzinie. Ma dwóch synów, obaj są w partyzantce. On brał udział jeszcze w pierwszej wojnie, początkowo w piechocie, a potem, jak został ranny — w taborach. Z armią rosyjską wycofał się w głąb Rosji. Do kraju powrócił po wojnie i do tego czasu gospodaruje na niedużym kawałku ziemi.

— A może ksiądz chciałby zajechać do kościoła na mszę? — zapytał.

— Nie mogę, muszę się spieszyć. Mam zresztą na czas podróży dispensę od księdza biskupa.

Czego jak czego, ale spotkań z duchownymi musiał unikać, to groziło zde-maskowaniem.

Chłop poczęstował go kawałkiem chleba ze słoniną, który Dolas zjadł z apetytem. Konie już odpoczęły, ruszyli więc w dalszą drogę. O szóstej rano przecięli szosę zatłoczoną rozbitymi oddziałami niemieckimi. Wszystko wskazywało, że Niemcy ponieśli klęskę. To, co widział, przypominało mu odwrót wojsk włosko-niemieckich w Afryce. Zjechali na polną drogę i po niespełna godzinie dojechali do niedużej stacji kolejowej.

— Pan wie, że jeżeli nie będę mógł dostać się do pociągu, to mamy jechać dalej?

— Wiem. Dowódca mówił, że mam księdza odwieźć choćby do samej Warszawy. Zabrałem dla koni sporo furazu, a dla nas słoninę. Jakoś damy sobie radę.

— Niech pan tu poczeka, a ja pójdę na stację dowiedzieć się o pociągi. Furmanka stanęła pod drzewem, a Dolas, otrzepawszy z kurzu habit, udał się na dworzec. Było tu pusto. Wszedł do pomieszczenia dyżurnego ruchu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitał.

— Na wieki wieków — odpowiedział kolejarz. — Co sobie ojciec życzy?

— Chciałbym, dostać się do Warszawy.

Kolejarz spojrzał nieufnie na stojącego przed nim zakonnika. Do Warszawy, na zachód uciekali Niemcy, Volksdeutsche i różne ciemne typy, czego chce ten duchowny?

— To bardzo trudne, a właściwie niemożliwe. Pociągi są „nur für Deutsche” jeżeli ojciec ma jakieś urzędowe pismo niemieckie, to można próbować.

— Pisma nie posiadam, jadę w sprawach kościelnych. Kolejarz spojrzał nieco życzliwiej.

— Zresztą pismo też nie ma dużego znaczenia. Pociągi na naszej stacji stają nieregularnie, ze względów technicznych. Można czekać na okazję dzień lub dwa. A co może stać się w międzyczasie — Bóg raczy wiedzieć.

— To co robić?

— Radzę udać się na trzecią stację. Tam jest komendant wojskowy, a poza tym tam zatrzymują się wszystkie pociągi i łatwiej będzie wyjechać.

— Bóg zapłać — powiedział pokornie ojciec Dionizy i wyszedł.

Woźnica nie miał nic przeciw wycieczce, choć było ponad 40 kilometrów. Tak dowódca kazał. Podciął konie i ruszyli w dalszą drogę.

Znów jechali bocznymi drogami, zatrzymując się na krótkie popasy. Front zbliżał się, co do tego nie było wątpliwości. Obserwowali znamienne objawy rozprzężenia w niemieckim wojsku. Na niebie nie widać było prawie hitlerowskich samolotów, natomiast wciąż przelatywały samoloty radzieckie. Jadąc wzdłuż linii kolejowej, widzieli sunące na zachód transporty ewakuacyjne.

Do następnej, większej stacji dotarli drugiego dnia w nocy. Zatrzymali się w małym lasku, a rano Dolas poszedł zbadać sytuację.

Było to takie ni miasteczko, ni wieś, po prostu osada, do której przyjeżdżali na targi i jarmarki okoliczni chłopci. Na sporej stacyjce stało parę wojskowych transportów, i kręcili się żołnierze.

Zapytał kolejarza o możliwość przejazdu do Warszawy.

— Bez ausweisu nie ma jazdy — usłyszał. — Niech ksiądz spróbuje pogadać z komendantem stacji. O, to ten Oberleutnant! — wskazał na starszego, grubawego Niemca, prawdopodobnie rezerwistę.

„Dobra rada — pomyślał Dolas — ale co ja mu powiem?”

Skierował się ku ławce. Obok usiadły dwie kobiety.

— Ksiądz też do Warszawy?

— Tak. Chciałem jechać. Ale nie mam ausweisu.

— Tak jak my. Boże, co ja zrobię? — zaczęła popłakiwać jedna. — Wyjechałam na parę dni, w Warszawie zostawiłam dzieciaki, a tu wstrzymali wyjazdy. Boże, co robić? A może ksiądz pójdzie do szkopa? Może się zlituje!

Dolas podrapał się po brodzie. Wyczuł szpeceniasty zarost. Naprzeciwko błyszczała w słońcu złotawa miska golibrody.

„Ogolę się, a potem spróbuję, nic ostatecznie nie ryzykuję” — pomyślał wchodząc.

— Proszę ogolić.

Fryzjer zaczął rozrabiać w miseczce mydło. W drzwiach ukazał się oberleutnant — komendant stacji. Usiadł na wolnym krzeselku przyglądając się operacji.

— Herr Oberleutnant? — zapytał fryzjer.

— Nein — mruknął Niemiec. Wyszedł za Dolasem na rynecek.

— Sprechen Sie deutsch ? — zapytał.

— Ja!

— Mam do księdza prośbę.

— Słucham?

— Jestem Bawarczykiem, katolikiem. Chciałem się u księdza wyspowiadać.

— U mnie? Toż tu jest obok kościoła.

— Wiem, ale uprawianie praktyk religijnych jest u nas bardzo źle widziane. Gdy udam się do kościoła, wszyscy będą widzieli. A tak nieznacznie usiądziemy na ławce i niby gawędząc wyspowiadam się. Czasy takie niepewne. Niechże ksiądz nie odmawia! Proszę we mnie nie widzieć wroga.

Dolas niezdecydowanie rozglądał się po placu. Jeśli odmówi, to będzie wydawać się podejrzanym, a tak może i sam coś skorzystać.

— Dobrze, tylko pójde po modlitewnik. Podeszedł do wozu i wyjął z walizeczki brewiarz.

— Zaraz wrócę — poinformował swego woźnicę.

„Nie spowiadałem się już z dziesięć lat — pomyślał. — Nie bardzo pamiętam, jak się to odbywa. Ale ostatecznie...”

Usiadł na ławce obok Niemca, przewrócił parę kartek, poprawił okulary i spojrzawszy w niebo powiedział:

— Słucham cię, synu.

— Ostatni raz u spowiedzi byłem dwa lata przed wojną... — Dlaczegoś, synu, tak długo nie spowiadał się? Wiesz, że katolik powinien chodzić do spowiedzi przynajmniej raz do roku?

— Wiem, ale byłem na froncie. Tam nie było gdzie. A przed wojną pracowałem w aparacie partyjnym.

— Wierzyłeś w Hitlera?

— Jak w Boga!

— No widzisz! A jest powiedziane: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. A ty co — wierzyłeś w Hitlera! A jakie masz inne grzechy?

— Grzech nieczystości. Zdradziłem moją żonę.

— Powiedz, jak to było?

— Z Lotti pobraliśmy się przed wojną. To była wspaniała kobieta. Blondynka. Potem wybuchła wojna. Od czterdziestego pierwszego roku jestem na froncie. Parę razy

przyjeżdżałem na urlop i z tego powodu mamy troje dzieci. A życie jest ciężkie. Lotti musi pracować w fabryce. Gdy byłem na froncie, to nieraz mi się chciało — no, tego. Raz to nawet poszedłem do takiego domu. Tam były różne dziewczyny, ale tak śmierdziały, jakby tu powiedzieć...

— Jak stara kiszona kapusta i ogórki.

— O tak, tak! A skąd ksiądz wie?

— Różne rzeczy wie się ze spowiedzi. No, mów dalej, synu. — Tam ja naprawdę nie mogłem, uciekłem. Niedługo potem otrzymałem urlop i pojechałem do mojej Lotti. Nie poznałem jej. Wychudła, wynędzniała, zrobiła się zupełnie płaska. Położyliśmy się do łóżka. Lotti obróciła się tyłem i mówi: „Daj spokój! Chcesz jeszcze jednego bachora? I tak pewnie na froncie włączysz się po bajzlach!” I zasnęła, bo była bardzo zmęczona. Na drugi dzień spotkałem w mieście znajomą, Barbarę, jej mąż zginął na froncie. No i tak się złożyło. Moja Lotti nie chciała, Barbara nie miała męża... Zgrzeszyliśmy.

— Ile razy?

— Pięć!

— W ciągu jednej nocy?

— Nie, w ciągu tygodnia. Potem pojechałem na front. Strasznie mnie to męczyło, więc powiedziałem sobie, że przy pierwszej okazji muszę pójść do spowiedzi.

— A innych grzechów nie pamiętasz?

— Nie!

— Hm... — Dolas otworzył brewiarz i przewrócił parę kartek. Nie mógł sobie przypomnieć, które przykazanie mówi „nie zabijaj”. — Słuchaj, a ludzi nie zabijałeś?

— Na froncie musiałem, jestem żołnierzem.

— To wiem. Ale ja pytam się, czy na przykład nie zabijałeś partyzantów, Żydów. Nie w walce, ale w mieście. Ludzi bezbronnych?

— Tak! Miałem takie rozkazy.

— To źle, synu! Takich rozkazów nie można wykonywać. Masz śmiertelny grzech. Ja ci, synu, nie mogę dać rozgrzeszenia.

— Niechże się ksiądz zlituje! Proszę mi dać najcięższą pokutę.

— Dobrze! Odprawisz pokutę, a poza tym musisz się starać naprawić krzywdy przez czynienie dobrych uczynków. Popatrz na tamte kobiety, siedzące na ławce. Chcą jechać do Warszawy i nie mają przepustek. Daj im.

— Ależ to głupstwo. Zaraz załatwię. I naprawdę dostanę rozgrzeszenie?

— Dostaniesz jeszcze pokutę i udzielę ci absencji.

— Zaraz przyniosę dwie przepustki in blanco.

— Poczekaj. Przynieść trzy. Może jeszcze komuś się przyda. Niemiec mimo otyłości pobiegł jak rączy jeleń. Po paru minutach ukazał się z powrotem.

— Proszę, oto trzy przepustki in blanco. Dolas obejrzał blankiety.

— W porządku.

— A teraz dostanę rozgrzeszenie?

— Naturalnie! — Otworzył brewiarz, odczytał półgłosem parę zdań, uczynił znak krzyża i zapukał w ławkę.

— Już?

— Już.

— Niech Bóg wynagrodzi księdza — Niemiec uklonił się i ruszył w stronę stacji.

— Halo! — zawołał Dolas. — A pokuta? Zmówisz sto dwadzieścia zdrowasiek i przez miesiąc nie będziesz pił i palił.

Niemiec skrzywił się, ale z pokorą skinął głową. Dolas wrócił do furmanki.

— No, udało mi się. Mam przepustkę. Zegnam was i dziękuję.

— Nie ma za co — chłop pochylił się, chcąc pocałować go w rękę. Dolas wyrwał mu ją, wziął walizkę i poklepawszy jednego z koni skierował się w stronę kobiet siedzących na ławce.

— Mam przepustki. Tylko wypiszemy nazwiska i jazda do Warszawy.

— Jakże to ksiądz załatwił?

— Ano, przekonałem tego Niemca i dał mi je!

— Olaboga! To ojciec chyba jest cudotwórcą!

— Mamy swoje sposoby — powiedział Dolas wyjmując przepustki spomiędzy kartek brewiarza.

Rozdział XIX

w którym Dolas zamienia się w kościelnego

Zatłoczony pociąg włókł się niemiłosiernie. Godzinami stał na stacjach, przepuszczając jadące na wschód i zachód wojskowe transporty.

Rano wjechali na peron Dworca Wschodniego. Ojciec Dionizy w towarzystwie obu przypadkowo poznanych kobiet opuścił stację.

— Wielebny ojcze! Bardzo proszę do nas na śniadanie — zapraszała jedna z nich. —

Mieszkamy w pobliżu, na Brzeskiej.

Chętnie się zgodził. Po podróży był głodny, zmęczony, brudny. Powoli doszli do ulicy Brzeskiej i skierowali się przez ciemne, brudne podwórze w stronę oficyny. Kobieta przywitała dzieciaki, zapytała sąsiadkę, co nowego słychać i przedstawivszy ojca Dionizego jako swego wybawcę i cudotwórcę, zabrała się do przygotowania śniadania.

„Cudotwórca” w tym czasie umył się i ogolił w łazience.

— Niech ksiądz czuje się jak u siebie w domu — zapraszała gospodyni. — Jak ksiądz widzi, mieszkanie moje jest skromne. Ale jak to się mówi: „Gość w dom, Bóg w dom”. Jeżeli ksiądz będzie chciał się zatrzymać czy też przenocować, to proszę pamiętać o mnie.

Dolas pomyślał, że może mu się to zaproszenie przydać. Miał zamiar zaraz jechać do pana Romana, oddać tubkę i jak najszybciej starać się wyjechać z Warszawy, wrócić do oddziału. Ale może być i tak, że nie zastanie pana Romana i pobyt w Warszawie przeciągnie się o dzień lub dwa. Wtedy locum w stolicy może mu się bardzo przydać. Podziękował więc i powiedział, że chętnie skorzysta z zaproszenia, bo być może zatrzyma się na krótko w Warszawie. Po śniadaniu, schowawszy do kieszeni habitu mydło, szczoteczkę do zębów i tubę pasty owinięte w ręcznik — wyszedł do miasta.

Ulice przedstawiały ciekawy widok. Jezdnią ciągnęły cofające się oddziały. Piechota przemieszana z pojedynczymi działami, czołgami i wozami taborowymi. Na chodnikach wystawały tłumy ludzi obserwujące Niemców, jak gdyby oczekując na hasło lub sygnał. Szerzyły się pogłoski, że armia radziecka jest już po

Małkinią. Podobno zaczęła się wielka, decydująca bitwa, do której Niemcy rzucili ostatnie odwody. Jeżeli bitwę przegrają, to koniec z nimi.

Dolas wtoczył się do tramwaju i pojechał na Dworzec Główny. Zajął miejsce w przedziale pociągu jadącego w stronę Żyrardowa.

Ulica Kościelna była niedaleko, duży neogotycki kościół widoczny był z dworca. Na brudnym, na wpół wiejskim podwórku, pod numerem trzecim Dolas odnalazł nieduży warsztat blacharski. Wszedł do środka i zapytał o pana Romana. Jeden z pracowników, wyklepujący blaszaną rurę, odwrócił się i spojrzał na przybyłego. Widział już różnych gości pytających o pana Romana, ale zakonnika jeszcze tu nie było.

— Pan Roman jest chory — powiedział i zabrał się do przerwanej roboty.

— Przepraszam.

— Ojciec Dionizy odwrócił się i wyszedł. Stracił cały dzień, ale nie było na to rady. Wrócił do Warszawy. W niedużej restauracyjce zjadł, jak przystało duchownemu, skromny obiad i pojechał na Stare Miasto. Na wąziutkich uliczkach bawiły się dzieci, stada gołębi

obsiadły attyki i dachy kamieniczek. W katedrze Świętego Jana panował półmrok i lekki chłód. W ławkach siedziało parę modlących się kobiet. Dolas zapomniał, że jest w stroju zakonnika, i nie przeżegnawszy się nawet opuścił świątynię. Na placu Zamkowym król Zygmunt od wieków stojąc na kamiennej kolumnie, przyglądał się obojętnym wzrokiem temu, co się działo u jego stóp. Wypalone zamkowe mury straszły przechodniów. Ze ściśniętym sercem patrzył Dolas na ruinę symbolu dawnej świetności Rzeczypospolitej...

Wieczorem poszedł na Brzeską. Zapytał gospodynię, czy będzie mógł przenocować. Przyjęto go z entuzjazmem.

Nazajutrz pan Roman nadal chorował, tak samo trzeciego dnia. W mieście nastąpiło jakby odprężenie. Za to Niemcy stali się bardziej butni. Zaczynały znów urzędować niemieckie władze okupacyjne, które parę dni temu w popłochu opuszczały Warszawę.

Dolas wybrał się po raz czwarty do pana Romana. Tym razem jeden z robotników wyciągnął go na korytarz.

— Pan Roman jest zdrow. Wyjechał dziś do Warszawy, będzie przed wieczorem. Proszę przyjść jeszcze raz.

„Nareszcie!” — pomyślał Dolas z ulgą.

Wyszedł za miasto i znalazłszy anemiczny lasek rozłożył się w cieniu. Przed siódmą wrócił na Kościelną.

— Czy zastałem pana Romana? — zadał stereotypowe pytanie.

— To ksiądz nie słyszał, co się stało?

— Nie!

— W Warszawie wybuchło powstanie. Komunikacja przerwana, nie chodzą pociągi. Pan Roman nie wrócił i nie wiadomo, kiedy wróci.

— Cholera! — zaklął zgoła po świecku i wyszedł na ulicę.

Sytuacja była głupia. Wybuch powstania zupełnie go zaskoczył. Wprawdzie z tego, co widział w mieście, można było wnioskować, że atmosfera jest napięta ale że dojdzie do walki, nie przyszło mu do głowy. Kruk też nie przewidywał takiej możliwości, mimo iż rozmawiał w przeddzień z polskim i radzieckim oficerem z tamtej strony frontu. Rano słyhać było wyraźnie strzelaninę z kierunku wschodniego. Może wojska radzieckie wkroczyły na Pragę i to stało się hasłem do wybuchu powstania? Dolas nie był strategiem, ale nie wyobrażał sobie, aby powstanie mogło wybuchnąć bez porozumienia się z dowództwem frontu radzieckiego, i to w takim momencie, aby walki trwały dłużej jak dwa, trzy dni. Pan Roman na pewno nie wróci ani dziś ani jutro. Do oddziału też się nie przedostanie, musi więc myśleć o zamelinowaniu się gdzieś na kilka dni, powiedzmy, na tydzień. Minął kościół, przyglądając

się wyjątkowo brzydkiej neogotyckiej budowli. Nie miał ochoty wchodzić do wnętrza. Postanowił wrócić na stację. Odwrócił się i spostrzegł starego, siwego, księdza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — usłyszał.

— Na wieki wieków — odpowiedział, usiłując wyminąć księdza.

— Gdzież to tak ojciec duchowny ucieka? To nieładnie będąc na terenie parafii nie porozmawiać z pasterzem. Skąd ojciec przybył? Z Czerwińska?

Postanowił odsłonić karty. Nie wyłga się przecież, po co stwarzać gorsze pozory, niż jest w rzeczywistości? Twarz proboszcza była wyjątkowo miła, a jasne oczy miały wyraz szczerzy i serdeczny.

— Powiem księdzu prawdę! Nie jestem duchownym.

— Od razu się tego domyśliłem. Obserwuję cię, synu, od dwóch dni, przechodziłeś parę razy koło domu bożego i ani razu nie wszedłeś do środka. Żaden duchowny tak by nie postąpił. Chodźmy na cmentarz, tam spokojnie porozmawiamy, może będę mógł być w czymś pomocny.

Minęli bramę i powoli szli wzdłuż kościelnego muru.

— Mów, synu, śmiało i otwarcie. Słucham cię pod tajemnicą spowiedzi.

— Nie jestem jak już powiedziałem, duchownym. Jestem... („Kim właściwie jestem? — zastanowił się. — Historykiem sztuki? Partyzantem? Kanonierem?") Jestem człowiekiem z konspiracji. Przybyłem tu z bardzo ważną misją. Niestety, nie zastałem tego, komu miałem coś doręczyć. Został w Warszawie, a tam wybuchło powstanie.

Nadbiegła gromadka dzieciaków. Na widok księdza w towarzystwie zakonnika stanęły, kłaniając się z szacunkiem. Proboszcz zatrzymał się patrząc Dolasowi badawczo w oczy, jakby chciał wyczytać z nich prawdę.

— A ten strój? — zapytał.

— Dał mi go pewien zakonnik ukrywający się u mego znajomego. Miałem przedzierać się w pobliżu frontu, więc uznaliśmy, że ten strój będzie najodpowiedniejszy.

— Zupełnie słusznie, mój synu. Konspiratorzy przebijają się w mundury niemieckie, niekiedy udają robotników lub nawet kobiety. Nie słyszałem jednak, aby ktoś udawał zakonnika, ty jesteś pierwszy. Musisz być gorliwym i dobrym katolikiem,- skoro uwierzyłeś, że ten strój uchroni cię od nieszczęścia. Nie zawiedziesz się. Kościół katolicki udzieli ci pomocy. Chodźmy na plebanię.

Przeszli przez ulicę, potem przez nieduży ogródek i znaleźli się na werandzie.

— Proszę do środka, zjemy kolację. Na razie wikaremu i, gospodyni nie będę nic mówił. Przedstawię pana jako zakonnika.

— Nazywam się ojciec Dionizy.

— Dobrze, niech tak będzie.

Zostawił gościa samego i zniknął w sąsiednim pokoju.

Do kolacji zasiedli we trzech — proboszcz, wikary i Dolas. Przez otwarte okno dobiegał głos ze szczekaczki, powtarzający po polsku niemiecki komunikat. Po ulicy spacerowali ludzie komentując ostatnie wiadomości. Wikary, pucułowaty, starannie ubrany ksiądz, x niechęcią przyglądał się gościowi. Sytuacja w parafii wyglądała tak, że opłaty za pogrzeby, śluby, chrzciny i pokropki zabierał proboszcz. Czasem udało się wikaremu otrzymać parę złotych za modlitwę w czyjejś intencji lub nocny wyjazd do chorego. Ludzie nie znali go jeszcze, nie mieli do niego zaufania. A tu w dodatku zjawia się ten zakonnik o wyglądzie świętego Franciszka. Jeszcze jeden konkurent do religijnych posług!

— Skąd ojciec przyjechał, jeżeli można wiedzieć? — zapytał wikary.

— O tym porozmawiamy po kolacji — przeciął proboszcz. Na herbatę przeszli do gabinetu.

— Niech ksiądz wikary zamknie okno. Dobrze. To, o czym będziemy zaraz mówili, jest tajemnicą. Tajemnicą spowiedzi. Proszę o tym pamiętać.

Młody ksiądz pokornie schylił głowę. Potem wyprostował się i poprawił fałdy sutanny.

— Słucham!

— Ojciec Dionizy nie jest duchownym, jest działaczem konspiracyjnym. Przybył tu z daleka w pewnej misji. Misji bardzo ważnej! Przeszkodził mu w tym wybuch powstania.

Wikary spojrzał nieco życzliwiej na rzekomego zakonnika. Skoro nie jest księdzem, to nie przeszkadzał, Bóg z nim! Żeby tylko nie było innych kłopotów z jego powodu...

— Musimy panu pomóc — ciągnął dalej proboszcz. — Jak to sobie ksiądz wikary wyobraża?

— Hm! Możemy panu zaproponować objęcie funkcji kościelnego.

— To byłoby niezłe. Naszego kościelnego Niemcy wzięli w czasie łapanki w Warszawie, gdy pojechał po wino mszalne, i nie wiadomo, co się z biedakiem stało. Czy to panu odpowiada?

„Lackoroński — pomyślał nasz konspirator — kazał mi się zadekować w przypadku, gdybym nie mógł wrócić do oddziału. Niepodobna paradować bez przerwy w habicie. Wcześniej czy później podpadnę Niemcom...”

— Cóż robić! — powiedział. — Chętnie przyjmę to zajęcie. Oczywiście nie na stałe.

— Ależ tak! — roześmiał się proboszcz. — Jutro poszukam dla pana jakiegoś ubrania i postaram się o dowód osobisty. Gospodyni proszę nic nie mówić. Niech lepiej uważa pana za

ukrywającego się duchownego. Im mniej ludzi zna jakąś tajemnicę, tym lepiej dla sprawy.

Gawędzili do późnej nocy. Dolas opowiadał im o Afryce, Włoszech, Egipcie i Palestynie. Opowiadał w sposób bardzo ciekawy i obrazowy. Wzięli go za emisariusza, który przez całą wojnę nic innego nie robił, tylko jeździł z tajnymi misjami po całym świecie. Podniosło to naturalnie jego autorytet w oczach obu księży.

Rozdział XX

o którym doktor Dolas znów się dostaje do obozu

Nowe obowiązki doktora Dolasa nie były zbyt skomplikowane. Rano otwierał kościół, zmieniał kwiaty na ołtarzach, potem pod kierunkiem wikarego czynił przygotowania do mszy. Wieczorem zamiatał świątynię, sprawdzał, czy nikt nie został wewnątrz, i zamykał drzwi na klucz. W niedzielę paradował po kościele w komży, prostym „Bóg zapłać” kwitując datki rzucane na tacę. Przy uroczystych okazjach — pogrzebach, chrzcinach czy ślubach — asystował z reguły wikary. Obie strony były z tego zadowolone — Dolas, że nie potrzebuje się fatygować, a wikary że wpada mu do kieszeni parę złotych. Potrzeby Dolasa nie były duże — ksiądz go żywił i utrzymywał, gospodyni opierała i cerowała skarpetki. A tajemnicza tubka pasty do zębów nadal spoczywała pomiędzy drobiazgami eks-zakonnika. Powstanie trwało, a pan Roman nie wracał.

Dziesiątki razy Dolas roztrząsał zagadnienie, co będzie dalej? Powstanie przeciągało się wbrew logice i ekonomii sił. Jaki będzie koniec? Pan Roman może wrócić lub nie. Co więc robić dalej? Nie znajdował na to odpowiedzi.

Po kolacji zamykał się w swojej izdebce i czytał co tylko mu wpadło w ręce. Żywoty świętych, stare roczniki „Przewodnika Katolickiego”, *Potop* lub sentymentalne powieści Orzeszkowej.

W końcu września, gdy powstanie chyliło się nieuchronnie do upadku, zaczęto przywozić z Warszawy wysiedlonych mieszkańców, umieszczając ich w prowizorycznym obozie. Dolas chodził wówczas na stację kolejową, wypatrując wśród warszawiaków znajomej twarzy.

Pewnego dnia w tłumie wynędzniałych, obdartych ludzi Dolas zobaczył kobietę z trojgiem dzieci. Nie miała więcej jak trzydzieści lat, lecz była siwa jak staruszka. Na plecach niosła toból — to było wszystko, co ocalała z pożaru lub rozbitego domu.

— Ludzie! Pomóżcie mi! — jęczała. — Nie mam już sił...

Trudno to było uczynić. Każdy dźwigał jakieś tobołki, ledwo powłócząc nogami. Niemcy zachowywali się tego dnia wyjątkowo spokojnie. Stali wokół grupy

wyładowujących się, patrząc tępo i obojętnie spod stalowych hełmów. Dolas podszedł do jednego z wartowników.

— Czy mogę pomóc tej kobiecie? — zapytał.

— Bitte — mruknął wartownik, reagując w ten sposób prawdopodobnie na dźwięk poprawnej niemieckiej.

Dolas zdjął toboł z pleców kobiety, zarzucił sobie na ramię i ujął jedno z dzieci za rękę.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! — powtarzała.

Pomimo iż kobieta nic już nie niosła, nie miała siły, by iść szybciej, zostawała z dziećmi i Dolasem coraz bardziej w tyle. Ujął ją pod rękę, usiłując pocieszyć i dodać sił.

— Już niedaleko, zaraz będziemy na miejscu. Pani z jakiej dzielnicy?

— Ze Śródmieścia. Nie rozumiem, jak mogłam to przeżyć. Mąż był w akcji. Nie wiem, co się z nim stało. Zostałam sama.

Dochodzili do bramy warsztatów kolejowych, wewnątrz mieścił się obóz. Opowiadano o nim różne rzeczy. Dolas oddał toboł kobiecie i chciał odłączyć się od grupy.

— Dokąd? — krzyknął stojący przed bramą wartownik. — Maulhalten! — wrzasnął po raz wtóry, widząc, że Dolas chce coś powiedzieć.

— Patrzcie go, jaki cwany! — zawołano z kolumny. — Zostawia babę z dziećmi i ucieka!

Nieszczęsna kobieta, której Dolas pomógł wiedziony współczuciem, na próżno usiłowała wyjaśnić nieporozumienie.

Ktoś go popchnął, wartownik kopnął i Dolas znalazł się za potężną żelazną bramą. Tu podzielono ich na parę grup, kierując w stronę dużych fabrycznych hal. Zanim weszli do środka, owionął ich straszliwy fetor. Tuż przy wejściu znajdował się dół kloaczny, ogrodzony przepierzeniem z desek. Nie posypywane wapnem wydzieliny zanieczyszczały powietrze w promieniu kilkudziesięciu metrów.

W środku, na gołym, umazanym smarami betonie koczowały tysiące ludzi. Nieliczni uprzywilejowani mieli kawałki desek z połamanych drzwi lub brudne słomiane maty. Z odkrytych kanałów wydobywał się odór gnijących śmieci. Kobieta usiadła na kawałku stalowej belki, obok zajął miejsce Dolas, dzieci przycupnęły na ziemi. Wokół kręcił się tłum zmaltretowanych ludzi. Minęła godzina, potem druga. Nikt się więźniami nie interesował. Dzieciaki zaczęły upominać się o jedzenie. Kobieta, popłakując bezradnie, rozglądała się wokoło.

Dolas klął w duchu. Akurat teraz może wrócić z Warszawy pan Roman, a on przebywa w obozie nie wiadomo po co i dlaczego. Postanowił jednak grać dalej rolę opiekuna. Wstał i spacerując pomiędzy przybyłymi wcześniej dopytywał się, czy Niemcy dają tu coś do jedzenia, czy też nic ich w ogóle nie obchodzi. Dowiedział się, że niebawem powinni wydawać gorącą zupę. Ale o naczynia każdy musi się sam starać. Skąd je wziąć?

Środkiem sali przeciskała się pielęgniarka PCK w białym fartuchu. Podszedł do niej. Dziewczyna była wysoka, młoda, ładna. W piwnych oczach malowało się znużenie. Słuchała niezbyt uważnie tego, co mówił Dolas. Trudno się było dziwić. Takich próśb i żali wysłuchiwała dziennie po kilkaset.

— Postaram się coś zaradzić. Gdzie pan ma swój kąpiel?

— Tam! — wskazał ręką kobietę z dziećmiakami.

Po pół godziny w hali zaczął się ruch, oznaczało to przygotowania do wydawania zupy. Co silniejsi i przebieglejsi znajdowali miejsce w tworzącej się przed kuchnią kolejce. Ukazała się znajoma siostra PCK, przyniosła Dolasowi dużą jak wiaderko puszkę po konserwach.

— Tylko to mi się udało zdobyć, musi pan jakoś sobie poradzić.

— Bardzo dziękuję!

Pobiegł z puszką po zupę. Była to packa z ziemniaków, marchwi i brukwi. Ale przynajmniej gęsta i gorąca. Usiedli wokół wiaderka, kolejno racząc się specjałem. Przysiadła się do nich ta sama sanitariuszka. Wyjęła z kieszeni fartucha puszkę mleka skondensowanego i bułkę.

— Przyniosłam to dla dzieci! — powiedziała kładąc na kolanach kobiety.

Nawiązała się rozmowa. Dowiedzieli się, że siostrze jest na imię Danuta. Pracuje tu ochotniczo, od początku powstania obozu, mieszka naturalnie na zewnątrz. Będzie starała się pomóc. Z kolei ona dopytywała się o Warszawę i powstanie. Słyszała już setki takich opowieści, ale zawsze dowiadywała się czegoś nowego. Opowiadała kobieta, a Dolas przysłuchiwał się. Danuta obserwowała dzieci i kobietę, uważnie przyglądając się Dolasowi. Obiecała, że może coś jeszcze uda się jej wydostać dla dzieciaków.

Nazajutrz od samego rana w całym obozie zapanował ruch i rozgardiasz. Banda esesmanów pod komendą gestapo zaczęła wypędzać wszystkich z hal na dziedziniec. Starzy lokatorzy obozu wiedzieli, że to oznacza wywózkę na roboty, do Reichu. Przy rampach stał już gotowy pociąg dla „ochotników”.

Wśród płaczu, zawodzeń i krzyków esesmani przeprowadzali selekcję. Zaświadczenia lekarskie, kalectwo i rany nie odgrywały wielkiej roli. Decydowała jedynie esesmańska fantazja. Zdolnych do pracy nad umacnianiem potęgi tysiącletniej Rzeszy kierowano do

osobnej hali, do innej zaś przeznaczonych na wywiezienie w głąb GG.

Dolas został zaliczony do grupy pierwszej. Nic zresztą dziwnego — dobrze odżywiony na księżowskim wikcie, odcinał się wyraźnie od wynędzniałej rzeszy powstańców. Kobiety z dziećmi skierowano na wywózkę w głąb GG. Załadowano jeden transport i oczekiwano na podstawienie następnego pociągu. Zasmucony historyk sztuki, usiadłszy na podłodze, rozmyślał o przyszłości. „Psiakrew! Gotowi mnie jeszcze wywieźć do pana Mayera. Jak się ma garbate szczęście, wszystko jest możliwe!”

— Rozdzielili pana z żoną? — usłyszał pytanie. Podniósł głowę i zobaczył Danutę.

— Z żoną? — zapytał zdziwiony. — Z jaką żoną?

— Pyta pan tak, jakby pan był Turkiem i miał harem. Chyba ma pan tylko jedną żonę i troje dzieci.

— Żonę? powtórzył. — Ach, pani wzięła tę kobietę za moją żonę! Nie, to nie jest moja żona. Po prostu przypadkowa znajoma. A ja, przyznam się pani, w ogóle nie byłem w Warszawie i nie brałem udziału w powstaniu.

— Jakże więc pan się tu znalazł?

Wstał z podłogi. Danuta przyglądała mu się ciekawie.

— Pan nie jest z Warszawy? — powtórzyła. — Dałabym głowę, że gdzieś pana widziałam, i to niedawno. Mam to uczucie od pierwszego spotkania.

— Raczej niemożliwe. Gdybym panią gdzieś spotkał, na pewno bym dobrze zapamiętał. Zarumieniła się z lekka.

— No więc, niech pan powie, jak się pan tu znalazł?

— Przez przypadek. Ostatnio wszystko w moim życiu dzieje się w ten sposób. Stałem w pobliżu, gdy przechodzili warszawiacy. Za zgodą jednego z wartowników pomogłem tej kobiecie nieść tobół, to stało się powodem, że inny wartownik wepchnął mnie do środka.

— Niech pan tu chwilę poczeka — powiedziała i wyszła z hali. Dolas na powrót rozsiadł się na betonie. Po niespełna godzinie wróciła, niosąc kosz i dwa pudła. Z kieszeni wyjęła opaskę Czerwonego Krzyża.

— Proszę założyć to na rękaw — rozkazała.

— Po co?

— Weźmie pan te pudła i kosz, a potem wyjdzie ze mną z hali jako sanitariusz. Przeprowadzę pana do tak zwanej „Izby chorych”, a potem za druty.

— Ależ pani się strasznie naraża! Nie mam prawa tego robić, i tak pani już tyle mi pomogła...

— Niech pan nie będzie dzieckiem — zachnęła się niecierpliwie. — Niejednemu już

pomogłam stąd się wydostać, pomogę i panu. Po to tu jestem. No, proszę się spieszyć. Tylko bez gadania!

Dolas założył opaskę. W jedną rękę wziął pudła, drugą ujął kosz i pokornie ruszył za siostrą. Przy furtce w ogrodzeniu zapytała z uśmiechem o stabsarzta, potem o innego lekarza i znaleźli się poza odgradzającymi resztę obozu od hali dla przeznaczonych na wyjazd.

— Tu może się pan śmiało poruszać mając tę opaskę. Potem postaram się o przepustkę do miasta. Na razie zostanie pan sanitariuszem w obozie. Pewnie pan nigdy nie miał nic wspólnego ze służbą sanitarną?

— Owszem, miałem. Jakiś czas byłem sanitariuszem na włoskim statku sanitarnym „Santa Sofia”. Pływaliśmy pomiędzy Afryką i Livorno.

Danuta spojrzała ze zdziwieniem na swego towarzysza. Kim on może być naprawdę? A Dolasowi na myśl przyszedł Giovanni. Co porabia ten miły i uroczy Włoch? Czy wy dostał się z rąk gestapo?

Wnętrze hali nazywanej szumnie „Izbą chorych” w niczym nie przypominało pływającego szpitala, na którym w swoim czasie Dolas pełnił samarytańską służbę. Hala była tak samo brudna i tak samo zapełniona jak inne, tyle że chorzy i ranni mieli do dyspozycji więcej mat słomianych.

Pod nadzorem siostry Danuty Dolas zaczął pełnić swoje obowiązki. Roboty było mnóstwo. Został jakby salowym i chłopcem do wszystkiego. Znajomość niemieckiego ułatwiała mu porozumienie się z Niemcami, a usłużność zyskiwała ogólną sympatię, co nie przeszkadzało, że każdy się nim wyręczał.

Po paru dniach opiekunka zapytała go, czy ma przy sobie kenkartę.

— Mogłabym się panu wystarać o przepustkę — wyjaśniła. Dolas, wychodząc z plebani, nie zabrał z sobą kenkarty.

— A gdzie ją pan ma? — dopytywała się.

— Gdyby pani była tak dobra, to proszę wpaść na plebanie i zgłosić się do gospodyni proboszcza.

— Och! — zawołała Danuta. — Nareszcie przypomniałam sobie, gdzie ja pana widziałam. Pan był kościelnym i zbierał na tacę datki w czasie sumy.

Dolasowi zrobiło się głupio. Nie przypuszczał, aby ta przystojna dziewczyna mogła na niego zwrócić uwagę, w dodatku gdy występował w roli kościelnego.

— Tak — odpowiedział nieco zmieszany — istotnie jakiś czas byłem kościelnym. Ale to nie jest mój zawód. Pani wie, jak to jest obecnie.

— Rozumiem, ja też nie mam nic wspólnego z medycyną. No dobrze, jutro zajdę na

plebanię i poproszę gospodynię, aby dała mi pańską kenkartę.

Nazajutrz rano Danuta, idąc do obozu, wpadła po drodze na plebanię. Początkowo gospodyni przyjęła ją nieufnie. Gdy dowiedziała się jednak, w jakim celu dziewczyna tu przysłała, szybko pobiegła po kenkartę Dolasa, przynosząc przy okazji paczkę z bielizną i jedzeniem.

— Biedak tam pewnie głodny i brudny. Niechże kochana pani zanieś mu to. Danuta była nieco zdziwiona tą wyjątkową troskliwością o kościelnego. Sprawa wyjaśniła się, gdy wychodziła z plebani.

— Czy pani wie, kim jest naprawdę nasz kościelny? — zapytała kofidencjonalnie gospodyni.

— Wiem tylko, że z zawodu nie jest kościelnym.

— To jeszcze mało, kochana pani! — Zaciągnęła Danutę w kąć przedpokoju, zwierając się szeptem: — Nasz kościelny, czyli jak to ma wypisane w kenkarcie: Nowakowski, w rzeczywistości jest duchownym.

— Kim? — zapytała Danuta ze zdumieniem.

— Duchownym. On jest zakonnikiem. Nazywa się ojciec Dionizy. To nie jest zwyczajny zakonnik, co to siedzi w klasztorze lub chodzi po odpustach. On tu przyjechał z Rzymu od Ojca świętego!

— A skąd pani wie o tym?

— Przyjechał tu w habitcie. Proszę, pokażę pani habit. — Otworzyła szafę pokazując wiszący strój zakonny. — Ksiądz proboszcz powiedział, że to tajemnica. Mówię pani w wielkim zaufaniu, aby pani wiedziała, z kim ma do czynienia, i aby był otoczony należyty szacunkiem. A potem kiedyś słyszałam, jak opowiadał księdzu proboszczowi o swoim pobycie we Włoszech i Afryce. Ani chybi był misjonarzem i przebywał w Watykanie. Tu przyjechał z tajną misją — może do samego księdza prymasa, ale wybuchło powstanie i przeszkodziło mu załatwić misję, bardzo ważną. Mówił o tym ksiądz proboszcz. Tylko, kochana pani, kamień w wodę!

— Rozumiem. Może pani być spokojna.

Wiadomości usłyszane od księżowskiej gospodyni zaskoczyły Danutę. Wiedziała, że jej znajomy nie jest z zawodu kościelnym, ale nigdy nie podejrzewała, że może być duchownym, w dodatku zakonnikiem.

„Głupia jestem — pomyślała. — Dlaczego nie ma być zakonnikiem? Co mnie to ostatecznie obchodzi?”

Danuta była dyskretna, ale do pewnych granic. Toteż Dolas po paru dniach ze

zdziwieniem skonstatował, iż wokoło jego osoby wytworzyła się atmosfera szacunku. Wyręczano go w drobnych czynnościach i unikano przy nim grubiańskich słów. W żaden sposób nie mógł pojąć tej zmiany. Danuta powiadomiła go, że jutro dostanie z komendy obozu stałą przepustkę i będzie mógł wychodzić do miasta. Zapytała jednocześnie, czy nie reflektowałby na inną pracę. Zastanowiło to Dolasa.

— A jaką inną robotę mógłbym otrzymać?

— Na przykład w kuchni.

— Mnie naprawdę jest wszystko jedno. W kuchni też kiedyś pracowałem, byłem kucharzem w Legii Cudzoziemskiej.

„Sanitariusz na statku szpitalnym i kucharz w Legii!” — Postanowiła wyświetlić sprawę.

— Chciałam panu powiedzieć, że znam całą prawdę.

— Jaką? — zapytał z nie ukrywanym zdziwieniem.

— No, że... — nie wiedziała, czy powiedzieć „pan”, „ksiądz” czy „ojciec” — że jest pan duchownym. Zakonnikiem.

Parsknął śmiechem. Szczerym, jak już dawno się nie śmiał.

— Na pewno dowiedziała się pani o tym od poczciwej Weroniki?

— Tak! — odpowiedziała nieco speszona.

— Otóż mogę panią zapewnić, że nie jestem ani zakonnikiem, ani księdzem. Jestem z zawodu historykiem sztuki.

Nie wiedziała dlaczego, ale zrobiło jej się przyjemnie, że ten miły, o łagodnym wyglądzie mężczyzna nie jest duchownym.

— To mamy wspólne zainteresowania. Jestem, a właściwie byłam, studentką Akademii Sztuk Pięknych. Wojna przerwała moje studia, ale mam zamiar je dokończyć. A jak to się stało, że uważano pana za duchownego?

— To bardzo długa i skomplikowana historia. Niech pani tu usiądzie, to opowiem.

Zajęła miejsce na stojącej obok skrzyni i Dolas opowiedział jej swoje przygody.

Rozdział XXI

w którym Dolas w dalszym ciągu poszukuje pana Romana

Dolas opuściwszy obóz zastanawiał się, co z sobą robić. Danuta namawiała go, aby pracował nadal w izbie chorych, a zamieszkał u jej rodziców. Praca w obozie chroniła przed

wywiezieniem, ale nie chciało mu się dłużej bawić w sanitariusza. Willa rodziców Danuty nie była bynajmniej miejscem bezpiecznym. Mieszkało tam mnóstwo osób niezbyt lojalnie nastawionych w stosunku do Niemców. Uważał zresztą za wskazane opuścić ten teren. Znano go tu i jako kościelnego, i jako sanitariusza z obozu. Miał jeszcze nadzieję, że uda mu się spotkać z panem Romanem. Najpierw poszedł na plebanię po resztę swoich rzeczy i ową tubę, o której w obozie stale myślał.

Na plebani zastał swego poprzednika, dawnego kościelnego. Chłop miał szczęście w nieszczęściu. Siedział jeszcze w więzieniu gdy wybuchło powstanie, i dzięki temu uniknął wywiezienia do Reichu. Wróciwszy objął poprzednie obowiązki. Na swego zastępcę patrzył podejrzliwie, nie wiedząc, czy ten przybłąda naprawdę jest tu przypadkowo, czy też chce go wygryźć z ciepłej posadki.

O dalszą gościnę nie mógł proboszcza prosić, cała bowiem plebania była zajęta przez siostry zakonne, wypędzone przez Niemców z jakiegoś klasztoru w Warszawie. Podziękowawszy obu księżom za przygarnięcie go w krytycznym momencie, zabrał się do pakowania swoich drobiazgów, pieczołowicie przechowywanych przez Weronikę.

Zawinął wszystko, wraz z tubą pasty, w habit i zastanawiał się, co by tu dać w prezencie Weronice za jej troskliwą opiekę, gdy ta, ściskając z nabożną czcią dłoń Dolasa, wyszeptwała:

— Mam wielką prośbę! Jak ksiądz będzie w Rzymie u Ojca świętego, to niech się wystara dla mnie o błogosławieństwo!

Obiecawszy solennie spełnić to życzenie, opuścił plebanię, udając się na ulicę Kościelną. Po raz któryś z rzędu zapytał o pana Romana. Znany mu z widzenia blacharz popatrzył na niego uważnie. Może poznał w nim zakonnika, który dopytywał się o pana Romana przed powstaniem.

— Proszę za mną — powiedział krótko.

Wyszli na ciemny korytarzyk, pełen zapachu gotującej się kapusty. Potem weszli do małego pokoiku. Okno wychodziło na ogród. W głębi siedział mężczyzna odwrócony doń plecami. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł głowę.

„Nareszcie poznam mitycznego pana Romana” — pomyślał Dolas, przyglądając się uważnie mężczyźnie około pięćdziesiątki, z siwizną na skroniach. Blacharz zniknął za drzwiami.

— Chciałem zobaczyć się z panem Romanem.

— Z którym panem Romanem?

— Tym, co przed wojną pracował w Gdyni.

— Czy pan jest krewnym pani Noskowej?

— Nie. Pana Noska.

Mężczyzna podał Dolasowi rękę, mruknąwszy jakieś nazwisko.

— Muszę wyprowadzić pana z błędu. Nie jestem panem Romanem. Pan Roman, wróciwszy tu po powstaniu, wyjechał. Musiał stąd wyjechać. A pan musi się z nim zobaczyć osobiście?

— Tak. Przybyłem z tamtej strony frontu.

Gospodarz zaprosił Dolasa gestem ręki do zajęcia miejsca na skrzypiącym krześle.

— Czy macie jakiś dowód osobisty?

— Tak, kenkartę. Miejscową.

— To mało. A gdzie mieszkanie?

— Właściwie nigdzie.

Obaj konspiratorzy byli małomówni, nie zadawali zbędnych pytań i nie wdawali się w dysputy.

— Musimy tę sprawę jakoś rozwiązać. W każdym razie nie możecie się tu pętać. Bądźcie o siedemnastej czterdzieści pięć na dworcu z biletem do Żyrardowa. Na wszelki wypadek nie znamy się. Trzymajcie się w pobliżu mnie, ja sam się do was zwrócę. Dobrze?

— Dobrze!

Dolas pożegnał się i wyszedł. „Gdzie i kiedy wreszcie złapię pana Romana?” — rozmyślał idąc w stronę obozu.

Do wewnątrz nie wchodził. Spacerował w pobliżu bramy, oczekując na Danutę, z którą się tu umówił.

„Wyglądam jak sztubak na randce” — rozmyślał.

Danuta ukazała się w towarzystwie dwóch pań. Zobaczywszy Dolasa pożegnała je i przeszła na drugą stronę.

— Co u pana nowego?

Opowiedział jej o wyniku rozmowy na Kościelnej i zamierzonej przeprowadzce do Żyrardowa.

— A więc wyjeżdża pan! Może na to konto odprowadzi mnie pan do domu.

— Z największą przyjemnością.

Ujął ją nieśmiało pod rękę. Wyszli za miasto. Dął jesienny, ostry, nieprzyjemny wiatr. Do willi rodziców Danuty mieli ponad pół godziny marszu.

— Jak panu właściwie na imię? — zapytała po dłuższym milczeniu.

— Adolf. Głupie imię, prawda? Ale kto mógł przewidzieć, że będę miał tak niefortunnego imiennika? A pani ma bardzo ładne imię — dodał ni w pięć, ni w dziewięć.

Rozmawiając o tym i owym doszli na miejsce.

— Chciałem pani podziękować. Zrobiła pani dla mnie tyle dobrego. Nie wiem, czy kiedykolwiek potrafię się odwdziżyć.

— Nie robiłam tego po to, aby pan musiał się odwdziżać. Zresztą, jeżeli pan chce, to proszę mi dać swój habit.

— Ależ bardzo chętnie. Rozwinął paczkę.

— Bardzo dobre sukno, chyba przedwojenne. Może pani przerobić na spódnicę lub coś w tym rodzaju. Roześmiała się.

— Nie po to mi jest potrzebny. Mam nadzieję, że dzięki niemu jeszcze parę osób opuści obóz. Rozumie pan, doktorze?

Przewiesiła habit przez ramię i podała mu rękę. Pocałował podaną dłoń, która serdecznie uściśnęła jego rękę.

— Żegnam panią.

— Żegnam? To się już nie zobaczymy?

— Nie! Nie! — zawołał. — Zobaczymy się. Napiszę do pani. Może nawet z samego Berlina! Do widzenia pani.

W Żyrardowie zamieszkał Dolas w domu pracowniczym zakładów tkackich. Surowe, nie otynkowane bloki przypominały raczej koszary niż domy mieszkalne. Na brudnych, pozbawionych krzty zieleni podwórkach bawiły się dzieci, trzepano koce i dywaniki, suszono bieliznę. Przydzielono mu kąt u bezdietnego starszego małżeństwa. Nikt go nie pytał, kim jest i po co tu przybył. Opiekun zapewnił gospodarzy, że Dolas gościć tu będzie najwyżej kilka dni. Przed odjazdem odbył z nim krótką rozmowę.

— Czy umiecie po niemiecku?

— Tak. — To świetnie. Może będę musiał wystarać się dla was o dowód osobisty na nazwisko jednego volksdeutscha.

— Trudno! Niech, i tak będzie, choć nie przynosi, to zaszczytu.

— A pieniądze macie?

— Owszem, nawet sporo.

Zastępca pana Romana wziął od niego część pieniędzy aby wymienić je na marki.

— Pan Roman znajduje się obecnie na terenach przyłączonych do Rzeszy, stąd te ceregiele. Czekaście cierpliwie kilka dni.

Wrócił po czterech dniach z plikiem marek i legitymacją niemieckiego kolejarza, volksdeutscha, zamieszkałego w Kutnie.

Zasiedli do skromnej kolacji. Gospodarze dyskretnie zniknęli z kuchni.

- Pan Roman, jak wam wspominałem, przebywa w niedużym miasteczku na terenie Warthegau. Odnajdziecie go przy pomocy niejakiego Piaszczyńskiego, pracownika cukrowni. Zapytacie o pana Romana tak jak przedtem. W jaki sposób dotrzecie do cukrowni, to już wasza rzecz. Radzę dojechać przez Skierniewice do Kutna, a dalej już oficjalnie jako kolejarz volksdeutsch. O płaszcz kolejarski i czapkę może się wam wystarać gospodarz. Radzę skorzystać zawsze to mundur, dla szkopów wiele znaczy. Co będziecie robić dalej, zadecyduje Roman. W każdym razie możecie tu wrócić.

Pogadali jeszcze trochę, ale że obaj byli małowówni, temat szybko się wyczerpał.

Nazajutrz Dolas w starym płaszczu kolejarskim, z małą teczką, której główną zawartość stanowiła tuba pasty do zębów, i z legitymacją na nazwisko Hansa Schultke, podążył na dworzec.

Przez Skierniewice dojechał do Łowicza. Tu zaczął się zastanawiać, jak przebrnąć przez granicę GG do Kutna. Był już wieczór. Ciemności panujące na stacji sprzyjały jego zamiarom, szczęście też. Ledwo bowiem przeszedł na drugą stronę osobowego pociągu, natknął się na długi, ruszający właśnie pociąg towarowy. Wskoczył do budki hamulcowego i ukrył się w środku. Pociąg nie zatrzymując się nigdzie dojechał do Kutna. Tu Dolas poczuł się jak w domu. Ostatecznie posiadał legitymację kolajarza zamieszkałego w Kutnie. Śmiało więc przeciął tory towarowej stacji i wyszedł na szosę kierując się w stronę miasta.

Na dworcu przeczytał na tablicy informacyjnej, że pociąg będzie dopiero nad ranem. Było mu to na rękę, wołał przyjechać na miejsce w dzień. Kupił bilet i przechadzał się po stacji. Parę razy wpadła żandarmeria, kontrolując dowody osobiste. Jego nikt nie zaczepiał.

Był już jasny dzień, gdy Dolas wysiadł na małej stacyjce. Miasteczko widoczne było jak na dłoni, znajdowało się w odległości niecałego kilometra. Obok dymił komin cukrowni. Powietrze przesycił charakterystyczny, słodki zapach. Nieduży przetokowy parowozik, sapiąc i przeraźliwie gwizdząc, ciągnął po bocznicy wagony z burakami.

Dolas ruszył w stronę cukrowni starą, zniszczoną szosą, omijając liczne kałuże. Nie dochodząc do osady spotkał robotnika, wyglądającego na Polaka.

— Przepraszam, czy nie wie pan, gdzie mieszka pan Piaszczyński? — zapytał. Robotnik spojrzał na niego podejrzliwie.

— W drugim domu po prawej za portiernią — usłyszał.

— Dziękuję.

Przed bramą cukrowni zatrzymała się długa kolejka wozów wypełnionych po brzegi burakami. Inne, załadowane wytłokami, wyjeżdżały. Drugi dom po prawej stronie stał w niedużym ogródku. Z ganku prowadziły drzwi do dwóch mieszkań. Zapukał do pierwszych.

Otworzyła mu stara kobieta.

— Chciałem się zobaczyć z panem Piaszczyńskim. — Mąż zaraz powinien wrócić. O ósmej skończył zmianę.

Niechętnie poprosiła go do pokoju. Usiadł na zniszczonej kanapie. Po niespełna pół godzinie usłyszał, że ktoś wchodzi do przedsionka, potem przytłumione szepty i w drzwiach ukazał się starszy, może sześćdziesięcioletni mężczyzna.

— Pan do mnie? — zapytał.

— Tak. Chciałem się zobaczyć z panem Romanem.

— Ach, tak! — Stary spojrział życzliwiej na nieznajomego kolejarza. — Z który m panem Romanem?

Potem nastąpiły pytania o Gdynię i 9 panią Noskową. Nabrawszy do siebie zaufania, przedstawili się sobie i usiedli przy stole.

— Zdziwiłem się, zobaczywszy pana. Przypuszczałem że w innej sprawie. Bo ja tu pracuję jako maszynista na parowozie przetokowym. Przed wojną jeździło się na PKP, teraz wymigałem się, że niby za stary. Wolę tu wozic buraki i wytłoki niż wojsko szkopskie na Ostfront. Ale pan pewnie głodny, co? Matuchna, daj nam coś zjeść! Aha, zapomniałem o panu Romanie. On mieszka w mieście. Zaraz po śniadaniu pójdziemy do niego.

Trzeba było mieć bujną wyobraźnię, aby to nędzne osiedle nazwać miastem. Okupanci widać ją mieli. Tonące w błocie targowisko ochrzcili mianem Hitlerplatz, a parę zbiegających się dróg polnych nosiło pompatyczne nazwy: Hindenburgallee, Litzmannstrasse itp. Najbardziej okazały budynek w rynku ozdabiał napis „Apotheke”. Tu Piaszczyński zatrzymał się.

— Niech pan chwilę poczeka. Pójdę do pana Romana umówić się, gdzie się możemy spotkać.

Zniknął w bramie, zostawiając Dolasa na rynku. Po paru minutach powrócił z miną mocno zafrasowaną. Ujął Dolasa pod ramię i ruszyli w stronę cukrowni.

— Niech pan sobie wyobrazi — zaczął po chwili — że pan Roman wyjechał. Dziś rano. Nie wiadomo, kiedy wróci.

„Rzeczywiście! Trzeba mieć garbate szczęście! — rozmyślał Dolas. — Gdzie ja go teraz znajdę?”

W milczeniu szli zabłoconymi uliczkami.

— Czy pan ma ważną sprawę do Romana?

— Tak. Bardzo ważną. Z tamtej strony frontu.

Poszli na ukos przez pola. Minęli rowy irygacyjne. Płynęła tędy brudna, cuchnąca

woda. — Musi pan czekać na powrót Romana. Czy posiada pan jakiś dowód osobisty?

— Mam, i to dobry. Na nazwisko kolejarza, volksdeutscha z Kutna.

— Na nazwisko volksdeutscha? — powtórzył Piaszczyński. — To świetne. Zrobimy kawał. Tu głównym bogiem jest niejaki Hering, czyli po polsku śledź. Otóż Hering przed wojną był magazynierem w cukrowni. Potem zrobił się

Volksdeutschem, był butny i pewny siebie. Teraz, gdy Niemcy zaczęli dostawać w kuper — stara się zjednać sobie Polaków. Pogadam z nim. Powiem, że mój kuzyn, volksdeutsch, zwolnił się z posady na kolei i chce pracować w cukrowni. Akurat jest mi potrzebny palacz — pomocnik na parowozie. Hering załatwi to u Treuhändera. A w duchu pomyśli: „Patrzcie, ten Piaszczyński też ma kuzyna volksdeutscha! Jak coś się stanie, to będzie mnie bronił! A tu gówno, bo ten rzekomy volksdeutsch to konspirator. Cha! Cha! Świetny kawał! Nie uważasz?”

Poszli wzdłuż toru w stronę cukrowni. Nazajutrz Dolas objął obowiązki pomocnika maszynisty na przetokowym parowozie.

Znalazłszy się po raz pierwszy na parowozie, ciekawie się rozglądał, nie mając pojęcia, do czego mogą służyć tajemnicze krany, rurki, zegary i wskaźniki, dlaczego tu i tam syczą para lub kapie woda.

— Niech cię o nic głowa nie boli — pouczał go Piaszczyński, traktując jak prawdziwego pomocnika. — Ja wszystko obsłużę. A ty tylko hajcuj.

— Co?

— No, podrzucaj węgiel do paleniska.

Dolas podrzucał więc węgiel i wykonywał inne drobne czynności pod nadzorem Piaszczyńskiego, a od czasu do czasu, gdy coś sknocił, słyszał, jak jego szef mruczy pod nosem:

— Dupa wołowa, a nie pomocnik!

Mijały tygodnie, a pan Roman nie wracał. Przetaczali na terenie cukrowni pełne i puste wagony, ciągali ze stacji wagony z burakami, wywozili wysłodki, melasę w cysternach i wory cukru w krytych wagonach. Dolas pracował 12 godzin na dobę. Wolał jednak to niż przebywanie w baraku dla sezonowych robotników. Tam bowiem uważano go za volksdeutscha, nikt z nim nie rozmawiał i nie utrzymywał żadnych kontaktów. Pracował więc i czekał z niecierpliwością na powrót pana Romana. I

Rozdział XXII

w którym Dolas rozpoczyna podróż do Berlina

Potężna styczniowa ofensywa wstrząsnęła całym frontem. Wśród Polaków rozbudziła nadzieje na szybkie wyzwolenie, wśród Niemców siała grozę. Wraz z pobitymi oddziałami Wehrmachtu uciekli Volksdeutsche, reichsdeutsche i inni nasłani na ziemię polskie „deutsche”. Uciekały również władze okupacyjne: wojskowe, administracyjne, policyjne, partyjne.

Wszystkimi środkami lokomocji wiali z zagrożonej Łodzi: samochodami, koleją, samolotami. Z Dworca Kaliskiego wyruszył właśnie pociąg specjalny. Wtajemniczeni kolejarze wiedzieli, że w paru wagonach jedzie nie byle kto — sami hitlerowscy dostojnicy. Pociąg dobrnął do Kutna. Tu okazało się, że parowóz jest uszkodzony. Należało go zmienić. Do dyspozycji był tylko jeden parowóz — z polską obsługą. Przyczepiono go do pociągu i „Sonderzug” ruszył przez Poznań do Berlina. Monotonnie stukając na złączach, mijając ciemne stacje i ośnieżone pola, pokonywał przestrzeń. Robiło się już szaro, gdy kierownik pociągu usłyszał długie gwizdki parowozu, a potem charakterystyczny szczęk hamulców. Wyjrzał przez drzwi; pociąg zatrzymywał się na niedużej stacji. Semafor wyjazdowy był zamknięty. Do wagonu zbliżył się zawiadowca.

— Musieliśmy zatrzymać „Sonderzug”, gdyż towarowy nie doszedł jeszcze do następnej stacji.

Czekali dłuższą chwilę. Zapaliło się zielone światło. Dyżurny dał znak odjazdu. Powtórzył go kierownik pociągu. Pociąg jednak stał dalej. Z parowozu nikt nie odpowiadał.

— Was ist los?

Obaj Niemcy podeszli do parowozu. Biło od niego ciepło i syczała uchodząca para. W kabinie maszynisty nikogo nie było!

— Diese verfluchte Polen! — wrzasnął kierownik. — Korzystając z postoju uciekli, zostawiając pociąg na pastwę losu. Mein Gott! Co teraz będzie?

Nadszedł jakiś oficer SS z ochrony pociągu. Dowiedziawszy się o przyczynie długiego postoju, ryknął:

— To twoja wina! Co z ciebie za kierownik! Musisz maszynistę urodzić lub wydobyć spod ziemi. Zrozumiałeś?

— Jawohl, Herr Sturmbahnführer! Zawiadowca stacji! — wrzasnął z kolei. — To wasza wina! Dlaczego nie pilnujecie porządku na parowozie? Musisz urodzić lub wydobyć spod ziemi maszynistę! Rozumiesz?

— Jawohl! — odpowiedział zawiadowca, zastanawiając się, kogo by z kolei zmusić do urodzenia lub wydobywania spod ziemi maszynisty.

Miał na stacji jeszcze zwrotniczego, ale ten uciekł już w południe, dowiedziawszy się, że nadciągają Rosjanie. Poza tym była stara kasjerka, która nie wchodziła w rachubę. Skurczył się więc biedak pod groźnymi spojrzeniami, nie Wiedząc jak wybrnąć z sytuacji.

W tym momencie rozległ się donośny, cienki gwizd i na jeden z torów wjechał mały przetokowy parowozik.

— Halt! — wrzasnął zawiadowca.

Podbiegł do parowoziku i wyciągnąwszy z budki maszynistę wraz z pomocnikiem, zaprowadził ich przed oblicze Sturmbahnführera. Esesman bacznie przyglądał się dwóm smoluchom, trzymającym pod pachami teczki z wystającymi butelkami z kawą.

— Sin Sie Deutsche?

— Ich bin Pole — odpowiedział starszy.

— Und du?

— Ich bin Volksdeutsch — odpowiedział młodszy, poprawiając czarnymi od sadzy rękami okulary w złotej oprawce.

— Gut! Jesteś odpowiedzialny za tego starego. Pamiętaj! Marsz na parowóz i prowadzić pociąg do Poznania. No, jazda, szybko! Ruszać się!

Smoluchy zaczęły drapać się do kabiny maszynisty. Za nimi esesman przydzielony jako eskorta.

Zawiadowca odetchnął. Po raz wtóry dał sygnał do odjazdu. Parowóz otoczył się kłębami pary. Potężne koła zaczęły się powoli obracać. — No cóż, panie Piaszczyński, wpadliśmy!

— Niczym śliwka w kompot! Tyle lat dekowałem się, aby przy końcu wojny wozić hitlerowskich dostojników, psia ich mać!

— Co tam gadacie?! — ryknął esesman. — Nie gadać! Pracować!

— Jak mu mam wytłumaczyć, skoro nie zna niemieckiego? — odciął się Dolas. Niemiec miał dziwną ochotę dać mu w twarz, opanował się jednak. Pociąg pędził coraz szybciej. Podskakiwał na zwrotnicach, zarzucał na łukach, mijał stacje i przystanki.

— Dobry parowóz — mruczał Piaszczyński.

Dolas był innego zdania. Oblany od stóp do głowy potem, bez przerwy sypał węgiel do gardzieli nienasyconego molocha. Bez zatrzymania przejechali przez Wrześnię, zbliżając się do Poznania.

„Tu chyba ta przymusowa podróż się skończy — rozmyślał Dolas. — Nie będą nas ciągnęli w głąb Rzeszy. Zresztą brak już wody i węgla”.

Pomimo późnej pory dworzec poznański przedstawiał niecodzienny widok. Perony,

poczekalnie, sale dworcowe zapełniał niezliczony tłum. Każdy chciał jechać, uciekać przed przesuającym się coraz bliżej frontem. Policja, żandarmeria i esesmani usiłowali zaprowadzić porządek. Nic z tego. Tłum na widok wjeżdżającego pociągu rzucił się hurmem do drzwi, usiłując zdobyć miejsca. Dopiero gęste razy esesmanów i strzały w powietrze przywołały do porządku wystraszonych Niemców. Piaszczyńskiemu i Dolasowi kazano przejechać poza dworzec, nie pozwolono im jednak wyjść z parowozu. Po godzinie przybył jakiś kolejarz. Objął, że parowóz zostanie zaraz odczepiony i będzie mógł udać się po wodę i węgiel. Dostaną wszystko w pierwszej kolejności i zaraz będą mogli wyruszyć w dalszą drogę. — Cholera! — zaklął Piaszczyński. — Tylko tego jeszcze brakowało!

Groźne miny esesmanów wskazywały, iż wszelka dyskusja jest bezcelowa a nawet niebezpieczna.

Rano pociąg z dostojnikami wyruszył w dalszą drogę. Za Poznaniem nie szło jednak tak sprawnie, jak na poprzednim odcinku. Stacje były zapchane. „Sonderzug” coraz częściej zatrzymywano na długie postoje. Wrzaski i ryki eskorty nie odnosiły skutku. Wlokąc się dobrnęli nad wieczorem do sporej stacji w pobliżu Odry. Postój zaczął się przeciągać w nieskończoność. Nasi maszyniści zdenerwowali się i oświadczyli, że dalej jechać nie mogą, za bardzo są zmęczeni. Opiekujący się nimi esesman gdzieś zniknął. Wyszli więc z parowozu, użalając się przed przypadkowo spotkanym zawiadowcą.

— Alles Scheisse! — machnął ręką Niemiec. — I tak dalej nie pojedziecie. Lotnictwo zbombardowało most na Odrze.

Istotnie, na stacji panował nieopisany tłok i bałagan. Ich niemieccy koledzy opuścili parowozy i wagony i nie martwiąc się o nie, gdzie się porozłazili. Piaszczyński z Dolasem postanowili pójść w ich ślady. Zostawili na boskiej opiece pociąg i udali się na dworzec. W pobliżu znajdował się budynek z pokojami noclegowymi. Znaleźli wolne miejsca i zmęczeni rzucili się na łóżka.

Nazajutrz Niemcy oznajmili, że wieczorem most będzie naprawiony, ale dostojni pasażerowie pociągu specjalnego pojechali do Berlina samochodami — za bardzo im się spieszyło. „Sonderzug” był pusty. Co mają robić dalej, nikt nie wiedział.

— Możemy siedzieć i czekać — powiedział Dolas. — I tak front nas dogoni. Byłe nas nie wywieźli na zachód.

Z frontu dochodziły coraz bardziej fantastyczne wieści. Podobno Rosjanie zajęli Poznań, podobno już są na zachód od Poznania, podobno dochodzą do Odry pod Szczecinem.

Piątego czy szóstego dnia przymusowego postoju przez dworzec zajechał samochód z esesmanami. Paru z nich opuściło pojazd, udając się do zawiadowcy stacji. Piaszczyński z

Dolasem kręcili się przy parowozie.

— Oho! Ta swołocz idzie do nas.

Istotnie. Dwóch esesmanów w towarzystwie zawiadowcy podążało w ich stronę. Zbliżywszy się na parę metrów, zawiadowca skinął na Dolasa.

— To ten? — zapytał esesman przyglądając się Dolasowi.

— Jawohl. — On jest pewny?

— Najzupełniej ! Jak mówiłem, był w obsłudze pociągu samego pana Gauleitera.

— Kommen Sie mit! — rozkazał esesman.

Dolas wziął pod pachę teczkę i uściskawszy dłoń Piaszczyńskiego ruszył zdziwiony i, zaniepokojony za esesmanem. Doszli do samochodu. Niemiec kazał mu zająć miejsce. Przejechali miasto, a potem szeroką aleją pędzili w stronę Odry.

„Czyżby wywozili mnie do Niemiec? — zastanawiał się Dolas. — Ale po co?”

Po niecałych dziesięciu minutach samochód zjechał z głównej szosy na boczną, wysadzaną drzewami. Na drodze stały patrole esesmanów z bronią w pogotowiu. Przemknęli przez osadę — znów patrole esesmanów i samochód wjechał do parku, zatrzymując się przed czymś, co miało imitować zamek. Była to potworna, ciężka budowla z kamienia, ozdobiona licznymi wieżyczkami, wykuszami i krużgankami, świadczącymi nie tylko o chorobliwej fantazji architekta, lecz i zupełnym braku gustu właściciela. Takie samo było wnętrze. Weszli do dużego, ciemnego hallu, obwieszanego rogami jeleni. Esesman kazał Dolasowi poczekać w korytarzu, a sam zniknął. Po korytarzach i hallu uwijali się oficerowie SS. Dolas domyślił się, iż znajduje się w siedzibie wyższego dowództwa. Czego mogą tu chcieć od niego? Po chwili ukazał się esesman, który go tu przywiózł oraz oficer SS. Ten ostatni, przyjrawszy się bacznie Dolasowi, zapytał:

— Jesteście podobno Volksdeutschem?

— Jawohl!

— Zawiadowca stacji polecił was jako zaufanego człowieka. Będziecie palaczem centralnego ogrzewania. Ostrzegam was — nie bądźcie za ciekawi. Wasz poprzednik za zbytnią ciekawość zniknął. Zrozumieliście?

— Jawohl — wyjąkał Dolas.

To marsz do pfacy.

Zawędrowawszy do kotłowni, Dolas przyjrzał się instalacji. Tu jakieś krany, tam rury, wskaźniki, zegary, termometry. Do czego to wszystko służy? Jak sobie z tym poradzi? Wprawdzie obsługa parowozu była bardziej skomplikowana, ale tam za niego wszystko robił Piaszczyński, stale tłumacząc: „Zrób to, zrób owo, przekręć to, przesun tamto”. Jego, prawdę

mówiąc, mało interesowało, na jakiej zasadzie ten diabeł się rusza i dlaczego nie spada z szyn. Tu mu nikt nie pomoże, najwyżej osobaczy od głowy do pięt.

Obok kotłowni odkrył mały pokoik z umywalnią. To był jedyny plus w tej całej żalostnej sytuacji. Rozpakował swój skromny dobytek, tubę pasty do zębów zostawiając w teczce. Potem wymyślił się za wszystkie czasy. „Ciekaw jestem, czy

kiedykolwiek spotkam pana Romana — rozmyślał. — Chyba już nigdy! Bo gdzie? W oczach Lanckorońskiego zostanę do końca życia największą ofermą!"

Nagle wpadł do kotłowni jakiś esesman z wrzaskiem, dlaczego tak zimno? Dolas wrzucił więc tyle kokosu, że kocioł omal nie pękał. Potem wpadł drugi esesman rycząc, dlaczego nie zjawia się na obiedzie.

— Może ordynans ma ci przynosić posiłki?

Przez trzy dni był spokój. Naturalnie w kotłowni, bo przed zamek nieustannie podjeżdżały samochody, tłumy oficerów SS i Wehrmachtu kręciły się tu i tam. Czwartego dnia rano znów objechał Dolasa jakiś oficer.

— Jak ty, świnió, palisz? Na górze zimno jak w lodowni!

— Zaraz będzie ciepło — uspokajał, nie mając pojęcia, jak to zrobić.

Zaczął odkręcać jakieś zawory w nadziei, że to coś pomoże. Przy jednej z takich operacji chlusnęła do zlewu gorąca woda. Wypuścił jej sporo. Po godzinie zapanował sądny dzień. W całym prawie zamku była temperatura łącie polarna. Zjawiło się kilku esesmanów, wymyślając jeden przez drugiego.

— Co się stało, kretynie?

— Zepsuł się zawór. I to główny — wywodził Dolas, operując zasłyszonym kiedyś u Piaszczyńskiego technicznym określeniem. — Trzeba sprowadzić montera — doradzał.

— A ty nie umiesz naprawić?

— Umiąłbym, ale nie mam narzędzi.

Obiecali ściągnąć montera. Dolas modlił się, aby to był człowiek, który czegoś go nauczy i nie zdradzi przed Niemcami. Usłyszał, jak jeden z oficerów opuszczając kotłownię stwierdził:

— Volksdeutsche to wyjątkowi kretyni. Na przykład ten, wygląda jak stuprocentowy nordyk, a nie potrafi nawet dobrze napalić w kotle.

— Cóż wy chcecie, jego matka mogła być Polką.

— No tak, nie ma się co dziwić!

Monter był starszym mężczyzną o miłym wyrazie twarzy. Dolas nabrał do niego zaufania. Gdy esesman poinformował go, że nawalił główny zawór, spojrział zdziwiony na

Dolasa, a widząc jego zmieszaną minę, zapytał:

— A jak tam naczynie rozszerzalne?

— Tak sobie... W porządku!

— Aha, to chodźmy je obejrzyć!

„Cóż to za naczynie?” — rozmyślał Dolas idąc za monterem.

Wyszli do hallu i schodami pięli się w górę. Na ostatniej kondygnacji otworzyli drzwi wiodące na strych. Stały tu przeróżne stare graty, połamane meble. Monter podszedł do jakiejś skrzyni, podniósł wieko i zajrzał do środka. Za nim wsunął nos Dolas. W skrzyni znajdowało się żelazne naczynie. „Ach, więc to jest naczynie rozszerzalne!” — pomyślał. Było całkowicie puste. W drzwiach stał esesman, eskortujący ich obu.

— Ty przedtem też to robiłeś? — zapytał stary.

— Co?

— No, sabotaż.

— A, sabotaż. Tak.

— Gdzie?

— W Austrii.

— W fabryce?

— Nie, na farmie. Robiliśmy sabotaż z bykami.

— Ho! Ho! I co? Nakryli?

— Tak. Dostałem siedem lat. Stary gwizdnął.

— A potem wysłali cię na front?

— Tak.

— I stamtąd dałeś nogę, tak?

— Prawie.

— Żeby każdy tak myślał i robił, już dawno by diabli to wszystko wzięli!

— Co tam tak długo gładzicie? — dopytywał się esesman.

— Nie widzi pan? Naprawiamy zawór. Zaraz będzie gotowy. — I szeptem: — Na drugi raz tak nie rób, bo każdy się na tym pozna. Zawołaj mnie, to zrobimy lepiej.

— Gotowe! — zawołał po chwili.

Zeszli na dół do kotłowni. Stary włączył pompę i dopompował wody do zbiornika. Pokazał, co trzeba robić, aby woda była w naczyniu, jaką utrzymać temperaturę itp. Dolas stał się o całe niebo mądrzejszy. Wychodząc stary monter nieznacznie podniósł dłoń zaciśniętą w pięść. Dolas kiwnął głową.

Esesmani przestali interesować się palaczem, a on żył prawie jak w więzieniu. Nie mógł

się nigdzie oddalać, nigdzie chodzić. Nie miał pojęcia, co się dzieje na świecie.

Rozdział XXIII

ze którym Datas ponownie spotyka Lanckorońskicgo

W drugiej połowie kwietnia gwałtownie się ociepliło i wszystko wskazywało na to, że za parę dni skończy się palenie. Dolas liczył wciąż, że esesmani niebawem zwolnią go z zaszczytnej funkcji palacza. Nie stało się tak dzięki wypadkom na froncie. Najpierw zaroilo się spokojne dotychczas niebo radzieckimi samolotami, niechybnymi zwiastunami zbliżającej się ofensywy. Widok licznych samolotów z czerwonymi gwiazdami wyraźnie podenerwował gospodarzy. Po kilku dniach dobiegł potęgający się z godziny na godzinę ogień artyleryjski. W zamku zapanowało zamieszanie.

Esesmani pakowali manatki, szykując się do ucieczki. Na Dolasa nikt nic zwracał uwagi. Pobiegł więc na strych, gdyż stąd rozciągał się widok na biegnącą w odległości kilku kilometrów szosę. Zobaczył na niej wycofujące się niemieckie kolumny. Serce zabiło mu radośnie. Nareszcie w esesmańskim dowództwie rwetes i chaos doszedł do zenitu. Z daleka dobiegały odgłosy cekaemów. W południe nie było już w zamku ani jednego hitlerowca. Jednocześnie umilkły odgłosy walki.

„Nie ma sensu dalej tu siedzieć” — doszedł do wniosku eks-palacz.

Zabrał swój skromny dobytek i opuścił pusty zamek. Wysadzaną drzewami aleją, którą go tu przywieźli hitlerowcy, szedł w stronę szosy. W połowie drogi dopędziła go spora grupa polskich robotników. Rozradowani biegli, krzycząc jeden przez drugiego:

— Nareszcie koniec! Diabli wzięli Hitlera! Idzie Polskie Wojsko! Polskie Wojsko! Niech żyje!

W tym momencie powietrzem targnęły potężne detonacje. To hitlerowcy wysadzali mosty na Odrze. Są więc już po drugiej stronie.

Wiadomości głoszone przez robotników o Polskim Wojsku okazały się prawdziwe. Szosą ciągnęła długa zmotoryzowana kolumna. Na działach, czołgach i samochodach widniały białe orły! Polscy robotnicy, których znalazły się całe tłumy, nieustannie krzyczeli:

— Niech żyją! Niech żyją!

Dolasa coś ścisnęło za gardło, nie mógł wymówić słowa. Właśnie przejeżdżała zmotoryzowana bateria lekkiej artylerii. Dolasowi przypomniał się tragiczny wrzesień — bateria zaatakowana i rozjechana przez hitlerowskie czołgi. Wtedy też szli na Berlin! Ale nie

doszli! Ci na pewno dojdą. Jeżeli nie za miesiąc, to za dwa.

— Wrona! Wrona! Co tu robisz? — usłyszał wołanie.

„Wrona? To chyba zbieg okoliczności... Któż by mógł go tu znać pod partyzanckim pseudonimem...”

Nie był to jednak zbieg okoliczności — wołał go Feluś. Ten sam, z którego kilka miesięcy temu żartował, że pojedzie do Berlina nowym samochodem. A teraz Feluś siedział za kierownicą otwartego samochodu i — jechał na Berlin. Kolumna właśnie się zatrzymała i eks-partyzant, wyskoczywszy z wozu, podbiegł do zdumionego Dolasa.

— Jak pragnę szczęścia, Wrona! Mówże, co robisz?

— A ty co robisz?

— Ja? Maszeruję na Berlin. U nas w baterii jest prawie cała ferajna z partyzantki. Juhas, Jasny, Dzik. A wiesz, kto dowodzi dywizjonem? Kruk! Kapitan Lackoroński.

— Lackoroński? Gdzie on?

— Na czele kolumny. Jadę tam, mogę cię zabrać. Obywatelu poruczniku — zwrócił się do młodego podporucznika siedzącego w samochodzie — to nasz chłopak z partyzantki. Równy chłop, choć teraz wygląda po dziadowsku. Czy mogę go zabrać do kapitana Lanckorońskiego?

Podporucznik obrzucił Dolasa krytycznym spojrzeniem, mówiąc bez entuzjazmu:

— Niech jedzie.

Ruszyli z miejsca, jadąc wzdłuż kolumny. Po kilku minutach dojechali do małego miasteczka. Tu już pachniało frontem. Na skraju osiedla stały działa przeciwpancerne, a w polu bateria przeciwlotnicza. Kolumna rozłokowała się, samochody pojeżdżały między zabudowania. Na ulicach było pusto, jedynie na rynku grupa byłych jeńców francuskich wrzeszczała na całe gardło:

— Vive la Pologne! Vive la France!

Z niezbyt pewnej postawy galijskich wojaków można było wnioskować, że są już lekko zaprawieni. Na kilku domach wisały białe flagi. Nie wiadomo, czy miały oznaczać kapitulację osiedla, czy też wyrażać światopogląd właścicieli nieruchomości. Szybko przemknęli przez miasteczko, na zachodnim jego krańcu zatrzymała ich młoda dziewczyna w wojskowym mundurze:

— Do gospodarstwa Lanckorońskiego — zameldował Feluś. Dziewczyna wskazała drogę biegnącą w lewo od szosy.

— Uważajcie, droga jest pod obstrzałem — ostrzegła.

Polną drogą dojechali do sporego gospodarstwa. W grupie stojących oficerów z

podpułkownikiem na czele, Dolas rozpoznał barczystą sylwetkę Lanckorońskiego.

Prezentował się znakomicie w bojowym hełmie, z pistoletem u pasa, z torbą polową i przewieszoną na szyi lornetką.

Na widok Dolasa Lanckoroński przerwał rozmowę, przyglądał mu się chwilę i zawołał:

— Dolas! Pułkowniku, to jest właśnie partyzant Wrona, o którym wam opowiadałem.

Podpułkownik jakoś dziwnie się uśmiechnął, obrzucił ciekawym spojrzeniem obdartusa, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie nad Odrą zagrały cekaemy i odezwała się artyleria. Rozległ się charakterystyczny świst pocisków, które przeleciały nad osiedlem i rąbnęły gdzieś dalej. Obaj oficerowie, podniósłszy do oczu lornetki, obserwowali przedpole.

Rozciągał się stąd widok na szeroką, płaską dolinę Odry, przeciętą krechami szosy i toru kolejowego. Znów rąbnęła hitlerowska artyleria, i to znacznie bliżej. Z zabudowań gospodarstwa wybiegł porucznik.

— Obywatelu pułkowniku, dowódca kompanii straży przedniej melduje, że własne patrole osiągnęły wschodni brzeg Odry. Próba przejścia na drugą stronę po resztkach mostu nie udała się. Nieprzyjaciel trzyma je pod ogniem cekaemów i artylerii.

— Tak, to było do przewidzenia — stwierdził pułkownik.

Hitlerowcy mieli sporo czasu do zorganizowania obrony na linii Odry. Będą się tu twardo bronić. O sforsowaniu rzeki z marszu nie było mowy. Należy ściągnąć większe siły, a ponadto środki przeprawowe, to potrwa kilka dni. Strzelanina urwała się jak nożem uciął. Nad doliną zapanowała cisza. Na krótko. Bo oto ze wschodu nadleciała eskadra samolotów szturmowych w eskorcie klucza myśliwców. Samoloty z groźnym rykiem silników przemknęły nad osiedlem.

— Zaraz szkopom będzie gorąco — zauważył pułkownik. — To cóż, kapitanie, mamy małą przerwę w działaniach. Pogadajcie sobie z waszym Dolasem.

Dolas, przyjąwszy jak najbardziej regulaminową postawę zasadniczą, wyrecytował jednym tchem:

— Panie kapitanie, melduję, że nie udało mi się odszukać pana Romana i nie mogłem mu wręczyć tubki z pastą.

Obaj oficerowie uśmiechnęli się pod wąsem.

— Dobrze, pogadamy sobie o tym. Chodźmy do chałupy.

Na podwórzu gospodarstwa stało kilka samochodów i radiostacja. Na progu leżał podarty portret Hitlera. Wnętrze domu świadczyło, że gospodarze opuścili go gwałtownie i szybko. Na piecu stał nie dogotowany obiad, a na stole brudne naczynia.

— Siadaj! — zaprosił Lanckoroński — i opowiadaj po kolei. Dolas rozsiadł się na kanapie obitej czerwonym pluszem i rozpoczął długą relację.

— Tak więc, niestety — zakończył — nie udało mi się odnaleźć pana Romana.

Może masz do mnie z tego powodu pretensję, ale naprawdę zrobiłem wszystko, co mogłem.

Pogrzebał w przepaścistej kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej tubkę pasty do zębów. Przez chwilę jej się przyglądał, położył na stole i zwrócił się do kapitana:

— Możesz mi teraz powiedzieć, co się znajduje w tej tubce. Lanckoroński znów się uśmiechnął. Wziął tubkę, odkręcił i powoli, z trudem wycisnął zawartość na stół.

— Nic ciekawego. Po prostu pasta do zębów. Dolas przyglądał mu się zdumiony.

— Jak to? Więc dla przewiezienia zwykłej pasty posłałeś mnie do Warszawy? To po to czyniłem tyle wysiłków? Po to się narażałem? Lanckoroński nie przestawał się uśmiechać.

— Niepowodzenie może spotkać każdego, tym bardziej na wojnie. Ciebie niepowodzenie spotkało w brygadzie w Afryce. Mnie z kolei w lipcu. Gdy ty odjechałeś podwodą w kierunku stacji, zaraz ruszyliśmy do akcji. Naszym zadaniem było uniemożliwienie Niemcom zniszczenia ważnego mostu drogowego. Przybyliśmy na miejsce w momencie, gdy wycofywały się ostatnie niemieckie oddziały, a pionierzy szykowali się do wysadzenia mostu. Tego pewnie żaden Befehl nie przewidywał. Zaledwie oddaliśmy w ich kierunku parę serii, a zostawili cały majdan na łasce losu i uciekli. Obsadziliśmy przeprawę, a za godzinę ukazały się nasze czołgi. Co się dalej działo, nie będę mówił, sam to chyba pojmujesz. Tego wieczoru po raz pierwszy od lat układałem się spokojnie do snu. Wiedziałem, że nie obudzą mnie dzikie wrzaski esesmanów ani przejmujący ryk syreny gestapo, ani niespodziewany nocny alarm. Wieczorem, myjąc się, stwierdziłem, że przez pomyłkę dałem tobie moją tubkę z pastą do zębów, zostawiając tę — z dokumentami w środku — u siebie. Naturalnie nie miałem spokojnej nocy. Ani tej, ani następnej, ani dziesiątków innych. Po pierwsze: ważny dokument przewieziony z tamtej strony frontu przez moje gapiostwo z powrotem powędrował na wschód. Po drugie, ty niepotrzebnie się narażałeś. Wiedziałem od początku, że misja, którą ci powierzam, jest niebezpieczna. Musiałeś przedostać się do Warszawy, przebrnąć przez stolicę w okresie szalejącego terroru. Możliwa też była wpadka u pana Romana. Na takich jak ty mogło tam czekać gestapo. Nie zawahałem się, aby narazić cię na niebezpieczeństwo. Ostatecznie jednak jest wojna, a my jesteśmy żołnierzami. Gdy jednak stwierdziłem, że nie otrzymałeś właściwej tubki, zdałem sobie sprawę, że naraziłem cię niepotrzebnie. Stąd moje zgryzoty i wyrzuty sumienia. Ale, jak się to mówi, mieliśmy szczęście w nieszczęściu i wszystko się dobrze skończyło.

— Tak — zauważył Dolas. — Odbyłem ciekawą podróż, poznałem nowych ludzi... — Tu nieco się zarumienił, przypomniał sobie bowiem Danutę. — Teraz szczęśliwie odnalazłem ciebie. W tym wszystkim jedno było głupie: przez ostatni miesiąc nie myłem zębów, bo nie miałem czym. A w teczce leżała sobie cała tuba pasty do zębów! Ale to nieważne. Mów, co się dalej działo z tobą.

— Oddział, po krótkim odpoczynku, został rozwiązany. Większość żołnierzy powołano do wojska, część poszła do milicji. Ja zostałem skierowany na przeszkolenie. Szybko opanowałem materiał i jakoś daję sobie radę. Sprzęt mamy wyśmienity, nowiutki, nie jakieś wysłużone ciuciurupy. Brałem udział w zdobywaniu Warszawy, przełamaniu wału pomorskiego. Obecnie szykujemy się do uderzenia na Berlin.

— Jeżeli chcecie wiedzieć, co było w prawdziwej tubce, to ja wam powiem — niespodziewanie wmieszał się do rozmowy podpułkownik, który przed chwilą wszedł do izby. — Były tam instrukcje dotyczące obsługi nowej broni przeciwpancernej, którą mieliśmy otrzymać ze zrzutów. A że zrzut zawsze może trafić do niepowołanych rąk, instrukcję miano wysłać specjalnym kurierem.

— A skąd pan pułkownik o tym wie?

— To ja właśnie byłem panem Romanem. Obecnie podpułkownik Zielonacki — przedstawił się.

— A więc jednak spotkałem pana! A już sądziłem, że do końca życia będzie to dla mnie mityczna postać. Przypuszczałem, że Pan Roman wygląda inaczej — powiedział Dolas przyglądając się młodemu podpułkownikowi.

— W czasie okupacji pełniłem funkcje szefa wyszkolenia. Instrukcję awizowano, oczekiwałem na nią. Powstanie zaskoczyło mnie w Warszawie. Po kapitulacji nic poszedłem do niewoli, przedarłem się do domu. Tu dowiedziałem się, że przed powstaniem przychodził do mnie parokrotnie jakiś zakonnik. No, zakonnik to zakonnik, mógł to być kurier w przebraniu. Potem wyjechałem na inspekcję. Po powrocie zameldowano mi, że pytał o mnie jakiś dryblas w okularach. Czekałem dość długo, aż się zjawi ponownie. Ale się nie zjawił. Potem rozpoczęła się styczniowa ofensywa, powołano mnie do wojska i objąłem pułk. Kiedyś z kapitanem Lanckorońskim zgodaliśmy się na wasz temat. No cóż, kapitanie, musimy waszego Dolasa wziąć do pułku. Umundurujecie go, zapiszecie na stan waszego dywizjonu i będzie pełnił w sztabie funkcje tłumacza. Wkraczamy na tereny niemieckie i tłumaczy nigdy nie będzie za dużo.

— Dziękuję, obywatelu pułkowniku.

— A teraz, kapitanie, jedziemy na odprawę do dowódcy dywizji. Za dwa lub trzy dni

zaczniemy forsować Odrę. Ostatnią przeszkodę przed Berlinem.

Rozdział XXIV

w którym Dolas walczy w Berlinie

Bitwa o Berlin dobiegała końca. Hitler popełnił samobójstwo, na północy Doenitz organizował ostatni rząd trzeciej Rzeszy. W stolicy ginącego hitleryzmu wojska radzieckie i polskie likwidowały ostatnie gniazda oporu.

Stojące na przedmieściach Berlina działa dywizjonu kapitana Lanckorońskiego milczały już od rana. Skierowane w niebo lufy na próżno oczekiwały komend. Obsługa, rozłożywszy się wokół armat, odpoczywała po trudach ostatnich walk. Przez trzy dni walili w broniących się Niemców. Posyłali na wrogie stanowiska nawalę za nawalą. Gdy celowniki zbliżały się do granic donośności dział, zmieniali stanowiska, by przesunąć się do przodu i znów zaczynać koncert. Zamki z chrzęstem połykały pociski, kanonierzy odpalali, lufy cofały się, wypływając granat za granatem. Gdy piechota grzęzła przed stanowiskami zajadłe broniących się hitlerowców, podciągali działa do pierwszej linii i ogniem na wprost niszczyli gniazda oporu w budynkach, bunkrach, na barykadach. Kanonierzy mieli ręce pościerane do krwi, pot zalewał im twarze. Brali na Niemcach odwet za Westerplatte, Warszawę, Oświęcim. Odwet poczęty na polach Lenino.

Rano ogień urwał się. Piechota, zajmwszy parę kwartałów ulic, tak zawężyła stan posiadania Niemców, że artyleria nie mogła strzelać w obawie rażenia własnych wojsk.

Na odcinku podpułkownika Zielonackiego broniło się jeszcze tylko jedno zgrupowanie w szarym, potężnym gmachu na południowym skraju placu. Reszta Niemców padła lub poszła do niewoli.

Podpułkownik Zielonacki z szefem sztabu obserwował przez okna wrogie stanowiska. Należało zachować ostrożność. Obie strony oddzielał plac nie szerszy niż dwieście metrów.

— Niech tu przyjdzie kapitan Lanckoroński — rozkazał pułkownik.

— Kapitan siedział na ostatnim piętrze rozważając możliwość wypędzenia Niemców ogniem artyleryjskim. Jego zdaniem było to niemożliwe. Zszedłszy na dół zameldował o tym pułkownikowi.

— Też jestem tego zdania — zgodził się pułkownik.— Proponuję, kapitanie, abyście podciągnęli do narożnika jeden pluton armat i ogniem na wprost zmiękczyli nieco szkopów. Dalej damy sobie sami radę.

— Tak jest, obywatelu pułkownika. Zaraz wydam rozkazy.

Lanckoroński wyszedł na podwórze, zastanawiając się, kogo wysłać po pluton. Oficerowie znajdowali się na punktach obserwacyjnych. A może by tak Dolasa? Rozejrzał się wokoło i zobaczył swego podopiecznego wychodzącego z budynku. Właśnie poprawiał okulary i otrząpywał się z kurzu. Dolas zameldował dowódcy, że otrzymał rozkaz udania się do drugiego batalionu w celu przesłuchania wziętych do niewoli jeńców. Kapitan postanowił więc wysłać po działą ogniomistrza zwiadowczego. Zawołał go do siebie i wyjaśnił sytuację.

— Pojedziecie natychmiast moim samochodem do baterii porucznika Zubka, weźmiecie pierwszy pluton i przyprowadzicie w to miejsce. Ja tu będę czekał. Tu odprzodkujemy działą, wytoczymy na narożnik i otworzymy ogień do szkopów. Jasne?

— Tak jest!

— To dobrze. Zresztą ja zaraz rozmówię się z porucznikiem Zubkiem. Chodzi jedynie o to, aby pluton nie błędził.

Kapitan przebiegł na drugą stronę ulicy, a ogniomistrz pod ścianami domów pobiegł w lewo. Ze zmęczenia ledwo powłóczył nogami.

Krętymi ulicami podążał w stronę parku. Po bramach siedziała piechota, saperzy oczyszczali teren z min, łącznościowcy ustawiali radiostacje. Gdzieś na północy grzmociła ciężka artyleria. Na drugim skraju parku stały samochody i motocykle dywizjonu. Na ulicach pokazywali się wystraszeni mieszkańcy. Jedni drżąc ze strachu wywieszali białe flagi, inni jawnie wyrażali radość, że nareszcie diabli wzięli Hitlera. Ogniomistrz odnalazł samochód dowódcy i kazał się wieźć do baterii porucznika Zubka.

Klucząc pomiędzy rozbitymi domami, zwałami gruzu, omijając wyrwy i leje, wyjechali na szeroką aleję. Jezdnią ciągnęły długie kolumny wszelkiego rodzaju pojazdów. Minęli spory oddział czołgów. Po niebie z głośnym rykiem przeleciała eskadra bojowych samolotów. Na pętli tramwajowej stały unieruchomione tramwaje, a dalej ciągnęła długa kolumna jeńców. Maszerowali powoli, brudni, nie ogoleni, bez pasów, z przewieszonymi przez ramię kocami lub torbami. W niczym nie przypominali butnych Niemców z września 1939 roku!

Na przedmieściach małe domki i wille świeciły pustkami, ogródki były rozjeżdżone gąsienicami czołgów.

Pierwszy pluton baterii porucznika Zubka czekał już zaprzodkowany na bocznej uliczce.

Ogniomistrz zameldował się u dowódcy plutonu i zajmąwszy miejsce na ciągniku, poprowadził działą do śródmieścia. Jechali tą samą drogą. Od resztek parku do placu prowadziła wąska ulica. Domy po obu stronach jezdni stały w płomieniach.

Bił żar, ogień buzował z hałasem, padały resztki stropów. Szybko minęli rejon pożarów i dotarli do placu. Tu czekał na pluton kapitan Lackoroński.

Kapitan objaśnił dowódcę plutonu i działonowych w sytuacji, polecając otworzyć ogień na wprost do okien na parterze, stamtąd bowiem ziały niemieckie cekaemy.

W powietrzu panowała cisza. Artylerzyści przez lornetki rozpoznawali cele. Polscy piechurzy z rozkazu podpułkownika Zielonackiego przerwali walkę, czekając na wsparcie artyleryjskie. Niemcy milczeli, oszczędzając amunicję lub może oczekując cudu.

Kapitan przemówił do żołnierzy w paru prostych słowach, bez patosu i górnolotnych zwrotów. Tak jak zawsze do nich przemawiał.

Kanonierzy splunęli w garście, odprzodkowali armaty i wytoczyli je na narożnik. Lanckoroński stanął obok pierwszego działła. Niemcy z miejsca otworzyli ogień. Pociski jak grad bębniły w pancerne tarcze. Obsługa, skulona niczym kurczęta, biła granatami po szarym gmachu. Lanckoroński spokojnie wpatrując się w nieprzyjacielskie stanowiska, korygował ogień obu działonów.

Grzmotnęli raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Pomogły im granatniki piechoty. Zagrały cekaemy. Z boku rozległa się potężna detonacja. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. Jeszcze parę serii i w jednym z okien ukazała się biała flaga.

— Przerwij ogień! — padła komenda.

Znów zapadła cisza. Kapitan przez lornetkę obserwował Niemców, obawiając się z ich strony podstępu. Po chwili ukazały się pierwsze postacie w mundurach feldgrau z podniesionymi rękami. Niemcy jeden po drugim opuszczali gmach. Podchodząc do polskich żołnierzy, składali broń u stóp zwycięzców. Jedni robili to z nie ukrywaną pasją, inni pokornie, większość — w milczeniu, obojętnie.

Polska piechota obsadzała gmach. Na szczycie ukazała się biało-czerwona flaga.

Żołnierzy ogarnęło wzruszenie, a byli wśród nich i młodzi chłopcy, wzięci do wojska po wyzwoleniu, byli ci spod Lenino, byli partyzanci z lubelskich lasów, byli weterani kampanii wrześniowej.

Likwidując w majowe przedpołudnie ostatni punkt oporu w hitlerowskim Berlinie, zamykali tym samym wielki rozdział swej żołnierskiej służby.

Do stojącego w licznej asyście oficerów podpułkownika Zielonackiego podszedł młody podporucznik meldując, że chce z nim rozmawiać niemiecki dowódca.

— Gdzie się podział Dolas? — zapytał pułkownik rozglądając się za tłumaczem.

— Posłałem go, obywatelu pułkowniku, do dowódcy drugiego batalionu w celu przesłuchania jeńców.

— Dawno to było?

— Około godziny temu!

— To nie wiecie, kapitanie, że dom, w którym mieścił się sztab drugiego batalionu, wyleciał w powietrze?

— Nic o tym nie słyszałem.

— Stało się to w czasie, gdy wasze działa ostrzeliwały Niemców. Dom był podminowany. Tak przypuszczają saperzy.

Zapanowało milczenie. Lanckoroński obserwował czubki butów.

— Trudno — usłyszał głos pułkownika. — To jest właśnie wojna! Do ostatniej chwili giną ludzie. Dziś rano otrzymałem wiadomość, że wasz wniosek o odznaczenie Dolasa Krzyżem Walecznych został załatwiony pozytywnie. Tak samo jak i mój wniosek o awans na podporucznika.

Pułkownik wyjął z torby polowej granatowe pudełko. Na dnie leżał krzyż z biało-amarantową wstążeczką.

— Oddajcie to, kapitanie, rodzinie Dolasa!

Kapitan mimo woli stanął na baczność, jakby to jego pułkownik miał dekorować, i wyciągnął rękę po pudełko z krzyżem. W tym momencie usłyszeli głośnie wołanie ogniomistrza zwiadowczego:

— Obywatelu pułkownika, toż to idzie nasz nieboszczyk! Oficerowie odwrócili się. Istotnie, środkiem placu maszerował Dolas trzymając pod pachą karabin, obok niego dreptał niemiecki żołnierz.

— Nieboszczyk zmartwychwstał. Mało tego, prowadzi jeńca — stwierdził któryś o oficerów.

Lanckoroński wyprostował się. Ucisk w okolicy, serca ustąpił. Przyglądał się nadchodzącemu kompanowi. Dolas przedstawiał żałosny widok, cały obsypany był gruzem i pyłem, uszkodzone okulary. Jeniec, którego prowadził, wyglądał jeszcze gorzej, włosy i rzęsy miał spalone, ręce poparzone, mundur podarty. A w ogóle wyglądał na takiego oferwę, że Lanckorońskiemu przyszło do głowy, iż lepiej, aby Dolas nie chwalił się publicznie wzięciem do niewoli takiej łamagi. Tymczasem niedoszły nieboszczyk, zatrzymawszy się przed pułkownikiem zameldował:

— Obywatelu pułkownika, melduję swoją obecność!

— Dolas, czy byliście w sztabie drugiego batalionu?

— Tak jest.

— A gdzie wzięliście do niewoli tego hitlerowca?

— To nie jest jeniec! — oburzył się Dolas. — A tym bardziej hitlerowiec. To jest Polak ze Śląska, pan Bomba. Też historyk sztuki!

— Hm! — pułkownik wydał ciche westchnienie, przypominające nieco jęk. — Powiedzcie, jak to było.

— Zgodnie z rozkazem udałem się do budynku, gdzie się mieścił sztab batalionu. Tam przesłuchałem kilku jeńców. Nic ciekawego się nie dowiedziałem. Narzekali na wojnę, na Hitlera.

— Dobrze, dobrze — przerwał pułkownik — mówcie dalej.

— Po przesłuchaniu wyszedłem. Akurat wtedy na placu zaczęła się strzelanina. Biegłem środkiem ulicy palącej się po obu stronach. Mijając jeden z płonących domów wpadłem na wyskakującego z pożaru uzbrojonego Niemca w mundurze. Przestraszyłem się go, idąc bowiem do sztabu drugiego batalionu, zapomniałem wziąć pistolet maszynowy. A tu Niemiec woła po polsku:

— Człowieku, ratuj skarby, co się palą w tym domu!

Nie pytając o nic, wpadłem z nim do środka. Okazało się, że w piwnicy odkrył on archiwum konserwatora zabytków z Królewca. Razem rzuciliśmy się do ratowania archiwum. Nie dalibyśmy rady, ale na szczęście przechodził pluton pionierów, który nam pomógł. W czasie akcji Bomba oberwał belką z płonącego stopu. Został poparzony i obecnie prowadzi go na punkt opatrunkowy. A to, co uratowaliśmy, to są bezcenne materiały dotyczące historii Mazur i Warmii. Książki, zapisy, rysunki, plany. Wszystko to było skrzętnie schowane przez hitlerowców, gdyż świadczyło niezbitnie o polskości tych ziem. O, na przykład ten rulon!

Dolas zaczął rozwijać trzymany pod pachą rulon, który początkowo obecni wzięli za karabin.

— Chwileczkę, mój drogi Dolas! Mam dla was pewną wiadomość, którą chciałem zakomunikować, zanim zaczniecie studiować zabezpieczone materiały archiwalne. Właściwie to są dwie wiadomości. Pierwsza, że zostaliście mianowani podporucznikiem.

— Ja podporucznikiem? — w pytaniu tym było wszystko. Zdziwienie, niedowierzanie, a nawet lęk. Pomyślał że jako oficer będzie musiał dowodzić oddziałem, że będzie odpowiadał za ludzi, których może pogubić, że może strzelić byka gorszego niż w Afryce. Zapomniał zupełnie, że wojna dobiega końca, że niedługo zostanie zdemobilizowany, że wróci do pracy naukowej, a stopień podporucznika rezerwy będzie jedynie wspomnieniem wojennych lat.

— Poza tym — ciągnął pułkownik — mam was dekorować Krzyżem Walecznych, nadanym wam przez dowódcę armii.

Pułkownik otworzył pudełko. Obecni zasalutowali stając na baczność

Dolas nie wiedział, czy odłożyć rulon, który trzymał pod pachą i przyjąć postawę zasadniczą, czy też dalej trzymać rulon lub może poprawić uszkodzone okulary.

Plac zapelniał się szarozielonymi mundurami. Na tyłach kłębiły się dymy pożarów. Z południa dolatywały odgłosy walki toczonej przez radzieckie oddziały. Niemieccy jeńcy ustawili się karnie w marszową kolumnę. Pułkownik o butnym wyglądzie dopominał się o rozmowę z polskim dowódcą.

— Nasz pułkownik jest obecnie zajęty — wyjaśniał jeden z polskich oficerów. Podpułkownik Zielonacki przypiął do obszarpanego munduru Dolasa brązowy krzyż na biało-amarantowej wstążeczce.

— Macie taką minę, jakbyście się przestraszyli — zauważył.

— Do pewnego stopnia tak, obywatelu pułkowniku.

— Dlaczego?

— Tak się dziwnie w moim życiu składało, że ilekroć miałem zostać odznaczony, spotykało mnie niepowodzenie. Zaczęło się to we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Zestrzeliłem samolot i miałem otrzymać Krzyż Walecznych, niestety okazało się, że to był samolot polski. W czterdziestym pierwszym roku przypadkowo udało mi się uciec z niewoli. Pułkownik z poselstwa polskiego w Belgradzie przedstawił mnie do odznaczenia. Gdy płynąłem do Afryki, storpedowała nas wioska łódź podwodna i przez półtora roku pętałem się po świecie. W brygadzie też zostałem przedstawiony do odznaczenia, tym razem pomyliłem w czasie wypadu kurs i zamiast radiostację zdobyłem burdel polowy, dostając się do niewoli włoskiej. Po upadku Włoch Niemcy wcielili mnie jako Ślązaka do Wehrmachtu i tam jakby dla ironii zostałem bohaterem odznaczonym Żelaznym Krzyżem. Miało to ten plus, że otrzymałem urlop. Jadąc do domu wpadłem w ręce partyzantów, gdzie zdaniem dowódcy zasłużyłem na odznaczenie, ale zostałem wysłany do Warszawy i dalej obywatel pułkownik wie, co było. Ja naprawdę obawiam się, że może zmartwychwstać Hitler, jeżeli ją dostanę Krzyż Walecznych. Pułkownik roześmiał się.

— Istotnie, mieliście niezwykle przygody. Ale nie bójcie się. Hitler nie zmartwychwstanie, tak jak i nie odrodzi się hitleryzm. O to będą dbały miliony ludzi na świecie.

Poklepał Dolasa po ramieniu i skierował się w stronę niemieckiego pułkownika. Lanckoroński wyciąga z kieszeni gwiazdki, mocuje je na naramiennikach munduru Dolasa.

— A co zrobić z Bombą? — dopytywał się świeżo upieczony podporucznik.

— Mimo wszystko jest on jeńcem i musi pójść do obozu. Potem jakoś to załatwimy.

Omijając płonąca dzielnicę ruszyli w kierunku parku, gdzie znajdował się punkt opatrunkowy. Były to właściwie resztki wspaniałego ongiś parku. Całą powierzchnię zryły pociski ciężkiej artylerii, drzewa leżały pokotem, a pomiędzy nimi kawałki rozbitych marmurowych posągów. Ranni siedzieli na ławkach lub leżeli na noszach. Nie było ich zresztą wielu. Walka wygasła. Rannych nie przybywało, część ich już ewakuowano do szpitali polowych. Niektórzy kulejąc opuszczali punkt po opatunku. Bomba, stękając i trzęsąc się od potęgujących się napadów dreszczy, włókł się za Dolasem. Zatrzymali się na środku trawnika, Dolas szukał wzrokiem lekarza lub sanitariusza. Zobaczył w pobliżu sylwetkę sanitariuszki w białym kitlu. Spod czepka wymykały się kasztanowate loki. Stał mu w oczach obraz pruszkowskiego obozu.

— Siostró Danuto! — zawołał. Sanitariuszka odwróciła się. To nie była Danuta.

— Słucham, panie poruczniku. Nie nazywam się wprawdzie Danuta, ale w tym wypadku to mało ważne.

Przyglądał się jej zmieszany. Ta sama figura, ten sam wzrost. Sanitariuszka opacznie zrozumiała jego zmieszanie. Poprawiła zalotnie lok pytając:

— O co chodzi, panie poruczniku?

Był jeszcze bardzo zmieszany. Nikt tak go jeszcze nie tytułował.

— Przyprowdziłem tu rannego. On nie jest Niemcem, choć nosi hitlerowski mundur. To Polak ze Śląska.

— To dla nas nieistotne — odpowiedziała spoglądając na pokraczną figurę tkwiącą za Dolasem — my opatrujemy każdego, kto potrzebuje lekarskiej opieki. Proszę za mną.

Zniknęła z rannym w namiocie. Dolas poprawił okulary i usiadł na kawałku rozbitej ławki.

Jak na taśmie filmowej przesunęły mu się wspomnienia ostatnich lat.

„Wojna dobiega końca — pomyślał. — Niebawem zostanę zwolniony z wojska. Trzeba będzie pomyśleć o przerwanej pracy naukowej i...”

Znów mu przed oczyma stanęła Danuta.

„Muszę koniecznie dzisiaj do niej napisać. Do niej i do mego staruszka. Ojciec ucieszy się na wieść, że ma syna oficera odznaczonego Krzyżem Walecznych”.

Zakończenie

Gdy doktor Dolas zakończył swoje opowiadanie, w pokoju zapada! już zmrok.

— Taka to jest historia tego oto Krzyża Walecznych. Jest on świadectwem, że mam jakiś wkład w walkę o polskość, tej ziemi.

Rozejrzał się po pokoju i wzrok jego zatrzymał się na niewielkiej akwareli, przedstawiającej willę w ogrodzie.

— To jest willa doktora Giovanniego. Udało mu się wydostać z rąk gestapo. Korespondujemy ze sobą i przysłał mi ten obrazek. Zaprasza mnie do Florencji. Może uda mi się kiedyś go odwiedzić. Naturalnie jak zorganizuję tu wreszcie muzeum.

— A co się stało z siostrą Danutą? — wtrąciłem.

— Ożeniłem się z nią — wyjaśnił z lekka zażenowanym głosem, poprawiając swym charakterystycznym ruchem okulary w złotej oprawce. — Żona skończyła studia plastyczne i pracuje tu, w szkole, a poza tym pomaga mi. Już powinna nadejść.

Przyszła za kilka minut. Wyglądała tak, jak ją opisywał Dolas.

— Pozwól, że ci przedstawię pana inspektora z Ministerstwa Kultury, który przyjechał, aby pomóc nam w organizowaniu naszego muzeum,

— Właściwie to już poznałem panią z opowiadania męża, który bawił mnie rozmową — wyjaśniłem całując jej dłoń.

— Bardzo mi przyjemnie. Cieszę się, że skończą się nasze kłopoty. Zostawiam jeszcze panów na jakiś czas samych i przygotuję kolację — dodała znikając w sąsiednim pokoju.